

Sławomir Sierecki



Bractwo Tajnych Laborantów



Cena zł 270,—

— Dobrze, że to ja odkryłem ten pistolet, a nie Minna, gospośia lub sama pani Kluge — zwróciłem uwagę Florionowi.

Rzadko mu się to zdarzało — uchodzić przecież przagnął za bardzo dorosłego — tym razem jednak zaczął wienić się. Obiecaliśmy sobie przedtem nie mieć na wzajem żadnych tajemnic, było więc to złamanie przyrzeczenia, no dómiar złego wykrycie broni w naszym pokoju naraziło nas obu na utratę stancji, a nawet na poważniejsze konsekwencje. Nikt nie uwierzyłby, że nic nie wiedziałem o pistolecie, zresztą na pewno nie tłumaczyłbym się przed policją w ten sposób.

— Przystąpił do karbonariuszy? — spytał Florion Rymysę, a ponieważ pytanie wydało mi się nadzbyt obcesowe, dodałem zaraz — Nie odpowiada, jeżeli mi nie ufaż...

ISBN 83-216-0750-0



Sławomir Sierecki

*BRACTWO
TAJNYCH
LABORANTÓW*

WYDAWNICTWO ŚLĄSK

Okladkę projektował Andrzej Kacperek

© Copyright by Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1987

Redaktor

Wanda Wieczorek

Redaktor techniczny

Barbara Stokjisz

Korektor

Joanna Huber

ISBN 83-216-0750-0

Symbol 32683/L.

Wyd. I.

Nakład 39 700 300 egz.

Ark, wyd. 8,3.

Ark, druk. 6,0.

Papier druk, mat, kl. V/70 BI.

Druk ukończono w marcu 1988 roku.

Zakłady Graficzne w Katowicach

Zakład nr 5 w Bytomiu.

Zam. 9054/1121/7 L-13

*„Wpadł mi dziś w ręce mój pamiętnik, który
zaniedbałem od pewnego czasu. Zdumiony jestem, jak
świadomie, krok po kroku,
wplątałem się w to wszystko!”*

„Cierpienia młodego Wertera”

Johann Wolfgang Goethe

(przeł. Leopolda Staffa)

1. *Diabelskie skrzypce*

Skrzypce to instrument diabelski.

Przekonywała mnie o tym babka, kiedy słuchaliśmy wspólnie, jak na skrzypcach grał mój ojciec. Zamykał się wtedy w salonie, w prawym skrzydle domu, w którym — według wersji rodzinnej — miało straszyć. Skąd brała się ta legenda o widmach w opuszczonym salonie, w którym nie zawieszano nawet firanek, opowiem przy innej okazji. Tu nadmieniam tylko o tym, aby podkreślić, że dźwięk skrzypiec budził we mnie zawsze pewien lęk, połączony wszakże z fascynacją, lubiłem przecież i — co więcej — rozumiałem mowę skrzypiec. Potrafiłem łatwo odróżnić popisy grajka od wirtuozerii mistrza. Mój ojciec nauczył się gry na skrzypcach w czasie swych wojaży do Włoch — podobno w mieście Pirano nad Adriatykiem, w tej części Italii, która podlegała władztwu austriackich Habsburgów i którą zamieszkiwali nie tylko Włosi i Austriacy, ale również Słowianie — tacy jak ja. Pirano — była to ojczyzna genialnego skrzypka Tartiniego, który swe mistrzostwo zawdzięczać miał także Piekłowi. Gdyby wierzyć tym historiom, okazałoby się niewątpliwie, że Piekło mecenasowało wszystkim genialnym osiągnięciom sztuki. Przecież sam wielki Niccolò Paganini tłumaczyć się musiał z tego, czy diabli nie pomagali mu wydobywać tak wspaniałych tonów z jego skrzypiec.

Piszę o tym tyle, bo skrzypce znalazły się na samym początku historii, którą zamierzam opowiedzieć, historii dziwnej, pełnej tajemnic, a wreszcie zwieńczonej dramatem o jakże szerokim tle.

Mój ojciec już wtedy nie żył. Może zabrzmiało osobliwie, kiedy powiem, że mało go znałem. Razem z bratem wychowywaliśmy się u dziadków, ojciec stracił bowiem majątek w Królestwie, po konfiskacie przez władze carskie. Babcia coś tam napomknęła kiedyś, że „i tak niewiele tego było”, ale fakt ten w kręgu rodzinnym miał już posmak narodowej legendy. Nigdy zapewne nie dowiem się całej prawdy, jakie były poglądy mojego ojca, z kim korespondował — bo korespondencję prowadził rozległą. Jego śmierć nastąpiła, kiedy mieszkalem na stacji w Poznaniu, tam bowiem uczęszczałem do szkół, zanim zgodnie z wolą matki i dziadków zapisałem się na uniwersytet we Wrocławiu.

Nadchodziły już pamiętne buntownicze lata czterdzieste wspaniałego, dziewiętnastego stulecia i w całej Europie, a więc nic dziwnego, że nie tylko w Poznaniu i Wrocławiu, ale nawet w naszych półsennych Łężycach również dawał się odczuć pewien niepokój. Moi dziadkowie, chyba z aprobatą matki, starali się o to, abym jak najmniej dowiedział się o powstańczych, a następnie spiskowych namiętnościach ojca. Zapewne miały temu służyć także moje studia we Wrocławiu. Ale spalenie całej korespondencji ojca i osnucie tajemnicą jego śmierci nie pozbawiły mnie wszystkich nici, które — znacznie później — pomogły dotrzeć do części tajemnic jego osobowości, a mój pobyt we Wrocławiu na stacji oraz w kręgu studentów wrocławskiej Alma Mater, pozwolił z nawiązką uzyskać wiedzę o ówczesnym świecie, jakże skomplikowanym.

O tym jednak później. Zostańmy tymczasem przy skrzypcach, owym diabelskim instrumencie, który zabrzmiał na początku całej historii. Wówczas to rozpoczęły się dla mnie wszystkie te niezwykle wydarzenia, w które zostałem wpłątany — częściowo zresztą z, własnej i nieprzymuszonej woli, z chęci przeżycia czegoś tak mocnego, jak mocna może być tylko miłość lub śmierć — jedna i druga znane mi wówczas tylko z lektur modnych książek, z którymi się nie rozstawałem. Tak, była w tym część mojej winy, ale było także dziwne zrządzenie losu. Wiem z różnych opowieści, zwłaszcza tych, których nie szczędziła mi babka, że wielkie kataklizmy poprzedzają niezwykle zjawiska, które lud nazywa „znakami”. Dają się więc słyszeć nadzwyczajne głosy, a na niebie ukazują się ogniste kule, ale w tych opowieściach babki nie było nic nigdy o skrzypcach...

Początek wszystkiego nastąpił w noc wigilijną, w tę magiczną noc, w czasie której mają prawo dziać się różne dziwne rzeczy. Nie pojechałem tego roku na święta do domu, w okolicy bowiem wybuchła nagle ospa. Z Łęczyc wyjechała wówczas nawet moja matka, która zimę spędziła u krewnych, stale chorując. Wyjechała również „do wód” babka, a w domu pozostał jedynie dziadek i starszy brat, jakby ospa nie była groźną chorobą dla mężczyzn. Zresztą mój brat wkrótce zachorował na najzwyczajniejsze przeziębienie, tak że wszystkie troski o dom spoczęły na głowie dziadka. W tej sytuacji postanowiono, że święta spędzę na stacji we Wrocławiu. „Przez okazję” przysłano mi górę smakołyków, które miały mi zastąpić ciepło rodzinnego domu, a gospodyni domu zacna wdowa pani Kluge (wybaczcie ten styl — ale tak się wtedy mówiło „zacna wdowa”), otrzymała dodatkową zapłatę. Wykorzystała ją zresztą niezwłocznie, wyjeżdżając na święta do Ciepliec, czyli Warmbrunnu, zaczęto już bowiem wówczas korzystać z miejscowych kąpielii tak samo tłumnie

zimą, jak i latem, tylko wiosną i jesienią omijano kurorty podgórskie ze względu na ostre wiatry wiejące wówczas od strony Karkonoszy. Wyjeżdżając, pani Kluge zleciła opiekę nade mną gosposi Matyldzie, miejscowej Ślązaczce, z którą mogłem porozumieć się w moim ojczystym języku. Pani Kluge była Niemką, pochodziła z Bawarii, ale — prawdę mówiąc — ona również niezłe nauczyła się już po polsku. Trudno było przecież robić we Wrocławiu zakupy na targu nie znając mowy polskiej.

Muszę przy tej okazji wyjaśnić, że mąż pani Kluge był kupcem i udało mu się zbić na Śląsku niezłą fortunę. Za te pieniądze państwo Kluge kupili ozdobny domek z ogrodem na peryferiach Wrocławia, poza Wyspą Piaskową i Ostrowiem Tumskim, gdzie bogacący się kupcy i ubożający obywatele ziemscy wystawiali sobie stosowne do stanu majątkowego rezydencje, często udające pałacyki.

Zostałem więc na święta w pustym domu, bo mój kompan — student Florian Rymsza — także mnie opuścił. Ogrodnik i dozorca w jednej osobie, stary Maciej Sobek, mieszkał w oddzielnej przybudówce, a pokojówka Minna — w mieście i przychodziła dopiero rano, przynosząc zawsze świeże pieczywo z miasta. Na święta dostała jednak wolne.

Wieczorem obfitą kolację przyniosła mi do stancyjnego pokoju gospośia, zapalając dodatkowe świece, „aby ich blask zastąpił mi brak domu rodzinnego” — jak to pięknie sformułowała. Przypomniała mi o obowiązku zgaszenia świec przed pójściem do łóżka i życzyła spokojnej nocy. Napalony solidnie piec aż parzył, zmuszony byłem więc otworzyć lufcik, aby się nie udusić. Zobaczyłem wówczas za oknem, że ogród zmienił swój wygląd — zaczął padać śnieg i krajobraz przybrał baśniowy wygląd. Przywróciło mi to obraz wieczoru wigilijnego spędzanego w Łężycach. Zacząłem myśleć o dziadku, babce i o matce — właśnie w tak dziwnym porządku,

bowiem dziadek zastępował mi ojca, a babka miała dla mnie zawsze więcej czasu, niż cierpiąca nieustannie na migrenę matka. Brat był ode mnie na tyle starszy, że nie stanowiąc dla niego nigdy kompanii do zabaw ani ulubionych jego konnych wypraw do lasu. Zresztą słaby był ze mnie jeździec, tymczasem on niewiele interesował się moimi pasjami — poezją i poetami. A ojciec? Myślałem o nim często, ale w tych myślach nie było nic z miłości, raczej ciekawość, może nawet jakiś lęk, trochę marzeń, szczypta wybujałej wyobraźni — czyniąca z ojca tajnego emisariusza sekretnych potęg, których konspiracje tropiono wówczas w całej Europie.

Na biurku, które należało zarówno do mnie, jak i mojego kompana Floriana Rymczy, gromadziliśmy sterty książek. Po jego stronie biurka — prócz dzieł i pism naukowych, jakie powinien był przeczytać dla osiągnięcia pożytku ze studiów, leżały mocno zniszczone broszury, na które niejeden nasz profesor patrzyłby krzywo — a więc Proudhon, Blanqui, nawet jakieś pisma Babeufa w niemieckim przekładzie. A po mojej stronie — obok tomików Goethego, Mickiewicza, Byrona — Stendhal, Fryderyk de la Montte-Fouque, Shelley, Anna Radcliffe i mój ulubiony Hoffmann, eks-radca z Płocka, Poznania i Warszawy, marzyciel, twórca „Diablich eliksirów” i „Poglądów na świat kota Mruczysława”. Hoffmann ożeniony był z Michaliną Trzcńska, którą dobrze znała kiedyś moja babka — stąd może obecność tego niezwykłego pisarza w mojej świadomości.

Był jeszcze w naszym pokoju regał uniwersalny: tam znajdowało się to, co współczesność paryska mianowała „la litterature facile”, czyli „literaturą łatwą”, popularnie u nas nazywaną „czytałkami”. Było więc miejsce Eugeniusza Sue — wyklętego przez Watykan za „Tajemnice Paryża” i „Żyda

— wiecznego tułacza”, było miejsce Honoriusza Balzaka i Wiktora Hugo, a nawet samego sympatycznego Sterne'a — czytwanego przez sentymentalne panny. Obaj z Rymszą znaleźliśmy dobrze nie tylko język ojczysty, polski, i język urzędowy, niemiecki, ale i francuski — język poezji, marzeń salonów i wiecznej, mimo rozczarowań, napoleońskiej legendy. Oczywiście wszystkie te klejnoty leżały nie naraz — nie mogliśmy przecież pozwolić sobie na podobne rarytasy, były to egzemplarze pożyczone — czasem na kilka dni, a niekiedy na jeden dzień i jedną noc, czytane przy świecy, jakby w tajemnicy przed światem. Wersje niemieckie i francuskie, bo polskie zdarzały się z tej grupy literackiej rzadko, niekiedy jakże fatalne tłumaczenia!

Pewny, że nie usnę natychmiast, wziąłem tego wieczoru do ręki powieść o duchach i rycerzach, napisaną przez barona de la Motte-Fouque, ale zaraz zmieniłem lekturę na rękopis przepisywany, wędrujący wśród romantycznie nastawionych do życia studentów, tekst wierszy miłosnych...

Pamiętam, że długo czytałem, pilnowałem się jednak, aby nie zasnąć przy świetle. Mogłyby wyniknąć z tego poważne nieprzyjemności, a nawet — nie daj Boże — pożar. Kiedy więc powieki zaczęły mi ciążyć, a litery skakać przed oczami, zgasiłem po kolei wszystkie świece i zwałem się na pościel. Leżałem jeszcze jakiś czas z otwartymi oczami w zupełnej ciemności. Wypiłem w czasie lektury kieliszek wina, które przemycono mi w charakterze lekarstwa przeciw przeziębieniu z domu i które teraz szumiało w uszach. Ten szum nie dopuszczał początkowo do mojej świadomości ciszy, jaka wypełniła cały dom, cały ogród, a zapewne całe miasto Wrocław łącznie z jego przedmieściami. Świadomość tej wielkiej ciszy nocy zimowej, magicznej nocy wigilijnej, czczonej kiedyś jako cudowny stan przesilenia i zwycięstwa światła nad mrokiem

— napłynęła do mnie dopiero wówczas, gdy szum nagle zniknął. I chyba zaraz zapadłem w sen, jakbym wstąpił do pustych i mrocznych katakumb.

Zbudziło mnie bicie zegara, który jak we wszystkich upiornych opowieściach — wydzwonił dwanaście razy. Obudziłem się pełen jeszcze koszmarów sennych, zlany potem i z bijącym sercem. Nie było mi przyjemnie, o nie! Czegoś się bałem. Z pewnością w tych katakumbach, do których wkroczyłem zapadając w sen, coś mnie musiało wystraszyć. Coś mi się przywidziało — ale co, tego nie mogłem sobie przypomnieć.

Leżałem teraz w półśnie, powoli uspakajając się i ciesząc się ciszą, która wypełniała pokój, dom, ogród i miasto. Obawiałem się, że przyjdzie mi długo jeszcze leżeć, zanim nadejdzie prawdziwy, może już naprawdę kojący sen. Obiecywałem sobie, że następnego dnia nie będę tak długo czytał — ale zaraz nadeszła refleksja: następnego dnia? Przecież następny dzień właśnie się rozpoczął. Było po północy, a jeszcze nie wybiła pierwsza. Paskudna godzina...

I wtedy usłyszałem grę skrzypiec...

„Właśnie grę skrzypiec, a nie „jak ktoś grał na skrzypcach”. Odebrałem ją bezosobowo, jakby to była muzyka czarodziejskiego instrumentu. Nie bałem się jednak, a nawet odczułem coś kojącego, co pędziło precz wcześniejsze koszmary. Oczywiście miałem zamknięte i nagle wydało mi się, że jestem dzieckiem w Łęczycach, a za drzwiami, w salonie, mój ojciec gra na skrzypcach przywiezionych z italskich wojaży. Kiedy otworzyłem oczy, wróciła świadomość rzeczywistości. Za oknem świecił księżyc i pokój tonął w jego srebrzystej poświacie, której siłę wzmagął śnieg. Zerwałem się z łóżka i podbiegłem do okna. Ogród pełen był światła i granatowych, długich cieni. Każdy krzak przypominał jakąś postać, każdy zakątek wydawał się skrywać tajemnice.

Poczułem chłód i to przypomniało mi, że lufcik jest otwarty — to dzięki niemu usłyszałem tak wyraźnie w tej śnieżnej, cichej nocy dźwięk skrzypiec. Skrzypce grały w oddali, może przy drugiej albo trzeciej ulicy — w małych, rzemieślniczych domkach lub w jednej z tych starych kupieckich rezydencji — niekiedy pięknych, a niekiedy ruder — z reguły zdradzających parweniuszowski smak nowo wzbogaconych geszefciarzy. Pomyślałem wreszcie o muzyku, który grał widocznie przy otwartym oknie. W inne noce być może także grał, ale zamykał szczelnie okno, a i mój lufcik był zamknięty, nie mogłem więc nic usłyszeć. A więc czysty przypadek, a nie moce tajemne! Za to po brzmieniu instrumentu i po walorach tej muzyki łatwo odgadłem, że mam przed sobą mistrza i wspaniały instrument — może nawet z samej Cremony, jakim szczycił się mój ojciec?

Otworzyłem okno jak mogłem najszerzej, aby w ten sposób wpuścić więcej muzyki do pokoju, ale wysiłek był daremny, bo nagle daleki śpiew skrzypiec zachłysnął się spazmatycznym trylem, przeszedł z mezzoforte w jaskrawe forte i raptownie zgasł. Może daleki skrzypek postanowił na tym zakończyć swój koncert? Albo po prostu zamknął okno!...

Spojrzałem jeszcze raz ku niebu, na mrugające gwiazdy, na oszroniony księżyc, na pogrążony w śniegu i ciszy ogród i także zamknąłem okno, a nawet uchylony dotąd lufcik. Wydać się może dziwne, ale poczułem się nagle spokojniej, odleciały ode mnie wszystkie niedobre myśli i po położeniu się do łóżka zasnąłem niemal natychmiast.

Kim był tajemniczy skrzypek, nie powinno mnie było obchodzić, ale kiedy zobaczyłem rano gosposię Matyldę, zaraz po odpowiedzeniu na jej „dzień dobry”, zapytałem, czy nie słyszała w nocy gry na skrzypcach. Właściwie mogłem

przewidywać odpowiedź, trudno bowiem przypuścić, że gosposia otwierała nocą okno, wsłuchując się w ciszę wigilijnej nocy i wylawiając z niej dalekie dźwięki. A jednak moja dalsza indagacja, przerywana wyrazami podziwu dla placka (który upiekła podobno „specjalnie dla panicza studenta”, czyli dla mnie), przyniosła nieoczekiwany rezultat. O dwie ulice dalej (choć owe „ulice” należy traktować z pewną poprawką — była to przecież dzielnica peryferyjna) mieszkał w starej ruderze jakiś muzyk, dziwak, nazywany w okolicy Pająkiem, grywający podobno na różnych rodzinnych uroczystościach w mieszczańskich domach, a nawet na chórze kościelnym w czasie nabożeństw. Moja gosposia Matylda słyszała go grającego w kościele Świętego Krzyża, a więc stosunkowo niedaleko — na Ostrowiu Tumskim, w pobliżu katedry. Mówiono o nim, że jak zapłacą, grać może zarówno w świątyni katolickiej, jak i ewangelickiej — co jednak w mojej opinii nie oznaczało nic zdrożnego. Bóg artystów wydawał mi się bowiem zawsze uniwersalny, ten sam za czasów Ajschylosa, co za czasów Glucka. Zresztą w świątyniach różnych wyznań grano tego samego Mozarta i tego samego Haydna —problem polegał więc wyłącznie na tym, jak się grało.

Można by dodać jeszcze, że problem polegał również na tym, jak się słuchało, ale w stosunku do zakochanych w muzyce wrocławian, stawianie tak zagadnienia byłoby krzywdzące. Wrocław w latach czterdziestych wspaniałego dziewiętnastego stulecia był miastem, które wprowadzie nie wydało wybitnych kompozytorów lub instrumentalistów, ale mogło pochwalić się znawstwem muzyki i szacunkiem dla jej twórców i wykonawców.

I dodam jeszcze, że tu, we Wrocławiu, koncertował całym niedawno sam wielki Niccolò Paganini. Było to

szesnaście lat przed opisywanymi wypadkami i nie mogłem wtedy nawet przewidywać, że losy zwiążą mnie z tym wspa-
niałym miastem nad Odrą.

Tymczasem dowiedziałem się cośkolwiek o tajemniczym skrzypku, choć należało sprawdzić, ile prawdy mieściło się w informacji zasłyszanej w ów śnieżny poranek z ust Matyldy. A że będę chciał to sprawdzić, ani przez chwilę nie wątpiłem. Magia poczęta wigilijnej nocy działała. Chciałem zidentyfikować nieznanego muzyka, ponieważ pragnąłem usłyszeć jeszcze raz głos jego skrzypiec — tak to sobie tłumaczyłem, ale chodziło o coś więcej. Podświadomość kazała mi iść tym tropem, aby dotknąć innej, poważniejszej tajemnicy, którą odkryć jest dane niewielu, a której .gotowy rezonans każdy nosi w swym sercu.

Zaraz po śniadaniu ubrałem się ciepło i wybiegłem na dwór. Gospośnia była pewna, że idę do kościoła, tymczasem ja wybierałem się na poszukiwanie moich marzeń, złudzeń i snów. Skierowałem się więc nie w stronę Ostrowia Tumskiego ani Wyspy Piaskowej, gdzie skupiła się większość kościołów wrocławskich, przeważnie z piastowskimi metrykami, kościołów, w których nauki głoszono zarówno w języku niemieckim, jak i polskim... Nie! Poszedłem tego ranka w przeciwnym kierunku, między stare domki podmiejskie i rezydencje nowobogackich kupców, naśladowujące pałacyki, często udające klasycyzm Schinkla, niekiedy łączące naraz wszystkie style. Nie wiem, jak będzie wyglądać ta dzielnica, kiedy będziecie to czytać. Opisywane tu fakty rozgrywały się przecież w grudniu 1844, a spisuję je dziś — pod koniec dziewiętnastego stulecia, otwartego już na dwudzieste. Ludzie mówią dziś innym językiem niż w czasach mojej młodości, inni są sami Polacy i inni Niemcy. A jeśli moje wspomnienia ukażą się drukiem za lat sto — wyobrażam sobie, jak inny będzie wówczas Wrocław. Z pewnością do tych czasów zmieni charakter cała dzielnica wokół Ogrodu Botanicznego

(za moich czasów chluby tego miasta), cały obszar na północny wschód od Ostrowia Tumskiego i Wyspy Piasek, tak zwanych peryferii, rozciągających się hen, aż pod dalekie Szczytniki i tamtejszy park, mogący śmiało rywalizować z uniwersyteckim Ogrodem Botanicznym. Nie ostoi się czasom zapewne „pałacyk” pani Kluge, wzniesiony w klasycystycznym stylu udającym Schinkla, ani tym bardziej sadyba mojego Coppeliusa — jak w duchu nazywałem tajemniczego grajka ze snu nocy wigilijnej. Magistra Coppeliusa, monsignore Depertutto albo doctora Miracle — można byłoby go bowiem nazwać wszystkimi imionami z opowieści Hoffmana, męża pięknej Michaliny Marii Trzcińskiej, a także twórcy opery „Undine” (u nas pisanej „Ondyna”) — do libretta barona de Motte-Fouque.

Czemu tak często wspominam Hoffmanna? Chyba nie tylko dlatego, że jego nazwisko wspomniano w domu mojego dzieciństwa i nie tylko ze względu na romantyczne upodobania, które ośwładnęły moimi marzeniami w młodości, ale również przez pewną zbieżność faktów z legendą, którą opisał w noweli „Der Sandmann und die Automaten”, w „Abenteuer einer Silvesternacht” czy „Rat Crespel”, a nawet „Der Schüler der Tartini”. Czytałem te wszystkie opowiadania po niemiecku i nie czyniło mi trudności po ich lekturze przechodzić zaraz do Mickiewicza, kulturę pojmovaliśmy bowiem wówczas jako dobro ogólnoeuropejskie, bez szowinistycznych uprzedzeń, co dzieje się obecnie, pod koniec naszego dziewiętnastego stulecia. Kiedy to piszę, na scenach grane są właśnie „Opowieści Hoffmanna” — opera cudownie utalentowanego starego Żyda Icka Offenbacha, której premierę oglądałem w Paryżu całkiem niedawno. Premiera w Wiedniu nie udała się. Wybuchł bowiem w teatrze straszny pożar, uznany za protest „ciemnych mocy”, których sprawy poruszył pan Hoffmann. Oglądałem także

premierę europejską „Coppelii' czyli dziewczyny o szklanych oczach” Leo Delibesa — w Paryżu, w Theatre Imperial de la Opera. Także kompozycji opartej na noweli Hoffmanna. Za każdym razem przeżywałem dziwny skurcz serca oglądając te sceny, bo przecież nie tylko wcześniej istniały już w moim sercu — pod wpływem lektury, ale JA TO WSZYSTKO SAM PRZEŻYŁEM, zanim wir szalejącej Europy, zbyt wcześnie pijanej szczęściem i mirażami Wiosny Ludów, nie wciągnął mnie na samo dno rzeczywistości i nie dał zakosztować gorzkiego smaku przegranej.

Rozgadałem się, ale jak o tym nie powiedzieć, skoro postanowiliście już pójść razem ze mną w ten śnieżny poranek grudniowy 1844 roku w okolice Ogrodu Botanicznego we Wrocławiu, aby odszukać — sami nie wiecie, w jakim celu, tak jak i ja nie wiedziałem — tajemniczego skrzypka.

Na ulicach, a raczej drogach przedmieścia, byłem pierwszym przechodniem, co dokumentowały wyraźnie moje samotne ślady na śniegu. Napadało go w nocy dużo, ale brak wiatru spowodował, że biała warstwa mroźnego puchu leżała wszędzie jednakowo, nie było ani zdradzieckich pułapek, ani zasp. Krążyłem chyba ponad godzinę — słyszałem bowiem dwukrotnie dzwonienie z wież wrocławskich kościołów, a wciąż jeszcze nie natknąłem się na rudere, w której miał zamieszkiwać skrzypek. Może tak zwoodniczo wymodelował cały krajobraz pierwszy śnieg, a może była to wina mojej wyobraźni, szukającej odpowiednika do znanych mi rycin Gustawa Doré, albo Hoggartha... Z pomocą przyszedł mi przypadek — skrzyp drzwi w ciszy zimowego przedpołudnia i dziura w starym płocie, która pozwoliła mi zerknąć w głąb zapuszczonego ogrodu i odkryć przyczynę owego skrzyppu. Najpierw moje oczy zaskoczył widok piętrowej podmiejskiej restauracji o typowej „ogródkowej” zabudowie z drewna, malowanej w wesołe, jaskrawe kolory — żółty i zielony, a

następnie postaci, która właśnie opuszczała domostwo — wysokiej, cienkiej jak tyczka, opatulonej ogromnym płaszczem i nakrytej niezbyt pewnie trzymającym się cylindrem. Budowli ogródkowych sporo było we Wrocławiu, a choć przeznaczone z reguły na lato, funkcjonowały od wiosny do jesieni, a niektóre — skromniejsze — czynne były cały rok. Były więc ogródkowe restauracje „Pod Zielonym Polakiem” przy Bramie Ruskiej, „Pod Złotą Koroną” w Rynku, „Pod Gruszą” przy Bramie Odrzańskiej, był Ogród Weissa, Ogród Liebicha i inne. Ten tutaj czynny był za czasów napoleońskich i nawet kiedyś w jakiejś anegdocie mówiono mi o nim. Nazywał się „Mademoiselle Julie” i nazwę tę, acz nie bez trudu, dało się jeszcze odczytać pod warstwą kurzu. Niemcy nazywali ten przybytek „Schöne Julie”, a Polacy — „Julcia”. Za moich czasów trudno było już w tej ruderze odnaleźć ślady dawnej świetności, jeżeli w ogóle była to kiedykolwiek świetność.

Dyskretnie przyjrzałem się osobnikowi, który opuścił dom, po czym ukryłem się za płotem, tym bardziej że zaraz po opuszczeniu progu i zawarciu skrzypiących drzwi nieznamy zaczął pilnie się rozglądać, jakby przeczuwał, że jest śledzony. Furtkę w płocie zamknął równie starannie jak drzwi wejściowe, potem jeszcze raz obejrzał się i szybkim krokiem podążył na swoich pajęczych nogach w stronę miasta. Przypomniałem sobie wówczas przyzwisko, jakie usłyszałem z ust Matyldy — Pająk. Jego czarna, pokraczna sylwetka zarysowała się wyraźnym konturem na tle ośnieżonej drogi. W prawej ręce niósł w czarnym futerale skrzypce.

Nagle zaczął padać znów śnieg i malowana tuszem na białym tle sylwetka zaczęła tracić ostrość konturów, rozmazywać się, ginąć mi sprzed oczu, aż zniknęła zupełnie.

Wróciłem wówczas do obserwacji domu i mimo że furтка była zamknięta, znalazłem dość łatwo takie miejsce, gdzie ruchome deski w płocie pozwoliły mi dostać się poza ogrodzenie, a nawet obejść ruderę z bliska — dookoła. Na parterze mieściła się zapewne kiedyś sala restauracyjna, a na zapleczu kuchnia. Mansardowy dach skrywał dawne mieszkanie właściciela, a być może również dyskretne „pokoje do wynajęcia”. Wszystkie okna na parterze zabite były deskami, co uczyniono zapewne nie tylko w obawie przed złodziejami, ale również dla utrzymania wewnątrz temperatury nieco wyższej od panującej na dworze. Część okien na pięterku miała zawarte okiennice, ale w trzech, pozbawionych okiennic, zawieszono zasłonki lub firanki. Na tle jednej z nich w najdalszym oknie zobaczyłem nawet doniczkę z jakimś kwiatkiem. Z komina szedł w górę biały dym, który na wysokości koron przydrożnych drzew nagle skłębiał się i rozciągał welonem, ginąc w zasłonie śnieżnych płatków.

Gdy tak stałem z głową podniesioną, z wzrokiem błakającym się po odrapanej fasadzie, po zniszczonym dachu i smutnych oknach, za szybą jednego z nich zamajaczyła mi główka młodej dziewczyny. Początkowo wydała mi się złudzeniem, udałem więc, że patrzę w innym kierunku, aby jej nie spłoszyć, a następnie gwałtownie odwróciłem głowę i spojrziałem w tamtą stronę. Nie było to jednak złudzenie. Główka tkwiła nadal w obramowaniu okna — jak w portrecie — chyba nie lękała się, a nawet przeciwnie — wydawała się zainteresowana moim pojawieniem się przed domem. Uśmiechnąłem się więc do niej i ukloniłem się — co było dla mnie samego gestem zaskakującym, należałem bowiem do ludzi nieśmiałych, a podwójnie onieśmiała mnie obecność młodych, ładnych dziewcząt. Zauważyłem, że dziewczyna zachowuje się tak, jakby chciała mi coś zakomunikować,

wykonała niezrozumiałe gesty, potem wyraźnie starała się otworzyć okno, ale nie dała temu rady i wówczas uświadomiłem sobie, że okno jest pewnie zabite trwale gwoździami i nie da się otworzyć. Czyżby tajemniczy skrzypek wzięł dziewczynę w tej ruderze?

Nagle dziewczyna zniknęła, a kiedy tak dalej stałem, pełen najróżniejszych myśli, oczekując chyba na jej ponowne pojawienie się, czyjś głos ostrym tonem zapytał za moimi plecami:

— Czego pan tu szuka?

Zanim jeszcze odwróciłem się, byłem pewny, że pytanie to nie pochodziło z ust skrzypka, nie wyobrażałem sobie, że mógłby być zdolny do takiego tonu. Pytanie zostało postawione po niemiecku, ale z akcentem typowym dla człowieka, który wyrósł w innych stronach, gdzie mowa miała szczególnie śpiewne brzmienie. Odwróciłem się więc i stwierdziłem, że mam przed sobą mężczyznę w starszym już wieku, otulonego kożuchem, jaki noszono na wsi. Na głowie miał wymięty kaszkiet, spod ocienionych daszkiem, krzaczastych brwi patrzyły ku mnie bystre, ale uczciwe, siwe oczy. Dalej był potężny zaróżowiony nos i obfite postrzępione wąsiska.

— Jestem tu dozorcą — dodał nieznajomy, jakby pragnąc usprawiedliwić swój srogi ton. Być może mój wygląd, moje spojrzenie uspokoiło go trochę, a kto wie, może pomyślał, że jeżeli tu jestem, to widocznie mam do tego prawo.

— Chyba znam pana z widzenia — zełgałem. — Jestem sąsiadem. Mieszkam na studenckiej stacji u pani Kluge — dodałem.

— Kto tam jest dozorcą? — spytał szybko nieznajomy, jakby w mojej odpowiedzi pragnął znaleźć ostateczne wyjaśnienie.

— Maciej Skobek. Zna go pan zapewne.

Twarz stróża rudery wypogodziła się, a w każdym razie sygnalizował to jego nos, jego sterczące wiechcie żołdackich wąsików i bystre spojrzenie oczu.

— Jak mam nie znać, jeśliśmy, z przeproszeniem pana, z jednej kompanii.

— Z powstania? — spytałem po polsku.

— A jakże, z powstania — odpowiedział w tym samym języku. — Tyle, że on z Mazurów, a ja spod Suwałk. Suwalszczyzna, słyszał pan?

— Pewnie, że słyszałem...

Nie, jeśli kryła się tu gdzieś jakaś tajemnica, ten człowiek był co najwyżej jej biernym, formalnym strażnikiem. Należało z tej okazji skorzystać i dowiedzieć się więcej o skrzypku i cokolwiek o zamkniętej w domu dziewczynie.

— Nazywam się Julian Ostoja — rodem spod Warszawy, ale po powstaniu zamieszkały w Wielkim Księstwie Poznańskim. Wyszedłem przy święcie pospacerować na śniegu, a przy okazji zerknąłem na ten dom. Jestem studentem i należę do kółka dramatycznego. Szukamy sali, w której moglibyśmy organizować spotkania teatralne. Tu, zdaje się była taka sala.

— Ja nazywam się Wojciech Pietrz, ale tego żaden Niemiec nie wymówi, w „becirku” wystawili mi więc papiery na nazwisko Pieter. „Adalbert Pieter”, można się uśmieć! Nie protestowałem, bo i tak dobrze, że nie przegnali mnie stąd precz na Zaksy, czyli do Saksonii, albo nie wydali w łapy carskich sług, trafiłbym wtedy ani chybi na Sybir albo do katorżnickich rot. Wielu polskich żołnierzy to spotkało. Nie liczni pozostali we Wrocławiu, jak na ten przykład ja i Sobek. Dozoruję teraz aż w dwóch domach, ale ten drugi to prawie pałac! Mieszkam tam. Blisko głównego wejścia do Ogrodu Botanicznego. To jeszcze „ein Palast” z dawnych, austriackich czasów, zanim nastały tu Prusy. Gospodarz —

także myślący po austriacku, a nie po prusku. Nawet katolik. Za niewielką opłatą i z jego zgodą przyjąłem także pieczę nad tą oto rudera, bywam tu raz na dzień, żeby doglądnąć, czy wszystko w porządku. Ale co do wynajęcia, to spóźnił się szanowny pan. „Medemoiselle Julie” wynajął pewien profesor gry na skrzypcach. Mieszka tu ze swoją córką. Nazywa się Witeliusz Czorba. Słyszałem też, jak mówiono Korba, ale pisze się przez „C” — kto by się w tym wszystkim połapał? Ludzie nazywają go Pajakiem, bo chudy straszliwie, a ubiera się, tak, że strój tę jego chudość jeszcze podkreśla. Teraz go nie ma. Zapewne poszedł grać na skrzypcach u Świętego Krzyża. Słyszałem, jak gra. Wiele się na tym nie znam, ale mógłbym słuchać tego godzinami. Rozumie po, polsku i po niemiecku, ale słyszałem, jak w innych językach także gadał, nawet po madziarsku.

— Nazwisko jakby węgierskie. U Madziarów piszą je przez „c” i „s” Csorba, a czytają rzeczywiście „Czorba”.

— No, pan student uczony — wie najlepiej.

Rozmowa przedłużyła się i obaj wyglądaliśmy już jak dwa śnieżne bałwany. Eks-żołnierz Powstania Listopadowego lubił zapewne gawędzić, ale teraz należało rozmowę kończyć, — przedtem jednak chciałem go zapytać o zjawisko, które dostrzegłem w oknie.

— Pan profesor Czorba mieszka tu więc tylko z córką?

— Tak, tylko z córką. Ale to dziwak i córka też jakaś dziwna. Przesiaduje całymi dniami w domu. Zresztą wyjść nie bardzo może, bo Czorba zamyka ją na trzy spusty. Spacerują pono razem dopiero, gdy zapadną mroki. Widziałem tę dziewczynę dwa lub trzy razy, to chucherko, blade jak papier. Ma na imię jakoś dziwnie... Tarantella. Podobno po włosku nazywają tak jakiś taniec, ale kto słyszał dawać takie imię dziecku? W ogóle dziwni ludzie...

— Dlaczego jednak skrzypek zamyka dziewczynę? Boi się, że mu ucieknie?

— Sam go o to spytałem. Twierdzi, że to ze względu na bezpieczeństwo tej małej.

— Ktoś chciałby ją porwać?

— Tak wynikało z tego, co mi mówił. Żąda także, abym mu donosił, czy nikt nie obserwuje jego rudery. Groźny dla niego i tej panienki ma być jakiś Italczyk o nazwisku Tartarini. Don Gennaro Tartarini. Może to prawda, może nie, a może po prostu chodzi tu o dłużników, którzy skrzypkowi depczą po piętach, a on wymyśla takie niestworzone historie, żeby urosnąć w moich oczach na bohatera? Ja uznaję jednak tylko takich bohaterów, którzy z bronią w ręku stają w narodowej potrzebie. Mam rację?

— A gdzie pan stawałeś, jeśli wolno spytać?

— A choćby pod Ostrołęką! Maciej Sobek był tam także i może to potwierdzić. A co do tego Tartariniego, to kiedy pana zobaczyłem, pomyślałem, że pan może jest szpiegiem tego Italczyka. Ale jak się dowiedziałem, że zamieszkuje pan u pani Kluge, nie mam już wątpliwości, że pan swojak. Pani Matylda mówiła mi że tam dwóch akademików mieszka. Drugi też Polak?

— Zgadł pan. Dostaliśmy piękny pokój na parterze, dawny salon. Mój kompan nazywa się Florian Rymsza i pochodzi z Pomorza, ze Starogardu.

— Można powiedzieć, że teraz we Wrocławiu spotyka się ludzi z całej Polski.

— Ano można tak powiedzieć...

I na tym nasza rozmowa się urwała. Życzyliśmy sobie z panem Wojciechem Pietrzem wesołych świąt i rozeszliśmy się. Tym razem opuszczałem tajemniczą posesję „Mademoiselle Julie” przez furtkę, a nie przez dziurę w płocie, którą tu wszedłem. Kiedy obejrzałem się, w oknie na pięterku dostrzegłem znów główką dziewczyny. Podniosłem dłoń w górę i przesłałem jej znak, który mógł nic nie oznaczać, ale mógł zapowiadać również, że powrócę tu i przyjrzę się bliżej

tajemnicy mistrza i dziewczyny więzionej w ruderze.

Tego dnia jeszcze poszedłem wysłuchać, jak w kościele świętego Krzyża koncertuje pan Korba, Corba lub Czorba. Grał pięknie, a co szczególne — dopatrzyłem się w jego grze fragmentów kilku znanych mi kompozycji Niccolo Paganiego, połączonych bardzo indywidualnymi wariacjami. Kilka razy powtórzył się w tej grze motyw „Campanelli” i raz jeden temat „La streghe” czy „Strzyga”, który musiałby wzbudzić zdumienie — dziwny to był chyba muzyk, jeśli do nabożeństwa w czasie świąt Bożego Narodzenia, grał na chórze pieśń na cześć diabła...

Czekałem potem pod kościołem, aby z bliska zobaczyć mistrza, ale nie doczekałem się go, Może skryła go śnieżycą, a może rozpląnął się i znikł, jak czynią to podobno ludzie, paktujący z tajemnymi siłami?

Następnej nocy otworzyłem lufcik i z czołem zbliżonym do zimnej szyby długo czekałem, aż rozlegną się tony skrzypiec. Na próżno. Śnieg znów padał, ogród tonął w bieli. Potem niebo wypogodziło się i kiedy zgasilem w pokoju świecę, mogłem dostrzec na niebie wśród gałęzi drzew kilka mrugających gwiazd. Wyglądało to tak, jakby gwiazdy spadły razem z płatkami śniegu na drzewa i zaczęły o ich korony. Kiedy całe wielkie miasto nad Odrą pograżyło się już w głębokim śnie i w oknach pogasły światła, rozległ się wreszcie daleki, ledwie słyszalny dźwięk skrzypiec. Tajemniczy muzyk rozpoczął więc znów swój diabelski koncert...

2. Pistolet

Pistolet znalazłem zupełnie przypadkowo. Była to broń nowoczesna — kapiszonowa. Ten system zastępować już zaczął z powodzeniem stary typ broni palnej, choć w wojsku powszechny był jeszcze karabin skałkowy. W zamki kapiszonowe wyposażone były już strzelby myśliwskie i większość pistoletów oficerskich. Jedynie do pojedynków używano — chyba tylko dla tradycji — broni dawnego typu. Po dworach trzymano jeszcze takie cuda w ozdobnych skrzynkach, ułożone zawsze parami, łącznie ze wszystkimi akcesoriami do nabijania i czyszczenia. Niestety — było ich coraz mniej, bowiem zaborcy lękali się nawet takiej broni w polskich rękach i przy lada okazji ryszturnek pojedynkowy podlegał konfiskacie. Pistolet, który znalazłem, wykonano w stylu „broni podróżnej” — jak się ją wtedy nazywało. Ostatecznie drogi i zajazdy nie były bezpieczne i każdy podróżujący zmuszony był przygotować się na „wszelkie wypadki”.

Znałem się dostatecznie na pistoletach, żeby — po ujęciu broni w rękę — docenić znakomite wyważenie. Pistolet był dość ciężki, ale okuta kolba, o charakterystycznym kształcie maczugi, sugerowała możliwość posłużenia się nią także w walce wręcz. Nie miał żadnego napisu, żadnych inicjałów rusznikarza — co było wówczas powszechnie stosowane. Przecież nawet słynny podówczas rosyjski rusznikarz amator z Bałabanówki, tak znakomicie podrabiający angielską broń długą i krótką firmy londyńskiej „Sagallas”, rył na metalu:

„Sagallas, London, á Bałabanówka”. Nie znalazłem więc żadnych napisów, ale były trzy niezbyt równe nacięcia na drewnie rękojeści, których znaczenie można różnie interpretować — również i tak, że poprzedni właściciel oznaczył w ten sposób trzech zabitych z tej broni przeciwników.

— Dobrze, że to ja odkryłem ten pistolet, a nie Minna, gosposia lub sama pani Kluge — zwróciłem uwagę Florianowi.

Rzadko mu się to zdarzało — uchodzić przecież pragnął za bardzo dorosłego — tym razem jednak zacherwienił się. Obiecaliśmy sobie przedtem nie mieć nawzajem żadnych tajemnic, było więc to złamanie przyrzeczenia, na domiar złego wykrycie broni w naszym pokoju narażało nas obu na utratę stancji, a nawet na poważniejsze konsekwencje. Nikt nie uwierzyłby, że nic nie wiedziałem o pistolecie, zresztą na pewno nie tłumaczyłbym się przed policją w ten sposób.

— Przystałeś do karbonariuszy? — spytałem Floriana Rymśkę, a ponieważ pytanie wydało mi się nazbyt obcesowe, dodałem zaraz: — Nie odpowiadaj, jeżeli mi nie ufasz...

Karbonaryzm, karbonariusze — to było hasło epoki, którym posługiwano się raz, aby zohydzać i straszyć, a innym razem aby słać bezinteresowne posłannictwo. Każdy anonimowy mord przypisywano karbonariuszom, ale nadzwyczajny czyn bohaterki, dokonany „w imię ludzkości” uważany był także za „przejaw karbonaryzmu”. Byli tajnym bractwem, rządzone przez lokalne „wenty”, czyli „namioty”, w Galicji nazywane już z polską „porębami”. Na czele miała stać jakaś tajemnicza jednostka, której prorokiem był długo niejaki signor Buonarotti rezydujący w Paryżu lub może w Besançon — bo i tę Mekkę cyganerii wymieniano jako stolicę karbonariuszy. Ich ogólna nazwa brała się z dawnych związków leśnych węglarzy. Wzorowali się na Sprzysiężeniu

Równych samego Babeufa, ale idee rewolucyjnej Francji próbowali dostosować do współczesności. Zasadami ich była walka z tyranią, ślepe posłuszeństwo i zachowanie wiecznej tajemnicy swych spraw. Świat uzdrowić miała — ich zdaniem — przemoc, obecny porządek bowiem narzucony został ludziom także drogą przemocy. Upadku zasad moralnych chrześcijaństwa upatrywali w ich zakłamaniu — w rezyjściu się ideałów z rzeczywistością. Instytucję papieżstwa oceniali tak samo jak trony cesarzy i królów, a nawet jeszcze gorzej, potrójna tiara symbolizowała bowiem — ich zdaniem — trzypiętrową hegemonię arystokracji i potrójny rozkład wewnętrzny. Papieżstwo żądało pokory wobec panów, natomiast od panów nie wymagano szacunku dla ludzi pracy. Czyżby więc mój towarzysz stacyjny przystał do tego tajnego bractwa? W Polsce największe ich wpływy notowano w zaborze austriackim, ale do Austrii nie było stąd daleko, a starzy Ślązacy żywili jeszcze pewne sentymenty do Wiednia, odkąd (nie tak dawno przecież) zostali gwałtem podporządkowani Berlinowi.

— Ufam ci i nie chcę mieć przed tobą tajemnic, Jul, ale stała się rzecz nieprzewidziana, złożyłem przyrzeczenie i obowiązuje mnie tajemnica wobec bractwa, której nie mogę złamać, chyba że... — tu zająknął się i urwał spoglądając prosto w moje oczy.

— Chyba że?... — powtórzyłem za nim, patrząc uważnie w jego twarz zawsze tak otwartą i uczciwą, że trudno było wyobrazić sobie ją jako maskę konspiratora.

— Chyba, że zapragniesz przyłączyć się do nas.

— Nie wiem nic o was. Nie wiem, do czego zdążacie, o co walczyacie. Ogólne hasła karbonariuszy są mi znane, ale przerażają mnie.

— Miałem zamiar odkryć przed tobą nasz cel i nasze zasady, ale chciałem z tym jeszcze poczekać. Obecnie czekanie nie ma już żadnego sensu. Jeżeli zgodzisz się, dziś po północy wyjawię ci tyle, ile wolno wyjawić komuś, kto skłania się do naszego bractwa, a nie złożył jeszcze przysięgi. Reszty mógłbyś dowiedzieć się dopiero wówczas, gdybyś znalazł się w naszym kręgu.

— Jak siebie nazywacie? Czy jesteście zwykłą „wentą” czy też macie własne, szczególne prawa i zamiary?

Chwilę milczał, jakby zastanawiając się, czy może to wyjawić, ale doszedł widocznie do wniosku, że i tak będzie musiał mi część tajemnicy zdradzić, skoro chce mnie zwerbować do swojej sekretnej organizacji, bo odpowiedział, nawet podając osobliwą nazwę swego kręgu:

— Nazywamy siebie Bractwem Tajnych Laborantów. Wyznajemy zasady włoskich karbonariuszy, ale na naszą, wrocławską modę. Przyjmujemy wyłącznie akademików wrocławskiej Alma Mater, a ponieważ cele nasze są ogólnoeuropejskie, są wśród nas członkowie z różnych stron i nacji: z Chorwacji, z Saksonii, z Austrii, z Bawarii i nawet z Italii.

Jego wyznanie przypomniało mi natychmiast śniade oblicze kolegi Spalattiego, rzeczywiście pochodzącego z ziem italskich, tyle że pozostających wciąż we władaniu Austrii. Ze Spalattim kilkakrotnie już widywałem mojego stacyjnygo kolegę, nie wiedząc, że nie chodzi o zwykłą przyjaźń.

— A więc dobrze, dziś po północy — zgodziłem się.

— Przy okazji ja będę miał coś do opowiedzenia, coś równie niezwykłego — napomknąłem, zamierzałem go bowiem zapoznać z moją świąteczną przygodą i opowiedzieć o nieznanym skrzypku i ukrywanej lub więzionej dziewczynie.

Wszystko to zdarzyło się wkrótce po świętach, kiedy Florian wrócił już ze Starogardu, choć nie wątpiłem, że powrót jego odbył się określną drogą — pewnie przez Szczawno, czyli Salzbrunn — jak brzmiała nazwa kurortu położonego u podnóża Sudetów, dokąd często młodzież akademicka wyjeżdżała na burszowskie spotkania przy piwie. Poszczególne grupy okupowały tam puste o tej porze roku pensjonaty, dyskutując o polityce i śpiewając piosenki — prowokacyjne zarówno wobec władzy, jak i moralności.

Cała Europa dyskutowała wówczas i wydawało się, że z tej dyskusji narodzi się coś wspaniałego. Wielu studentów myślało, że wystarczy tylko sensowne hasło i kilkanaście karabinów, aby jutro, a najdalej pojutrze runęły trony i pękły granice wielkich monarchii. Rewolucja dla wielu z nich to przede wszystkim wiersz, odpowiedni gest i strój. Europa to scena. Nie byli tchórzami, o nie! Ale romantyczną śmierć — „najlepiej na barykadzie” — przedkładali w swoich marzeniach nad rachowanie możliwości zwycięstwa... z ołówkiem w ręku. Nie był to jednak ten sam romantyzm, który wstrząsnął Europą na początku wieku. Sentymentalizm miłosnych pogwarek przy wodospadzie, nad jeziorem, pod płaczącą wierzbą — odchodził z marzeń młodzieży i tylko u jednostek takich jak ja pokutował kult cierpień młodego Wertera. Współczesność chciała czynu, chciała barykad. Odpowiadał jej duchowi Fabrycy del Dongo bohater Stendhalowskiej „Pustelni Parmeńskiej” i za Mazzinim potępiała ona papieżstwo, broniące chwiejących się tronów. Ale w polityce wierzyła wciąż jeszcze w poezję, w cuda i magię. „Bóg i lud” było przecież hasłem włoskiego risorgimenta, a tajne zebrania włoskich i francuskich karbonariuszy odbywały się z reguły w scenerii, która ucieszyłaby niejednego malarza, poetę czy twórcę oper. Dlatego właśnie Florian Rymsza obiecał mi wyjawienie swojej tajemnicy dopiero „po północy” jakby nie mógł tego dokonać zaraz. Ale nie byłoby to w stylu

epoki, która umrzeć miała dopiero po upadku Wiosny Ludów — za lat pięć, nie byłoby to także chyba w ówczesnym moim stylu — romantyka i marzyciela, choć operującego w innych regionach niż moi rozpolitykowani koledzy.

Mój Boże, w iluż wrocławskich stancjach i lokatorskich pakamerach w oficynach odbywały się wówczas podobne spowiedzi i poufne konwentykle? Ileż rodziło się sekretnych związków i bractw, których członkowie zwracali się nawzajem do siebie — „bracie” albo „kuzynie”?...

Tak więc nadeszła północ i kiedy już cały dom wydawał się pogrążony w absolutnej ciszy, wstaliśmy obaj z łóżek, zapaliliśmy świecę i podjęliśmy rozmowę zapoczątkowaną z okazji znalezienia pistoletu. Na pierwszym miejscu znalazł się zresztą temat właśnie pistoletu. Postanowiliśmy bowiem, pracując tylko nocami i w „absolutnej ciszy”, przygotować w ciągu tygodnia schowek w boazerii, w jakim można by przechowywać „tajne dokumenty” (których jeszcze nie mieliśmy), a także broń, proch i kule... I mimo sprzyjania tak różnym romantyzmom, przecież w sprawie pistoletu dogadaliśmy się łatwo. Gorzej było z obaleniem wszystkich tronów w Europie. Gdybyż szanowna pani kupcowa Kluge wiedziała, co się w lepetynach jej lokatorów wyprawiało!

Już wstępne zwierzenia mojego przyjaciela upewniły mnie, że nie należał on organizacyjnie do owej sekretnej sieci agentów karbonaryzmu, którą pleciono we Włoszech i we Francji — stopniowo rozpościerając ją nad całą Europą, choć przyznawał się do bliskiego z nimi pokrewieństwa. No cóż, „wszyscy ludzie wolni są braćmi”. Braterstwo łączyło więc wszystkich w walce o wolność, a wolność niosła również braterstwo. Czym jednak w istocie była wolność i czym braterstwo, jeśli chciało się przełożyć te piękne słowa na język codzienności?

Nazwali siebie Bractwem Tajnych Laborantów, bo tak jak w lasach Italii istniały obozy węglarzy, które stały się wzorcem dla sekretnych przysiężeń Półwyspu Apenińskiego, tak w Sudetach grasowali od lat zielarze walońscy i poszukiwacze skarbów — zorganizowani również w tajne bractwa.

— Nie zdradzę ci nazwisk ani zasad organizacji, ale mogę cię zapewnić, że sami jesteśmy dla siebie wielkim namiotem i skromną wentą. Nie szukamy patronów ani w Paryżu, ani w Besançon, ani na Sycylii. Ale tak samo jak oni wymagamy posłuszeństwa i nieprzejednanej walki z tyranią — i tu wymienił jednym tchem carów, cesarzy, królów i biskupów. — Chcemy wyrzucić dnem do góry cały świat!

— Ambicje, muszę przyznać, wysokie, jeśli wierzyć ci, że jest was „mała gromadka”, złożona „z wrocławskich studentów”.

— Nie bądź złośliwy, Jul, bo zacznę żałować, że uchyliłem ci rąbka tajemnicy. Sami nie dokonamy niczego, ale nasze działanie wspomogą wszystkie buntownicze ruchy młodej Europy, a te wspomogą nas. Jeszcze o nas usłyszysz.

— Młoda Europa myśli dziś inaczej niż wy. Karbonaryzm w czystym wydaniu jej nie interesuje, dobry był za Pierwszego Konsula. Młoda Europa chce wyzwolenia narodowego, a nie samej walki z tyranią. Nie dla niej już „Vanina Vanini” — woli plotki o miłości Stendhala do Alberty de Rubempré lub młodziutkiej Giulii Rinieri...

— Włoski karbonaryzm to właśnie walka o zwalenie tyranii cesarstwa austriackiego. Jesteś ignorantem, Jul, w sprawach polityki i w sprawach miłości. Gdyby w Polsce...

— Mój kochany, właśnie chciałem dojść do tego, co dzieje się w Polsce. Szanuję wasze ideały, pomogę wam, gdy zajdzie potrzeba, ale na rzecz wyzwolenia Słowian ciemżonych przez Austrię i Prusy, uczynić może więcej szacowne grono Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, powołane do

życia przez zacnego pana Jana Ewangelistę Purkyniego niż bomba. Uczynić może cały krąg badaczy skupiony wokół autorytetu katedry literatur słowiańskich na wrocławskiej Alma Mater niż Buonarotti i tysiące jego zamaskowanych sztyletników.

— To dziwne, że naukę przeciwstawiasz orężowi. Czy nie znalazłby u ciebie uznania ksiądz Ściegienny, którego teologią było wyzwolenie Polski i którego Chrystus zapewne gotów prędeż iść z karabinem przeciw wrogowi, miast umierać na krzyżu? Ściegienny, jak wiesz — aresztowany, a jego Związek Narodu Polskiego — rozbity! Wrze za to obecnie w Galicji — powstają tam związki stworzone na wzór karbonaryzmu. Wrze w Rzeczypospolitej Krakowskiej. Wrze na Pomorzu — gdzie bywałem niedawno i wrze w Wielkim Księstwie Poznańskim. A przecież tak niedaleko, na progu Wrocławia — w Bielawie i Pieszycach wybuchło ubiegłego roku powstanie tkaczy. Rozprzestrzeniło się szybko na cały obszar Śląska, a echem tych wydarzeń były barykady, karabiny i kamienie — tu, na ulicach Wrocławia! Nie było cię wówczas w naszym mieście, bo jeździłeś do swoich Łęczyc, ale ja byłem. Byłem, widziałem i sam ciskałem kamieniami. Gdyby istniały silniejsze organizacje w mieście, tak łatwo władze nie opanowałyby sytuacji. Tkacze z Bielawy i Pieszyc przegrali, a z nimi razem przegrała Młoda Europa, ale czy to znaczy, że w ogóle powstanie było niepotrzebne? Czy, twoim zdaniem, literackie dyskusje mogą zastąpić bezpośrednią walkę? Przywiozłem z domu gazetę „Vorwärts”, jaką wydają w Paryżu rewolucyjni demokraci. Posłuchaj, jak wydarzenia te, które Europa nazywa „powstaniem tkaczy śląskich”, komentuje wrocławski -korespondent tej gazety, pan Wolff — „...jeśliby tkacze utrzymali się nieco dłużej, poważne

rozruchy zaczęłyby się bardzo szybko i wśród nas. Sprawa tkaczy wydaje się również i naszą sprawą...” Czyż to nie prawdziwe? Czyż nie piękne?

— Jedno drugiego nie wyklucza — wzruszyłem ramionami. — Dziś można dyskutować o Mickiewiczu, a jutro iść z karabinem na barykadę, ale boję się tych, którym wizja barykad przesłoniła inne wartości.

— Jakże znów „inne wartości”? — Rymsza był wy, raźnie zdenerwowany moją krytyką jego ideałów.

— „Jakże znów inne wartości”? — powtórzyłem jego pytanie. — Choćby miłość. Kiedy ty jeździłeś na Pomorze i konspirowałeś, ja zakochałem się... Zakochałem bez pamięci. I to w kimś, kto jest godny pędzla artysty, pióra poety, a równocześnie jakże przerażająco tajemniczy.

To moje wyznanie rozładowało napiętą atmosferę. Rymsza coś tam jeszcze burczał o „drobnych mieszczanach” i „braku rewolucyjnego ducha”, ale na koniec roześmiał się. Spytałem go wówczas, czy chce posłuchać, co mi się przydarzyło. Chciał, mimo wszystko. Wróciłem więc w moim opowiadaniu do pamiętnego wieczoru wigilijnego, kiedy usłyszałem głos skrzypiec, i następnego dnia, kiedy ujrzałem Tarantellę. Tak zakończyła się nasza dyskusja o sposobach wysadzenia w powietrze Europy. Mieliśmy jeszcze do tego tematu wrócić — może bez takich namiętności, a wreszcie nawet w stokroć okrutniejszych warunkach — dojść do porozumienia, ale tymczasem nastąpiło między nami zawieszenie broni. Zresztą może źle się wyraziłem — raczej uzgodniliśmy wspólne działanie, niż przerwę w ofensywie. Już fascynacja pistoletem pogodziła nas — teraz udzieliła się nam następna. Broń i piękna, tajemnicza, młoda kobieta — oto zainteresowania w sam raz dla młodzieńców noszących aksamitne kokardy pod szyją i akademickie rondle na głowach, a żyjących w 1845 roku.

— Zaczyna to być interesujące... — mruzczał Rymsza. —
Mówisz, że więzi ją ta kreatura?

— Na to wygląda...

— I jest jej ojcem?

— Wygląda raczej na dozorcę więziennego niż ojca.

— Do licha!... Więc mówisz, że ją kochasz?

— Do szaleństwa! — odpowiedziałem, stosując się do literackiego stylu epoki, prawdę mówiąc, nie wiedziałem jeszcze, co to miłość i co to miłosne szaleństwo.

— I czego oczekujesz ode mnie? Potwierdzenia słuszności wyboru?

— Nie! To już zostało dokonane. Teraz chodzi mi tylko o poznanie jej bliżej i powiedzenie jej samej o moim szaleństwie. I, na Boga, o uwolnienie jej!... Ty mi w tym możesz pomóc!

— Na wszystkie rewolucje świata, pomogę ci w tym, Jul! Nawet moim pistoletem!... Ale teraz opowiadaj dalej...

Mogę się dziś przyznać, że trochę tę opowieść ubarwiłem, zależało mi bowiem na zainteresowaniu Rymszy moją przygodą. Nie chciało mi się również toczyć dyskusji o jego ogólnoeuropejskich problemach. Ani Prusy, ani Austria, ani wiele innych państw nie budziło mojego zaufania, nawet gdy mówiono tam o wolności, równości i braterstwie. Dla mnie pierwszym dowodem na to, że ideały — jakże górne — sięgają ziemi, był stosunek do sprawy polskiej. Gdy Prusak mówił o wolnej Warszawie, widział ją już pełną pruskich urzędników. Tak przecie odbyło się „uporządkowanie polskich spraw” po trzecim rozbiorze i dlatego pan Hoffmann mógł asesorować w Płocku i Warszawie, zanim jeszcze wyjechał do krajów niemieckich, bo w Polsce asesorami stali się rdzenni Polacy. Stali się zresztą na krótko, zanim ich miejsca nie zajęli urzędnicy „batuszki cara” — przekupni i głupi, także mówiący o wolności. Międzynarodowe Bractwo

Tajnych Laborantów — myślałem sobie — a co powiedzieliby jego członkowie, gdyby zapytać ich o metryki wrocławskie? Jeszcze się zgadzali na wyzwolenie tkaczy Lyońskich czy neapolitańskich włóczęgów — ale jak zareagują na nowe powstanie w Polsce, co powiedzą, gdy pewnego dnia my wszyscy — Polacy we Wrocławiu — założymy biało-czerwone kokardy? Nie będzie już tych kokard tyle, ile mogło ich być sto lat temu, ale dostatecznie dużo, aby przerazić wrocławskiego mieszczaucha klepiącego w niedzielę na mszy „Vater Unser”. A młoda generacja, a owe Młode Niemcy — śniące o zjednoczeniu kraju i głoszące hasła „Deutschland über alles”. Niemcy — ale w jakich granicach? może nad Wisłą, dokąd doszli feldjegrzy Starego Fryca?

I to były moje niepokoje, z którymi tego wieczoru zasypiałem, myśląc o pistolecie Rymszy. I to były refleksje po moim opowiadaniu o Pająku vel panu Czorbie, jego pięknej córce Tarantelli, diabelskich skrzypcach i tajemniczym Tartarinim, o którym napomknął mi weteran Listopadowego Powstania, dozorca dwóch posesji, Adalbert Pieter, czyli Wojciech Pietrz.

Rozmawialiśmy z Rymszą jeszcze czas jakiś po zgaszeniu świecy, leżąc w łózkach. Byliśmy jednak już senni i Rymszy pomyliło się nagle nazwisko pirańskiego skrzypka Tartiniego z Tartarinim, a Tarantelli z całą gamą dziwnych bohaterów opowieści pana Hoffmanna, towarzyszących różnym koszmarnym wynalazcom, potworom i nekromantom. Jeszcze przed snem, jakby nagły przebłysk przytomności, wróciła mojemu przyjacielowi obawa, czy przypadkiem nie za wiele powiedział mi o swoim sekretnym bractwie.

— Powiedziałeś mi tyle, ile wymagało zapoznanie mnie z ideałami waszych poczynąń — odparłem. — Gdybym miał

przystąpić do was, musiałbym przecież wiedzieć, z kim się wiąże, a tymczasem przekonania o słuszności obranej przez was drogi nie mam. Poczynania wasze szanuję ze względu na szczytne idee finalne — braterstwo, równość wyzwolenie. Ale obecnie...

— Nie trudź się, mój miły. Ewentualność przystąpienia do nas nie jest na dziś. Czternastego nie przyjmujemy.

I tak wygadał się, że ich krąg czy wenta liczyć będzie zawsze trzynastu. Może żeby było oryginalniej, bo praktyczny stąd skutek — żaden. Był chyba zbyt gadatliwy w tej swojej agitacji na rzecz wrocławskich karbonariuszy. Spozstrzegł pewnie, że gada za dużo, bo ostatnie jego zdanie, wyrażone w czerń nocy brzmiało „Za wiele ci powiedziałem, za wiele... Nawet imię naszego sprzysiężenia jest ci wiadome...”

— Nic mi w gruncie rzeczy nie powiedziałeś, Rymsza. A imię sprzysiężenia? Już je zapomniałem. Coś jak „Związek Ciemnych Zielarzy” albo „Zakon Spokojnych Ogrodników”. Nie pamiętam... — skłamałem, aby nic go już nie trapiło. A w rzeczywistości nazwę zapamiętałem dobrze: Bractwo Tajnych Laborantów.

Wydała mi się nawet zabawna, nie wiedziałem bowiem tego, co wiem dziś, że w pewnych warunkach nawet zabawa może przeobrazić się w dramat. — Nic z twojego gadania nie zapamiętałem, prócz tego, że chcecie dopomóc Europie w zrzuceniu tyranii, a ponieważ tyrania posługuje się przemocą, uznajecie przemoc jako główny oręż. Spij już jednak, bo noc naokoło głęboka, może i świt niedaleko, a jutro ruszymy razem na podbój Europy. Ścisłej mówiąc — na zdobycie dla mnie Tarantelli...

Ale tego już nie słyszał. Spał. A sen miał tak głęboki, że nie doszły jego uszu nawet dalekie dźwięki zaczarowanych skrzypiec. Zresztą — kto tam wie, czy istotnie tej nocy usłyszałem wariacje na tematy mistrzów smyczka z Pirano,

Neapolu czy Cremony? Może mi się tylko przyśniła gra
Czorby zwanego Pająkiem. A może w ogóle wszystko było
snem — dziewczyna, śnieg, Wrocław, niebo i gwiazdy?

3. Wyprawa w ciemność i mgłę

Spałem długo, tak długo, że kiedy rozbudziłem się, mojego towarzysza Floriana Rymszy nie było już w domu. Nie dbale posłane łóżko wskazywało, że sam się tym zajął, pragnąc zapewne, aby Minna mnie nie obudziła. Śniadanie przeznaczone dla mnie stało na stole, a mleko było jeszcze ciepłe. Woda w dzbanku na umywalni także ciepła — musiał więc odejść niedawno. Na wykłady? Nie. Gdyby szedł na wykłady, na pewno by mnie obudził. Uświadomiłem sobie nagle, że dziś jest niedziela — widocznie więc zalecił gosposi i pokojowej, aby mnie nie budziły zbyt wcześnie. Bardzo możliwe zresztą, że Minna miała wolne — wówczas cały kłopot z przyrządzaniem śniadania spadał na głowę Matyldy. Pani Kluge przebywała jeszcze u wód. Zegar wybił dziesiątą. O tej porze w niedzielę na ulicach Wrocławia dopiero rozpoczynał się ruch — pierwsze pary sunęły do kościołów — w większości ewangelickich. Po jedenastej miasto ożywało. Po nabożeństwie południowym, które w wielu kościołach połączone było z koncertem z udziałem chórów, solistów, organów, skrzypków i całych orkiestr — mieszczaństwo spacerowało po ulicach, głównie wokół ratusza.

A więc niedziela — czas nabożeństw i koncertów. Czemu o tym wcześniej nie pomyślałem? Była to przecież okazja, wybrać się — pod nieobecność skrzypka — do pstro pomalowanego domku „Mademoiselle Julie”.

A obietnica Rymczy o wspólnej wyprawie? Być może wybiegł tylko coś załatwić, bo nie podejrzewałem go o to, że spieszo mu było do kościoła. Przechodził okres deizmu, w którym czei się Moc i Miłość oraz odczytuje przesłanie ewangeliczne na własny sposób. On wierzył w braterstwo wolnych, ja — w braterstwo zakochanych, nad którymi czuwają Bóg i Natura albo po prostu Bóg-Natura. W gruncie rzeczy była to postawa większości młodzieży — tyleż protestanckiej wszystkich odmian, co i katolickiej. Posłuszeństwo — oto czego wymagano od nas wówczas zarówno na lekcji religii, co na policji. Posłuszeństwo wobec monarchii, władzy świeckiej i duchownej. Ba, wówczas...

Być może Rymcza siedział o tej porze wśród tajemniczych wrocławskich karbonariuszy, obmyślając kolejne obalenie czyjegoś tronu, kiedy ja pospiesznie dokonywałem porannej toalety i łykałem śniadanie, aby podążyć za głosem serca.

Pisałem już, że mieszkam za Odrą, na przedmieściu, w pobliżu Ogrodu Botanicznego. Najbliżej miałem z domu pani Kluge na Ostrów Tumski i na Wyspę Piasek. Dalej była już Odra i Most Piaskowy, prowadzący wprost do centrum.

Bardzo często w porze lata biegłem tam o świcie, aby nacieszyć oczy pejzażem nadodrzańskim i panoramą miasta. Dziś jednak zapragnąłem wstąpić do kościoła Świętego Krzyża. Była to osobliwa, dwupoziomowa budowla — fundacji samego księcia Henryka IV Probusa. Tu pochowano zresztą tego polskiego księcia, stawiając mu wspaniałe sarkofag — zwiastujący w polskim średniowieczu ducha europejskiego renesansu. Podobiznę Księcia Henryka można zresztą oglądać w kościele Świętego Krzyża również w zworniku zakrystii, gdzie umieścił ją nieznany budowniczy. W latach mojej młodości w kościele tym gromadzili się Polacy

wrocławscy. Nauki głoszone były tu do niedawna po polsku — zwłaszcza w święta i niektóre niedziele. Kiedy zajrzałem do świątyni, gromadził się już spory tłum wiernych. Obok kropielnicy zastałem ręcznie pisaną kartę, na której informowano, że nauki głosić będzie się dziś po polsku oraz że na mszy głównej wystąpi pani Augusta Geisthardt — polska śpiewaczka, której debiut odbył się dwa lata wcześniej w sali hotelu „Pod Królem Węgierskim”. Artystka przygotowywała się właśnie do koncertu w Wiedniu i jej występ w kościele miał stanowić zapewne wprawkę publiczną przed przyszłym audytorium zagranicznym. Jeżeli więc pan Czorba nie grał tutaj na południowej mszy, być może zaproszono go gdzie indziej albo po prostu został w domu? I nagle zauważyłem drugą karteczkę z informacją — a jednak! — Czorba miał wystąpić w kościele Świętego Krzyża, tylko że na mszy popołudniowej, o piątej!...

Dzień był pogodny, postanowiłem więc samotnie przejść się w pobliże kolorowej rudery „Mademoiselle Julie” — jak czynią to zakochani, którym wystarczy czasami popatrzeć na mury domu zamieszkiwanego przez wybrankę ich serca. Opuściłem Ostrów Tumski. Znów byłem na znajomej ulicy — dziś leżało na niej jakby mniej śniegu. Zobaczyłem kolorową rudere i wytarty napis, zamknięte okiennice i pustkę dookoła. Może istotnie rzadko mijali ten dom przechodnie, a po zapadnięciu mroku tylko cień pająkowatego skrzypka tędy przemykał? Przystanąłem. Wydało mi się bowiem, że słyszę dźwięk skrzypiec, ale jakiś głuchy, stłumiony. Oмамienie? Nie! We wnętrzu domu istotnie ktoś grał. Wyobraziłem sobie, że w nocy, kiedy brzmienie skrzypiec słychać było aż w moim stancyjnym pokoju, mistrz Czorba musiał grać chyba na piętrze, przy otwartych oknach. Czyżby w dzień grał przy szczelnie zamkniętych okiennicach?

Wiedziałem już, którą deskę poruszyć, aby dostać się poza plot. Żadnego psa tu nie było. Podkradłem się więc pod jedno z okien parteru, za którymi znajdowała się dawna sala restauracyjna. Nie omyliłem się — mistrz grał właśnie tu, w tej sali. Ćwiczył. Nie marnował niedzielnego przedpołudnia.

Nagle pieśń skrzypiec urwała się. Skrzekliwy głos zaczął coś mówić, jakby tłumaczyć. Czyżby ten koncert i komentarz do niego przeznaczone były dla Tarantelli? Chyba tak. Znalazłem szparę w okiennicy, ale nic nie zobaczyłem. Natomiast przykładając ucho, mogłem wyraźniej usłyszeć, co mówił. Był to żargon cyrkowy, w którym niemieckie słowa mieszały się z włoskimi, ale padały również całe zdania po polsku — czy może ze względu na Tarantellę? Polecenia ściśle dotyczące baletu wydawane były — to zrozumiałe — po francusku.

A więc odbywała się tu próba! Jaka znów próba? Przedstawienia? Zapragnąłem wejść i zobaczyć tę scenę. Objasnien Czorby nawet dość wyraźnie słyszalnych, nie mogłem zupełnie zrozumieć.

— Allons, allons... Ausgangstellung do sur le cou-de-pied i naprzód. Vorwärts! Dół do drugiej pozycji. Ja, ja — gut! Ale nie zginać kolana, a Fuss do tyłu! To ma być petit battement, kotku, sur le cou-de-pied. Verstanden?

Podszedłem do drzwi wejściowych i bez nadziei na efekt nacisnąłem klamkę. Ku mojemu zdumieniu — były otwarte! Mroczny korytarz, potem schody w górę i schody w dół — chyba do dawnej sali restauracyjnej. Skrzyp podłogi, przyspieszone bicie serca i szpara między dwoma skrzydłami wejścia. Mroczne wnętrza wielkiej sali i mrugające światła rozstawionych dookoła kilku świec. Między dwoma filarami podtrzymującymi strop — rozciągnięta lina. Na linie, kilka stóp nad ziemią — jak biały motyl — tancerka w białym stroju lalki. Niżej mistrz Czorba. Trzymał w ręku laskę, którą

wybijał takt. Potem odłożył laskę i zaczął grać. Ruchy tancerki stały się szybsze i jakby pewniejsze. Tańczyła tak, jakby jej stopy dotykały podłogi, a przecież znajdowała się cały czas nad ziemią, na rozciągniętej linie. Jej oczy... tak, oczy miała cały czas zamknięte, mimo że drobne stopy w białych, miękkich pantofelkach opierały się na linie. Spojrzałem na Czorbę — on również miał teraz oczy zamknięte. Było coś upiornego w tym mrocznym wnętrzu, w migającym blasku świec, w tej zwiewnej postaci dziewczyny, poruszającej się z taką łatwością po linie, której jakby zupełnie nie było — w mroku była ledwie dostrzegalna...

Magnetyzer — pomyślałem. Hipnotyzował dziewczynę i kazał jej tańczyć! Teraz nazwanie go Pajakiem wydało mi się jakże uzasadnione! Muchą była Tarantella — nazwana jak włoski taniec, naśladujący gesty człowieka ukąszonego przez jadowitego pająka. Mucha w sieci pająka? Ale sprawa nie była tak oczywista i prosta, bo była tu jeszcze — z tą parą — muzyka. I jakże wspaniała muzyka! Chyba to nie hipnoza, ale magia muzyki sprawiała, że szczupłe nóżki tancerki z taką łatwością odnajdywały linę i pod wpływem muzyki znajdował się sam hipnotyzer.

Bąłem się uczynić jakiś gest, zrobić krok naprzód, aby nie obudzić z transu muzyka i tancerki — dla niej oznaczać to mogło upadek — może nawet śmierć?... A dla niego?

Wycofałem się, zamknąłem za sobą dwuskrzydłowe drzwi, wybiegłem z domu, jakbym uciekał po dokonaniu przestępstwa. Z łatwością znalazłem ruchomą deskę w płocie i już byłem na pustej ulicy, zawsze pustej, jak gdyby tu nikt więcej nie przychodził prócz skrzypka, dozorczy i mnie.

Wiem, że mi nie wierzycie. Wszystko to było jakże niezwykłe, jakby narodzone z marzeń, wyklutych pod wpływem lektury książek, operujących podobnymi symbolami

osobliwości i grozy. Ale jest przecież tak, że to rzeczywistość narzuca literaturze pewne schematy gestów i znaków, które ona potem zwraca naszej codzienności. Przyjmuje wrażenia, nastroje — a zwraca uporządkowane fakty wpisane w kroniki, w świadectwa i pamiętniki, w nasze własne życie. Co zrobić jednak, gdy przeżycia są tak zgodne z fikcją, z marzeniami, z opowiadaniem prababek? „To nie prawda, takiego zwierzęcia nie ma na świecie!” — miał powiedzieć kiedyś pewien wieśniak, gdy w zwierzyńcu pokazano mu żyrafę. My także niejednokrotnie ulegamy presji zaakceptowanej uprzednio wizji świata, do której nic więcej wpisać nie chcemy. Dlatego nie uwierzono braciom Montgolfier, kiedy powrócili na ziemię z pierwszego lotu balonem, a już w niewiele lat później w Krakowie knuto przy miodzie spisek mający na celu uratowanie cesarza Napoleona z wyspy Świętej Heleny — właśnie przy pomocy balonów... Tak niedawno jeszcze byli tacy, którzy myśleli, że w lokomotywie parowej zostały ukryte konie — „żaden wóz nie może się przecież poruszać bez pomocy konia lub wołu”. Nie wierzyć więc w magię muzyki i siłę woli?

W latach mojego dzieciństwa i młodości wciąż ludzi zdumiewała energia zawarta w iskrze elektrycznej, a ruchy udek żabich pod wpływem prądu płynącego z ogniwa galwanicznego kazały snuć pomysły ożywienia zmarłych. Na tej przesłance pani Shelley stworzyła przecież swoją gotycką opowieść o monstrum doktora Frankensteina. Wiedeńczyk, doktor Franciszek Mesmer na tejże podstawie wysnuł wniosek, że każdy człowiek jest ogniwem wytwarzającym własne prądy elektryczne. Mesmer nie żył już od 1815 roku, ale jego odkryć ani nie przekreślono, ani nie posunięto naprzód. Człowiek-maszyna doby oświecenia jawi się nam dziś dzięki temu jako instrument bardziej skomplikowany.

Wykorzystują to szalbierze — których nazywamy potocznie magnetyzerami. Ale może wśród nich są jednostki genialne?

Hipnoza? Nie wiem, co to jest, i chyba nikt z moich współczesnych nie wie dokładnie, jak ten stan zdefiniować. Ale coś takiego istnieje. Na wrocławskiej Alma Mater mieliśmy nawet pokaz — pod wpływem hipnozy człowiek wykonuje pewne czynności, których, nie dokonałby nigdy w pełnej świadomości. Może tancerka Tarantella nigdy nie zatańczyłaby na linie w pełni swej świadomości?

Wędrując w ów zimowy dzień po ulicach Wrocławia, wciąż jeszcze nie mogłem uprzytomnić sobie istoty tego, co zobaczyłem. Kim był Czorba i kim była dziewczyna? Co robili w tej ruderze? Czy Czorba był jej ojcem, opiekunem albo dozorcą? Czytałem później wiele na temat hipnozy, ale nie powiem, aby umysł mój stał się dzięki temu jaśniejszy. Zawsze odczuwałem w zetknięciu z tymi sprawami przegrodę, jakby ścianę, której zwykła ludzka myśl nie jest w stanie przeniknąć. Znany pisarz — Józef Bohdan Dziekoński — napisał nawet opowiadanie, którego akcja rozgrywa się we Wrocławiu i u pobliskich wód śląskich i w którym występuje magnetyzer. Opowiadanie miało głębszą pointę, ale w rozwiązaniu fabularnym na końcu — dwa pogrzeby. Może to nie przypadek, że hipnoza czy magnetyzm, a także somnambulizm graniczą wprost ze śmiercią?

Tarantella, zobaczona w mrocznym wnętrzu sali, tańcząca na linie w blasku świec — wracała mi raz po raz jak obraz obejrzany we śnie tuż przed przebudzeniem, którego później pozbyć się nie sposób. Byłem dalej pod wrażeniem jej uroku — może nawet bardziej niż przedtem. Chciałem ją ratować — ale jak i przed kim? Jaki był cel tych etiud baletowych, tańczonych z zamkniętymi oczami na linie? Nie wierzycie

mi? Ja bym również nie wierzył, gdybym o tym czytał. Ale ja to przecież widziałem, a jeśli mam coś przedstawić na swoją obronę — powiem: zaczekajcie z osądem. Historia cała znajdzie na kartach tej książki rozwiązanie.

Jeszcze tego dnia, wieczorem, gdy pan Czorba grał na nieszpiorach swoje diaboliczne wariacje w kościele Świętego Krzyża, wybraliśmy się razem z Rymszą do malowanej ruderzy „Mademoiselle Julie”.

Prawdę mówiąc — nie mieliśmy żadnego konkretnego planu. Rymśza był chyba ciekawy urody somnambulicznej tancerki i ciekawy scenerii całego zdarzenia, które dotąd było tylko moim udziałem. Zarówno jego doświadczenia z kobietami, jak i moje — były podobne. Źródłami naszych wyobrażeń pozostawała literatura i odrobina znajomości w kręgach cyganerii wrocławskiej — gdzie patos sąsiadował z wulgarnością. Odkąd Śląsk zajęty został przez Prusy, a więc już ponad sto lat — ton życia miasta nadawali najgłupszy na świecie urzędnicy pruscy. Oni oraz grupka nowobogackich kupców berlińskich próbowali coraz wyraźniej modelować oblicze grodu nad Odrą i pozornie to im się niekiedy udawało. Wciąż jednak silne były jeszcze związki z Krakowem, Wiedniem i czeską Pragą, a wzorcem idealnym — Paryż. Pomnik Blüchera, wzniesiony na Solnym Rynku — nazwanym jednak już imieniem generała — był duchowo obcy temu miastu. Wojny napoleońskie kojarzyły się staremu mieszczaństwu bardziej z Metternichem niż z Blücherem — jeśli już mówić o koalicji antynapoleońskiej. A do cesarza Francuzów pozostało — Bóg wie skąd — sporo przedziwnego sentymentu, któremu zresztą przewodzili dziesięciokrotnie oszukani przez Napoleona Polacy. Ale zagalopowałem się za daleko w temacie, który brzmiał przecież: kobiety.

Starsi akademicy opowiadali sobie wprawdzie o miłosnych przygodach, ale bohaterkami tych przygód były zazwyczaj młode żony kupców wrocławskich, aktoreczki, czasem modelki, a rzadko dziewczęta lekkich obyczajów, z którymi uboga brać akademicka niewiele miała kontaktów. „Lafiryndy” — jak je nazywano od niemieckiego „Läuferinnen”, czyli „biegaczki” po ulicach (mrocznych) — to były smakołyki kupców, i to kupców bawiących tu przejazdem, pragnących przy tej okazji przeżyć we Wrocławiu „przygodę”.

Tak więc zarówno ja, jak i Rymsha należeliśmy do tych studentów, którzy nadrabiali minami, udając, że „nic co kobiecie nie jest im obce”, a w rzeczywistości nasłuchiwali wszystkiego na ten temat; zasypiali później z wizjami swej wybujałej wyobraźni, podbudowanej lekturą arcydzieł i jarmarcznych pism ulotnych, często ściąganych przez policję.

Dni były jeszcze krótkie dość chłodno, ale fala śnieżyc i mrozów, która wystraszyła wszystkich na Boże Narodzenie — już minęła. Mówiono, że wiosna będzie rychła i mokra, straszono nawet powodzią — co się później potwierdziło. Wieczór był więc chłodny i mglisty, ale zapowiadał raczej odwilż niż przymrozek. Resztki śniegu leżały jeszcze pod płotami, choć w rynnach szumiała odwilż.

— Pewny jesteś, że Czorba gra dziś w kościele? — spytał mnie po drodze Rymsha, chyba trapiiony jednak niepokojem, wzmocnionym ciemnością, mżawką i mgłą.

— Niczego nie jestem pewny — odburknąłem. — Rzykujemy wszystko, nawet życie — próbowałem naszej wyprawie nadać posmak operacji w Wilczym Wąwozie z opery Webera „Wolny Strzelec”. — Chodzi jednak o ratowanie dziewczyny, która dostała się szpony magnetyzera, i dlatego nic nas nie powinno dziś powstrzymać.

Ładnie to powiedziałem, prawda? — „w szpony magnetyzera”, a gdyby spytać, przed czym to żadna siła nie powinna

była nas powstrzymać, pewnie nie umiałbym udzielić odpowiedzi.

W ciemności z trudem odnalazłem rudere, a następnie ruchomą deskę w płocie, dzięki której weszliśmy na teren posesji. Przemoczyliśmy w drodze nogi, wpadając do kałuży i ślizgając się na resztkach śniegu. Na pięterku dostrzegliśmy w oknie światło. Było to niewątpliwie okno, w którym zobaczyłem po raz pierwszy główkę dziewczyny. Światło było słabe, zapewne od pojedynczej świecy o cienkim knocie. Wyprzedziłem Rymszę i doczłapałem do drzwi wejściowych, które dziś koło południa zastałem otwarte. Obecnie były zamknięte. Wydawało mi się, że przy końcu budynku widziałem drabinę. Nie byłem tego pewny, ale teraz spostrzeżenie to mogło okazać się pomocne. Przy oznakach odwilży mógł pan Witeliusz Czorba vel Vitelio Csorba grzebać coś przy przeciekającym dachu. Czy jednak nie myliłem się? Czy istotnie była tu gdzieś drabina?

— Czego tam szukasz? — rzucił mi pytanie Rymsza, ale zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, mój kompan potknął się o coś i wylądował w błocie. — Do pioruna, a to pech! Potknąłem się o zwalony płot! Nie, to drabina!...

— Właśnie jej szukałem!...

— Mam więc u ciebie zapisany zwrot pieniędzy za czyszczenie mojego ubrania! — zaśmiał się.

Udobruchał mnie ten humor, nie chciałem bowiem, żeby miał do mnie żal. Przecież uczestnictwo w naszej wyprawie to była jego własna wola, żeby nie powiedzieć — inicjatywa.

— Chodź, pomóż mi! To ogromnie długa drabina — sięgnie wyżej okna na pięterku. Można z jej pomocą wylądować nawet na dachu!

Wspólnymi siłami udało nam się przystawić drabinę do ściany.

— Wchodź pierwszy! — zakomenderował Rymsza. — Jeżeli panna Tarantella zapamiętała cię, nie dostanie przynajmniej palpitanji serca. W każdym razie jak tylko osiągniesz okno, zawołaj ją po imieniu, żeby nie przyjęła nas jak zbójców. Ładnie byś wyglądał, gdyby wypaliła do ciebie z pistoletu...

— Mówisz — zawołać ją? A w jakim języku?

— Najlepiej byłoby po cygańsku, ale skoro nie znasz cygańskiego, wal po polsku. Tutejsza biedota zna polski lepiej od niemieckiego, a panna nie wydaje mi się arystokratką.

— Masz rację, spróbuję po polsku. A jeśli nie zrozumie, to po niemiecku i francusku.

— Na koniec spróbuj po chińsku... — mruknął Rymsza sprawdzając, czy drabina stoi mocno. — No, wchodź już.

Wchodziłem ostrożnie, nie byłem bowiem za bardzo pewny drabiny. Mogło w niej brakować szczebla, a ja nie pragnąłem zlecieć w topniejący śnieg i błoto. Szczeble były w dodatku oślizłe. Mżawka tymczasem spotęgowała się i przeszła w deszcz. Było tak ciemno, że kontury podwórza i stojącego pode mną Rymszy dość szybko rozmazały się i zniknęły. Byłem już blisko oświetlonego okna. Jeszcze dwa szczeble, jeszcze jeden — i oto przez zapłakane deszczem szyby zobaczyłem małą wybieloną izdebkę, w niej łóżko, stół i wielki fotel, pamiętający chyba inne czasy. W fotelu siedziała Tarantella, bez baletowego kostiumu — ubrana w skromną szarą sukienkę. Natomiast coś, co mogło być właśnie kostiumem, leżało na jej kolanach. Świeczka osadzona w ozdobnym lichtarzu była istotnie cienka, do połowy wypalona, o wątłym knocie — nie dawał zbyt wiele światła. Mimo to w jej nędznym bla-sku dziewczyna szyła coś, może

poprawiała albo latała swój kostium.

— Tarantello, nie bój się! Jestem twoim przyjacielem! — zawołałem dość głośno, abym został usłyszany przez szybę.

Podniosła głowę i wówczas zobaczyłem jej wielkie okrągłe z przerażenia oczy. Właściwie nie ma się czemu dziwić — w tych warunkach każdy mógłby się przestraszyć. Noc, mgła, mżawka, samotna dziewczyna w pustej ruderze i nagle obca twarz za szybą! W dodatku za szybą na pierwszym piętrze!

— Tarantello, jesteście przyjaciółmi! — krzyknąłem jeszcze raz, przylepiając twarz do szyby. Twarz mam podobno „pocziwą”, błękitne słowiańskie oczy, a na głowie nosiłem studencką czapkę. Powinno było to ją uspokoić, chociaż niepotrzebnie zaprezentowałem się jej w liczbie mnogiej — „jesteście” zamiast „jestem”.

Wyraz przerażenia powoli zniknął, a zastąpiła go ciekawość.

— Nazywam się Julian Ostoja. Student. Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?

Skinęła głowę. Pierwsze lody nieufności zaczęły się topić. Wstała, podeszła do okna, ale nie otworzyła. Uchyliła natomiast lufcik, dzięki czemu dalsza konwersacja mogła obejść się bez krzyków.

— Kto ty jesteś? — głos miała melodyjny, ciepły, ale akcent twardy, chyba rzadko mówiła po polsku.

— Mówiłem ci już, student. Julian Ostoja. Mieszkam niedaleko stąd, u pani Kluge. Jest ze mną mój kolega, Florian Rymsza. Również student. I Polak, jak ja. Jesteś sama?

Podeszła zupełnie blisko i usiłowała dojrzeć na podwórzu mojego przyjaciela, ale chyba nic nie zobaczyła. Migotliwy blask świecy i szyby zalane deszczem deformowały twarze, ale mimo to wydała mi się jeszcze piękniejsza, choć z bliska

oczy jej miały dziwny wyraz — jakby rozbudzonego ze snu dziecka. Chyba nie była pod wpływem hipnozy?

— Jesteś sama? — powtórzyłem pytanie.

Skinęła znów głową, a po chwili dodała:

— Maestro gra dziś w kościele.

— Maestro nie jest twoim ojcem?

Zobaczyłem w jej oczach błysk niepokoju.

— Maestro... jest...

— No, kim jest maestro, który cię tu zamyka?

— Maestro... to maestro.

— Możesz nam otworzyć?

Potrząsnęła głową. Wolała widocznie ruchy głową, zamiast odpowiadać „tak” lub „nie”.

— Maestro zamyka — odpowiedziała. — Drzwi, okna, wyjście na dach, maestro wszystko zamyka.

— A gdyby wybuchł pożar?

Znów błysk niepokoju.

— Nie mów tak. Po co tu przyszedłeś?

— Pamiętasz mnie? Byłem tu kiedyś, rozmawiałem z dozorcą, a potem zjawiłaś się w oknie. Pamiętasz?

Skinęła głową.

— Czego chcesz?

— Właściwie niczego nie chcę. Chciałem cię zobaczyć. Ale może oczekujesz pomocy. Wtedy licz na mnie. Chcesz stąd wyjść?

Jeszcze raz skinęła głową. Jezusie, czy ona zdaje sobie sprawę z tego potaknięcia?

— Kim on jest dla ciebie?

— Kto?

— No, pan Czorba...

— Maestro?

— Właśnie, maestro...

— Maestro to maestro...

— Wiem, wiem, ale skąd się tu wzięliście? — indagowałem. — Skąd przybyłaś do Wrocławia?

Nieokreślony ruch ręką, ogarniający noc, mgłę i mżawkę — cały świat.

— Przrzekam wrócić tu jeszcze. Będziesz czekać na mnie?

Potakujące podwójne skinienie.

— I nie będziesz się już bać, kiedy wrócę?

Zaprzeczenie. Nie będzie się bać.

— Wrócę tutaj i uwolnię cię z tego więzienia...

Zamierzałem już odejść. Dłuższa konwersacja przez szybę w potoku deszczu nie miała sensu. Rymsza wołał mnie zresztą, może zaniepokojony tą przedłużającą się rozmową, a może słyszał czyjeś kroki na ulicy?

— Kocham cię — powiedziałem bez sensu, ale podobne wyznania nigdy nie mają przecież sensu. Zacząłem schodzić. Powiedziałem „kocham cię” pierwszy raz w życiu nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co mówię. Ale co mogłem innego powiedzieć zamkniętej w pustej ruderze dziewczynie, marzącej właśnie o ucieczce? Nawet ramy okienne zabite były zapewne na głucho, skoro otworzyła tylko lufcik. Gdyby dom się zapalił, dziewczyna poniosłaby niewątpliwie śmierć.

Być może okna otwierały się dopiero w następnym pokoju, zajmowanym przez pana Czorbę — jak bowiem usłyszałem nocą jego skrzypce, gdyby grał za zamkniętymi oknami i zawartymi okiennicami?

Źle obliczyliśmy czas. Gdy odstawiliśmy drabinę i wydościliśmy się na ulicę, usłyszeliśmy — mimo deszczu — czyjeś kroki i mruczana melodię. Maestro Czorba minął nas tak blisko, że jego płaszcz musnął moją rękę. Staliśmy obaj z Rymszą ukryci za drzewem, nie dając znaku życia, zjednoczeni z mrokiem i tajemnicą. Potem usłyszeliśmy, jak otwierał furtkę i odryglowywał drzwi wejściowe...

— To istotnie szatańska jakaś historia — przyznał Rymsha, kiedy znaleźliśmy się już w domu. — Ale dam ci dobrą radę: zapomnij o tej ruderze, o panu Czorbie i o tej dziewczynie. Jest istotnie ładna, na ile mogłem to dostrzec w blasku świecy, za szybą i z odległości parteru. Ale tym bardziej radę, zostaw ją, zostaw całą sprawę swojemu losowi...

Rzecz jasna, że postanowiłem nie usłuchać go i wrócić tam jeszcze, choć przyrzeczenia o uwolnieniu dziewczyny nie wydały mi się w domu tak pewne i tak łatwe jak wówczas, gdy stałem na drabinie, mając za szybą buzię Tarantelli.

4. *Emisariusze*

Wydaje mi się, że czas dziś płynie jakby szybciej — może to wina postępu cywilizacji, może nadmiaru wrażeń, które niesie codzienność? Powinienem był następnego już dnia spróbować uwolnić tancerkę spod władzy tajemniczego skrzypka, a tymczasem wieczór za wieczorem mijał mi na marzeniach, w których widziałem siebie jako bohatera francuskich romansów „płaszcz i szpady” — a nic praktycznie nie czyniłem. Byłoby to zrozumiałe, gdybym obmyślał równocześnie plan wykradzenia baletnicy — ale nic podobnego — wystarczała mi tylko wyobraźnia. Można to złożyć na karb epoki, ale chyba było w tym wiele niedobrych cech mojego charakteru, cech niegodnych pochwały. Przecież powiedziałem — „wróć”, „uwolnię cię”, a nic w tym celu nie robiłem. Wprawdzie dwukrotnie udałem się spacerkiem na znaną mi ulicę, ale dom był zamknięty, okna też. Wewnątrz nie było słyhać głosu skrzypiec...

Razem z Rymszą odwiedziłem natomiast kilkakrotnie jeden z modnych podówczas tak zwanych „salonów”, gdzie przy kawie rozprawiano o tym, jak naprawić świat. Dyskutowano tak wówczas wszędzie, nawet w restauracjach i re-sursach — zresztą z podobnym skutkiem. Na zakończenie dyskusji mówiono sobie nawzajem „do widzenia”, wkładano pałta i peleryny i podążano do ciepłych pieleszy domowych.

Ferment wywoływali w tych dyskusjach akademicy, ale też oni rzadko wracali do ciepłych, wygodnych pieleszy domowych. Nie czekały na nich ani ciepłe bambosze, ani pikowane bonżurki, ani żony, ani gosposie, ani metresy, a jedynie chłód ubogich stancji. Nasza stancja była w stosunku do tych poddaszy luksusowym pałacem. Kiedyś Rymsza wyraził pogląd, że jeżeli chcemy zbawienia ludzkości powinniśmy znaleźć gorszą stancję, której warunki rodziłyby bunt i chęć zbawienia świata. Przyznałem mu się wówczas, że nie mam zupełnie zamiaru zbawiać świata, a póki moja rodzina płaci za stancję, nie myślę jej zmieniać.

W restauracjach, a latem w ogródkach, w kawiarniach i reursach pojawiać się zaczęli coraz liczniej agenci policji. W domach prywatnych ich obecność była utrudniona, choć z pewnością i z takich konwentykli szły sprawozdania do policji, a obok akademików nastrojonych rewolucyjnie lub zachowawczo byli i tacy, którzy współdziałali z policją.

Wspomniałem o salonie dyskusyjnym, do którego wprowadził mnie Rymsza. Salon ów należał do pewnego prawnika, Polaka. Nazwę go — dla porządku — Dębogórskim. Prawnik ów podejmował się obrony ludzi zamieszanych w kwestie polityczne. Brał podobno za taką obronę sporo pieniędzy, ale jego erudycja eliminowała z gry srogich oskarżycieli i sędziów pruskich. Działał krótko, bo czasy takim obrońcom nie sprzyjały, choć klientów nie brakowało. Faktem jednak było, że w 1845 jeszcze w jego salonie dyskusje się odbywały. Mówiono, że miał w tym również swój interes — dyskutanci podrzucali mu wiele cennych myśli i argumentów, które on skrętnie notował, aby czynić z nich potem użytek na sali sądowej.

U pana Dębogórskiego, w dymie fajek i cygar przyszło mi wysłuchać jakże krańcowych wystąpień o naszych czasach.

Autorami prelekcji byli ludzie obcy, bawiący przejazdem we Wrocławiu, chyba emisariusze różnych ugrupowań polskich w kraju i poza krajem. Pan Dębogórski nie przedstawiał ich z nazwiska, ale z imienia, nazywając „kuzynami” co miało posmak łoży masońskiej. Łożą to jednak nie było, zjawiali się bowiem u niego urzędnicy sądowi i inni ludzie wcale tajemniczych profesji, jednak nigdy nie udało mi się ustalić, jakie były poglądy gospodarza. Mówiono o nim, że sprzyja myśli rewolucyjnej i potrafi za obronę biednego człowieka nic nie wziąć, ale równocześnie ostrzegano, że ma bliskie kontakty z tajną policją, a wśród zaproszonego audytorium jest zawsze ktoś taki, czyja obecność daje gospodarzowi pełną „carte blanche” na organizowanie tego rodzaju domowych imprez.

Mówiono, że jeszcze w ubiegłym roku bywał na spotkaniach tych znany dziennikarz wrocławski pan Wolff, który po swoich artykułach o buncie tkaczy, ogłoszonych w Paryżu i nad Renem, musiał wyjechać na stałe za granicę. Spotkałem tam natomiast pana Augusta Mosbacha, historyka, i Antoniego Woykowskiego — naczelnego redaktora „Tygodnika Literackiego” — pisma, do którego czytania namawiał studentów sam profesor Purkynie. Spotkałem tam wreszcie piękną kobietę... Mimo, że kobiety można było spotkać coraz częściej na podobnych konwentyklach, kobiety o takiej urodzie spotkać można rzadko nawet w całym życiu, o cóż dopiero na zebraniu dyskusyjnym! Młoda kobieta siedziała nie opodal mnie, a gdy zauważyła moje ciekawe spojrzenia, uśmiechnęła się. Rymsha ją znał. Poprosiłem go, abym został przedstawiony pięknej damie, na co zgodził się z wielkim ociąganiem. Nastąpiło to wreszcie po drugiej wizycie u mecenasa Dębogórskiego.

Wracając do pierwszego spotkania — wystąpił na nim starszy pan, niezbyt starannie ogolony, noszący kołnierzyk

nie pierwszej świeżości, zarekomendowany jako „kuzyn Bronisław z Paryża”, i dał się poznać jako wyznawca nauk proroka Andrzeja Towiańskiego.

— Nieprawdą jest, że nauki mistrza stanowią tylko rozwinięcie poglądów Swedenborga lub Saint-Martina — mówił towiańczyk przypominając wielkich mistyków schyłku ubiegłego stulecia — nieprawdą jest, że przemożny wpływ wywarł na mistrza pan Józef Bécu i pisma tajemne Tadeusza Leszczyca Grabianki, „króla Nowego Izraela”. Mistrz nasz Andrzej Towiański, jest tylko jednym z braci, ale równocześnie jedynym wśród podobnych. Jest prorokiem. Hołdy oddali mu: pan pułkownik Kamieński — napoleończyk, pułkownik Różycki — dowódca jazdy wołyńskiej, Nabelak — belwederczyk, a wreszcie sam wielki mistrz Adam Mickiewicz...

— To tak jak mówiono o pewnym francuskim mistyku — szepnął do mnie jakiś starszy, łysy jegomość, widocznie nieznośny patetycznego tonu towiańszczyzny — „na studiach był człowiekiem przyzwoitym jak ja, ale nasze drogi rozeszły się. Ja zostałem bibliotekarzem a on bogiem”...

— ...Bo oto Bóg, który dotąd przemawiał po hebrajsku, grecku, łacinie, przemawiać zaczął ustami Towiańskiego po polsku. Szczęśliwy język polski między innymi językami, bo rozkazy w tym języku przychodzą z nieba!... Mistrz Andrzej nie jest już tylko świtem nowego świata i nowego życia — jak Chrystus, nie jest już jutrzenką wolności i pojednania narodów — jak Napoleon, ale jest samym słońcem Prawdy.

Metafory były dziwaczne, zupełnie nie pasujące do rzeczywistości lat czterdziestych na Śląsku. Słuchano prelegenta trochę jak poety, trochę jak obłąkańca. Katolicyzm przeżywał tu wówczas kryzys — inny w sercach kupców niemieckich, a inny w sercach polskich patriotów, rozczarowanych stanowiskiem papieżstwa wobec sprawy polskiej. Przecież nawet księdza Ściegiennego Watykan pozbawił sukienki

duchownej! Całe parafie katolickie przechodziły w tym czasie w ręce wyznawców nauk Lutra. Chyba dopiero liberalne stanowisko Piusa IX sytuację tę nieco powstrzymało.

Zebranie opuściłem bardziej rozbawiony, niż wstrząśnięty.

Drugie spotkanie w salonie mecenasa było — jakby dla kontrastu — pozbawione mistycyzmu, konkretne, rzeczowe, posługujące się rachunkiem ekonomicznym. Zastanawiano się nad tym, jak rodzi się bogactwo bogatych i nędza biednych, skoro jedni i drudzy mają swobodę w prowadzeniu interesów. Były to problemy ważne dla Śląska, gdzie powstawały w tym czasie ogromne fortuny przedsiębiorców i rosła masa nędzarzy. Dyskusja była gorąca, a brodaty prelegent musiał się wiele napocić, żeby trafnie replikować i wyjaśniać. Na koniec podniósł się z miejsca gospodarz, zapytując grzecznie, czy przypadkiem nie przybył na spotkanie „nieproszony tu wcale” pan Edward Dembowski. Ale Dembowskiego, „emisariusza wolności”, jak go nazywano, nie było. Działał pono w tym czasie w Galicji, choć przejeżdżał już dwukrotnie przez Wrocław i tu spotykał się z miejscową młodzieżą akademicką.

Po dyskusji część towarzystwa udała się dwoma powozami do lokalu „Pod Zielonym Polakiem”, gdzie latem otwierano spory ogródek, zimą natomiast służyono zaciszem, a w razie potrzeby cygańskimi lub żydowskimi orkiestrami.

Tam wreszcie poznałem osobiście piękną panią uczęszczającą pilnie na zebrania dyskusyjne. Nazywała się Zofia von Oppitz, była Polką, młodą wdową po jakimś berlińskim fabrykancie. Mówiono o niej, że „poświęciła się dla rodziny” wychodząc za mąż za ogromnie bogatego starucha, ale teraz wciągnęła się — Bóg raczy wiedzieć, czy z przekonania, czy dla kaprysu — w tajne związki i sprzysiężenia, jeżdżąc od miasta do miasta i szastając pieniędzmi „na rewolucyjne cele”.

W restauracji wypilem trochę czerwonego wina, znacznie szlachetniejszego niż to, które robiono w Łęczycach. Pani Zofia była damą o dojrzałej urodzie i „światowym sposobie bycia”. Przyznać muszę, że onieśmielała mnie swoim wiekiem, kulturą, elegancją, pozycją — czułem się przy niej mizernie, skromnie, nawet śmiesznie. Dlatego właśnie piłem, licząc na to, że wino doda mi odwagi. Niewiele uzyskałem tej odwagi, natomiast straciłem z oczu Rymkę, ba — przestało mnie obchodzić całe towarzystwo! Nie wiem już, jak nastał wieczór i jak znalazłem się sam na sam w krytym powozie, wciąż jeszcze rozprawiając z damą o wartości pieniądza i mechanizmie powstawania wartości dodatkowej.

— Niechże już pan przestanie, mon cher — powiedziała nagle pani Zofia von Oppitz. — Parlez vous française?

— Oui, madame — odpowiedziałem, na co ona wielce się uradowała, spodziewając się zapewne, że po francusku będę mówił już tylko o miłości.

Miała rację.

Wynajmowała apartament ze służbą, i tam zostałem zaproszony. A po wypiciu jednego zimnego jak lód szampana, nie wiem jak, znalazłem się razem z nią w łóżku pod baldachimem. W pokoju było ciepło, żar bił od kominka, mogliśmy się więc pozbyć całego okrycia, a ponieważ na jej życzenie nie gasiłem świec, obejrzeć mogłem ją w całej krasie jej nagości. Była to moja pierwsza w życiu noc spędzona z kobietą, w dodatku dojrzałą, kilkanaście lat starszą ode mnie, wytrawną w sztuce kochania, która udzieliła mi lekcji niezapomnianych na całe życie.

Ani słowa już nie zamieniliśmy o polityce i ekonomii, o bogactwie i nędzy, o niesprawiedliwości i rewolucji — to wiem

na pewno. Natomiast jeśli zapytacie, o czym z nią rozmawiałem, nie potrafię odpowiedzieć. Może nic nie mówiliśmy? Nawet po francusku. Zasnąłem nad ranem na jej nagiej pierśsi, przez sen jeszcze czując, jak w macierzyńskim geście lewą ręką zakrywa mi plecy kołdrą, podczas gdy jej prawa ręka buszowała gdzieś w zakamarkach łóżka.

Rano zawezwała powóz i kazała mnie odwieźć do domu. Przy pożegnaniu dała mi jeszcze na pamiątkę batystową chusteczkę, obficie skropioną perfumami, „aby ich zapach przypominał mi tę noc”. A potem pocałowała mnie, kazała nigdy nie wracać, odwróciła tyłem, dała klapsa i wypchnęła za drzwi.

Gdy wróciłem na stację, Rymsza patrzył na mnie podejrzliwie, Cały dzień słowem się do mnie nie odezwał. Następnego dnia pogodziliśmy się. Nie pytał o nic i byłem mu za to wdzięczny.

Kiedy roztopy wiosenne podniosły poziom Odry, poszliśmy razem nad rzekę, patrząc na spływającą z nurtem krę. W nocy woda zniosła Most Piaskowy i zalała Nowe Miasto — od Bastionu Ceglanego po plac przed Królewskim Sądem Najwyższym. Napierająca kra rozbiła Śluzę Szczytnicką i runęła dalej, dochodząc aż pod ściany Tumu. Widok był wspaniały i straszny zarazem. Środkiem rzeki płynęły sprzęty, meble szczątki okien i drzwi...

W pewnej chwili wyciągnąłem z kieszeni batystową chusteczkę. Poczulem jeszcze przez krótką chwilę zapach łoża pani Zofii von Oppitz i oto skrawek materii ofiarowany mi „na pamiątkę” porwał już wir rzeki. Zginęła w brudnej, żółtej pianie powodzi.

Kiedy jeszcze raz, już po opadnięciu poziomu rzeki, odwiedziłem razem z Rymszą mecenasa Dębogórskiego, pięknej wdówki już tam nie spotkałem. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że przerażona powodzią — opuściła Wrocław, jej

zainteresowania konspiracją rewolucyjną także podobno minęły. W Berlinie wyszła drugi raz za mąż...

Było to bodajże ostatnie spotkanie u adwokata, towarzystwo już mniej liczne, twarze też jakby inne. Prelegent, młody, kipiący energią, nawoływał do czynu i wyrażał głośno i otwarcie takie poglądy, po których wysłuchaniu każdy rozglądał się podejrzliwie po twarzach obecnych gości, aby upewnić się, czy nie ma za sąsiada agenta policji. Ale cóż, agenci nosili się tak pospolicie, że nic szczególnego nie odróżniało ich od zwykłego mieszczucha.

Sytuacja w całej Europie była już bardzo napięta, a działające we Francji Towarzystwo Demokratyczne Polskie słało swych emisariuszy na cały kraj, do wszystkich trzech zabiorów. W Poznaniu działał w konspiracji tajny jego komitet, rywalizujący w poglądach na rozmiary przyszłego powstania z równie tajnym Związkiem Plebejuszy. Nie wyobrażam sobie, aby policja pruska nie była już powiadomiona o poczynaniach obu organizacji, ale być może jeszcze nie gotowa do akcji, w dopuszczeniu konspiratorów do działania widziała możliwość lepszego rozeznania sieci spiskowej.

To chyba ich emisariuszem był ów młody człowiek, którego zaprosił mecenas na ostatnie spotkanie. Było to już jawne nawoływanie do buntu. Prelegent cytował nawet wiersz Słowackiego, napisany jako odpowiedź na „Psalmy Przyszłości” Spirydionowi Prawdzickiemu, w którym upatrywano samego poetę Ignacego Krasińskiego.

Mówiono o przygotowaniach do powstania w Krakowie i w Poznaniu, o przepływie emisariuszy rewolucji przez Wrocław; nie mówiono natomiast nic o Warszawie. Czyżby obecnie duch powstania zmienił kwatery?

*„Powiadają nam do bisa,
Ze król pruski coś chce broić,*

*Trzaż się będzie wziąć do lisa –
I diablą mu kurtę skroić...*

A więc może Śląsk lub Poznańskie? Może właśnie Wrocław lub Poznań? Może tu się rozpocznie?

– Nie wiercie, moi panowie – mówił młody agitator – że na Śląsku jest mniej Polaków niż w Wielkim Księstwie Poznańskim. Po czym bowiem poznać Polaka? Po wierze katolickiej? Tak jest w Kongresówce, ale nie tutaj, gdzie całe polskie wsie przyjęły nauki Lutra i Kalwina. Po nazwisku? Ależ urzędnicy pruscy nic innego przy załatwianiu Polaków nie robią jak przede wszystkim zmieniają zapis polskich nazwisk, nadając im brzmienie niemieckie. Bartek pisze się teraz Bartke, Pałasz – Pallasch, Zielonka – Selonke, Kołek – Kolleck, Placek – Plotzke, Mazur – Masuhr. No i jak pod tym płaszczem niemieckiej pisowni zorientować się, kto jest Polakiem, a kto Niemcem? Nawet Kędziora pisze się dziś w urzędzie pruskim Kendzorra, a Kamyszek – Kamischke. Oponowanie nic nie pomaga – urzędnicy są „w prawie”. Pozostaje tylko polska mowa między swymi i polski duch. Dopiero jakieś zdarzenia o wielkim znaczeniu odkryją prawdziwe oblicze Śląska...

Więcej już nie spotkaliśmy się u mecenasa, sam mecenas także zlikwidował swoją kancelarię we Wrocławiu. Zresztą dziwić się nie było można niczemu – w publicznych miejscach zaczęto nawet aresztować ludzi, którzy głośno recytowali poezję!

Tej wiosny wróciliśmy niespodziewanie z Rymszą do tematu Bractwa Tajnych Laborantów, a gdy odpowiedziałem mu, że na członka tej organizacji nie reflektuję ani teraz, ani w przyszłości – rozgniewał się na mnie i wypomniał mi moje słabostki, a przede wszystkim obietnice składane w mroczny i deszczowy wieczór nieszczęsnej Tarantelli.

— Mówiłeś jej o miłości, mówiłeś o uwolnieniu i co z tych obietnic zostało? Złakłeś się starego Czorby — magnetyzera i jego diabelskich skrzypiec; Nie poznają już ciebie, Jul!

Miał rację. Postępowałem jak uczeń, a nie akademik. Nie wolno nigdy takich obietnic rzucać na wiatr. Odegrałem przed nieszczęsną dziewczyną bohaterską rolę emisariusza wolności i wróciłem do swojej wygodnej stacji, między spotkaniami na temat posłannictwa ducha i rewolucji nawiązując upokarzający romans z żądną wzruszeń i kapryśną piękną wdówką. Postąpiłem nikczemnie.

Jeszcze tego samego dnia, w słoneczne popołudnie, sprawdzwszy uprzednio przezornie, że maestro Czorba gra na skrzypcach podczas niesporów w kościele, udałem się do rudery „Mademoiselle Julie”. Tym razem wziąłem z sobą żelazny pręt, jaki znalazłem koło domu pani Kluge. Gotów byłem używając tej broni nie tylko stawić czoła „wszelkiemu niebezpieczeństwu”, ale przede wszystkim wyważyć okno lub drzwi do sadyby maestra. To dziwne, że byłem przekonany o niezmienności sytuacji od dnia, gdy wybrałem się tam z Rymszą — choć minęło sporo czasu. Byłem pewny, że za szybko zobaczę znów parę dużych, przestraszonych albo sennych oczu dziewczyny, przesłoniętych mgielką tajemnicy.

Znów nie było nikogo na tej bocznej, zagubionej w labiryncie świata ulicy na przedmieściu, znów ta sama ruchoma deska w płocie otworzyła mi wstęp na podwórze, przyroda zapomniała od tamtego czasu o śniegu — pstro malowany dom tkwił w gąszczu zieleni. Drabina leżała nie opodal na starym miejscu. Podniosłem z trudem drabinę i przystawiłem ją do okna. Jakiś koszmar tkwił w sytuacji, którą zobaczyłem. Minęło przecież wiele tygodni, a Tarantella siedziała znów w tym samym miejscu, co kiedyś i szła lub cerowała.

Tyle że biały kostium baletnicy miała na sobie. Zawolałem ją po imieniu, a potem zobaczyłem — tak jak przewidziałem — parę przerażonych oczu. Przerażenie ustąpiło jednak rychło miejsce uśmiechowi.

— To pan! Myślałam, że już pan nigdy nie wróci! — wykrzyknęła w moją stronę, po czym odłożyła szycie, podbiegła do okna i otworzyła lufcik.

— Znów cię zamknął? — spytałem, używając formuły bardziej bezpośredniej i zaczepnej.

Odpłaciła mi tym samym, jakbyśmy byli już starymi znajomymi.

— Przecież mówiłam ci, on mnie zawsze zamyka, kiedy wychodzi. Okno jest zabite gwoździami...

— A kiedy gra? Gra u ciebie czy u siebie?

— Gra w pokoju obok i wtedy otwiera swoje okno szeroko, szeroko. Słyszał pewnie na cały Wrocław — odpowiedziała śmiesznie akcentując słowa.

— Tarantello, chcesz, żebym cię oswobodził z tej klatki?

Skinęła główką i zamrugęła powiekami. Zauważyłem teraz więcej szczegółów — bardzo bladą, niemal pergaminową jej cerę, nie karmin, ale fiolet jej warg, ciemne obrzeża oczu. Może chorowała?

— Co zrobi ptak, kiedy otworzę drzwi?

— Ptak wyleci... daleko, daleko...

— Nigdy cię nie zabierał ze sobą, kiedy wychodził?

— Tak. Czasem zabierał mnie do kościoła, kiedy grał, ale musiałam być przy nim. Mówi, że nie można mi ufać.

— Pilnuje cię?

Skinienie główki.

— Boi się — odpowiedziała. — Boi się...

— Kogo się boi?

— Może policji, może pana Tartariniego, a może mnie?

— Zbić szybko i porwać cię stąd?

— Szyba dużo kosztuje. Lepiej zejść i otwórz drzwi na dole...

Zszedłem więc na dół, ująłem w ręce łom i przymierzyłem się do zamka, ale rozczarowałem się. Drzwi były otwarte! Wszedłem ostrożnie, wietrząc jakiś podstęp. Podstępu nie było. Zajrzałem do wielkiej sali restauracyjnej — była pusta i mroczna, choć przez szpary w okiennicach wpadały do wnętrza promienie słońca. Zawróciłem do sieni, zacząłem wchodzić po schodach na piętro. Stopnie skrzypiały i wyginały się, grożąc lada moment zawaleniem. Ta eteryczna dziewczeczka albo jej pająkowany opiekun mogli się tu nie bać, ale ja... Pięterko i nowe drzwi. Te były istotnie zamknięte, ale gdy przyłożyłem pręt i pocisnąłem — odskoczyły natychmiast. A więc nie było to znów takie ciężkie wiezienie...

Na pięterku znajdował się korytarz, a po obu stronach małe pokoiki — pewnie „numery”, kiedy dom „Mademoiselle Julie” był przybytkiem rozrywki, a może i rozkoszy. Niektóre pokoiki były otwarte, puste. Dwa — zamknięte na klucz. Myślałem, że jeden należy do Czorby, a drugi do Tarantelli, ale omyliłem się, bo pokój dziewczyny był następny i... szeroko otwarty. Zobaczyłem wielgachne łoże, fotel, stół, w kącie toaletkę z lustrem. Na stole leżała porzucona robótkka. Ale dziewczyny w izdebce nie było — uwagę moją zwróciło natomiast otwarte okno, które Czorba miał podobno zabić gwoździami, aby dziewczyna tamtędy nie uciekła. Okno tymczasem było otwarte, a o parapet opierała się drabina, którą sam przystawiłem.

Stałem jakiś czas na środku pokoju, nie wiedząc, co dalej robić — ja, emisariusz wolności, romantyczny student „zakochany bez pamięci” w tancerce na linie. „Niewolnica”, którą miałem „oswobodzić” — zniknęła jednak a otwarte okno i drabina wskazywały, którędy zbiegła. Dokąd? Dlaczego nie poczekała na mnie? Podszedłem do okna wyjrzałem,

rozglądałem się jakiś czas dookoła w nadziei, że zobaczę umykającą białą postać baletnicy — ale nic nie odkryłem. Bez żadnego celu obejrzałem jeszcze kolejno otwarte pokoje, zastukałem do dwóch zamkniętych, ale bez zamiaru wyważania ich łomem, i powoli zszedłem na dół po skrzypiących schodach. Potem wylazłem dziurą w płocie i wolno skierowałem się do domu.

O dziwo — ulica tego dnia nie była pusta! Spotkałem kilku, a może kilkunastu przechodniów, raz przejechał czarny kocz, zaprzężony w siwka.

Wieczorem, nie pytając o efekty mojej wyprawy, Rymsza opowiedział o incydencie, jakiego był świadkiem. Na dachu kościoła Świętego Krzyża tańczyła dziewczyna w stroju baletnicy. Przyglądał się temu spory tłum. Wszyscy byli pewni, że to jakaś wariatka i czekali, kiedy spadnie z dachu i oczywiście zabije się. Ale ona nie spadła. Potem wybiegł z kościoła miejscowy stary muzykant i wezwał dziewczynę do zejścia na dół, a gdy to nie pomogło — zaczął grać na skrzypcach. Dopiero kiedy skończył, dziewczyna nagle zniknęła. Wybiegł ksiądz, bardzo wzburzony, krzycząc, że nie pozwoli robić cyrku z kościoła.

— Nie wiem, którędy dziewczyna zeszła na dół, pewnie w wieży są jakieś schodki. Kiedy zeszła — kończył Rymsza — oboje, muzykant i dziewczyna, wsiedli do czarnego kocz, który zajechał pod kościół. Na koczu był napis „Welt-Zirkus Tartarini”. Słuchaj, Jul, a może to była ta twoja Tarantella i jej opiekun, mistrz Czorba?

Następnego dnia odważyłem się pójść na zagubioną ulicę na przedmieściu. Teraz wszystkie okna były tam głucho zamknięte, choć swobodnie mogłem obejść całe wnętrze. Na piętrze wszystkie pokoje były otwarte. Zniknęło jednak łóżko, stół i fotel z pokoju Tarantella. Zniknęły także inne sprzęty. W korytarzyku siedział bury kot, mył łapką i patrzył

niechętnie na intruza, który psuł mu drzemkę. Sala restauracyjna była także otwarta, pusta i mroczna, ale między filarami wisiała jeszcze napięta lina.

Kim była dziewczyna? Kim Czorba? Kim Tartarini? Co ich wszystkich łączyło, a co dzieliło? W przyszłości miałem jeszcze raz zbliżyć się do tej tajemnicy i poznać niektóre jej elementy, ale wszystkich chyba nigdy nie poznam. A może to los ukarał mnie za to, że tak lekkomyślnie przyrzekłem dziewczynie pomoc i wyznałem miłość, a potem zapomniałem o przyrzeczeniu i zdradziłem to pierwsze uczucie z kokieterijną wesołą wdówką panią Zofią von Oppitz? Gdzie szukać śladu Tarantelli i pana Czorby, którego obraz stawał się z upływem czasu mniej groźny, a więzienie dziewczyny – raczej fortecą chroniącą ją przed nią samą i niebezpieczeństwami świata? A ta muzyka? Jak bardzo potrzaba było mi nocą tej muzyki! Ale nikt nie grał już w otwartym oknie rudery „Mademoiselle Julie” na dalekich przedmieściach Wrocławia.

5. Sprzysiężenie

Dość skomplikowane dalsze wypadki spowodowały, że stałem się posiadaczem notatek Rymszy, czegoś w rodzaju jego pamiętnika. Wprawdzie konspiratorzy nie powinni nigdy pisać memuarów, ale Rymsza miał tylko zapal konspiratora i tylko żarliwość anarchisty, a nie był ani jednym, ani drugim. Zbyt wiele gadał różnych sekretów, zobowiązując następnie do utrzymania tajemnicy. Nawet namawiając mnie do przystąpienia do Bractwa Tajnych Laborantów, nie powinien był zdradzać nazwy tej sekretnej przecież organizacji ani sugestiami swymi pozwolić mi odgadnąć, że jest to wenta w gruncie rzeczy nikomu niepodlegająca, a wybór Spalattiego na jej przywódcę powinien być na pewno zostać poprzedzony dłuższą ich wzajemną znajomością. Spalatti wiedział niewiele o karbonaryzmie, a jeszcze mniej o sytuacji na Śląsku — zwłaszcza między Polakami i Prusakami. Tak samo nic nie, wiedział o losach Polaków pod zaborem austriackim. Narastające nastroje powstańcze w Galicji stanowiły dla niego tylko część risorgimenta narodu włoskiego.

Wnioski te wyniosłem nie tylko z lektury pamiętnika Rymszy — do czego mnie upoważnił, ale i z rozmów z nim, kiedy Wiosna Ludów była już za nami. Dostarczyły mi one mnóstwa dodatkowych szczegółów, które pomijał dziennik. Mogę dziś z łatwością odtworzyć wszystko, co zdarzyło się

wkrótce po tym, jak z Wrocławia zniknął „Welt-Zirkus Tartarini”. Swobodniej mogę również wnikać w tę sferę słabości charakteru Rymszy, którą miały poznać kobiety. Podejrzewałem, że podobnie jak ja — on także przeszedł przez łożę w buduarze pani Zofii i podobnie jak ja miał niewiele doświadczeń w kontaktach z dziewczętami — z tym że mnie przeszkadzały w tym nazbyt wybujałe marzenia romantyka, jemu natomiast konspiracja i sekretne konwentykle ze szczeniakami, którym ubzdurało się, że wywrócą świat do góry nogami. Ale wróćmy do głównego nurtu mojej opowieści... Burszowskie grupy, niekiedy łączące się w różne sprzysiężenia i bractwa, najczęściej niewykraczające poza ramy zabawy lub burdy, miały spotkania w podmiejskich „domach wjezdnych”, jak na Śląsku nazywano zajazdy, albo też w pensjonatach, które raptownie wyrastać zaczęły w miejscowościach słynących z wód mineralnych. Rzecz szczególna — powodzeniem cieszyły się nawet miejsca oddalone o cały dzień drogi, do których jechało się rano, przyjeżdżało wieczorem, a następny dzień poświęcało się dopiero na wycieczki w góry, zwykle zakończone obfitą i podlaną alkoholem kolacją. Takie wieczory znalazły nawet swoje odbicie w naszej literaturze — to przecież pan Józef Bohdan Dziekoński w czasach, o których piszę, odwiedzał, Szczawno zwane też Solnym Zdrojem albo Solicami, tu umiejscowił akcję swojego opowiadania o występnyim magnetyzerze, tu zapisał także burszowską pieśń z krajów niemieckich —

*„Das Jahr ist gut, Braunbier ist geraten,
Drum wünschte ich nichts mehr —
Ais drei tausend Dukaten —
Ja — drei tausend Dukaten! -...”*

Dwa lata temu emisariusz wolności Edward Dembowski przebywał w Szczawnie ze swoim ojcem Leonem, a wcześniej

jeszcze wypoczywał tu poeta Zygmunt Krasiński. Polaków bywało w tej miejscowości sporo; zatrzymywali się w pensjonacie „Pod Koroną” lub w „Turyńskiej Zagrodzie”. Miejscem ogólnych spotkań były z reguły sala Domu Zdrojowego lub pijalnia mleka „prosto od krów” w tak zwanej „Zagrodzie Idy”.

Młodzi konspiratorzy nazywający siebie „Bractwem Tajnych Laborantów” — po niemiecku „Bruderschaft der Geheimen Laboranten” — spotykali się w pensjonacie „Pod Niedźwiedziem”. Pokoje były tam z reguły dwuosobowe i właściciele zapewniali gościom dyskrecję, podając posiłki na życzenie osobno, „do numerów”. Prócz sali ogólnej, gdzie towarzystwo zbierało się wieczorem (oczywiście kto sobie tego życzy), była jeszcze mała salka na piętrze — i ona właśnie stanowiła miejsce tajnych konwentykli Bractwa.

Było ich trzynastu i reprezentowali różne nacje. Trzeba pamiętać, że wówczas Wirtemberczyk obrażał się, gdy mówiono, że jest jednej nacji z Prusakiem, Bawarczyk udawał, że nie rozumie Saksończyka, a Czech — Słowaka, a za to gość z Galicji, Wielkiego Księstwo lub Kongresówki żarliwie pragnął, aby nazywać go wspólnym mianem — Polaka. Tak więc licząc łączyło się w tej trzynastce aż siedem” nacji. Był więc Włoch (poddany austriacki) Spalatti, Polak Rymsza z Pomorza i drugi Polak z samego Wrocławia — Zagórski (którego czytano przez „o” Zagorski), jeden Chorwat — Dragan, jeden Austriak z Wiednia, dwóch Bawarczyków z Monachium, trzech Niemców poddanych pruskich, w tym jeden z Berlina (mówiono o nich Prusacy, a nie Niemcy) i dwóch Saksończyków, podkreślających swoją odrębność od niemieckojęzycznej reszty — Willi i Bruno, obaj niespokojni, rwący się „do czynu”, dziecinni i naiwni.

Tak wyglądała ta trzynastka, kiedy chłopcy zjechali się do

Szczawna-Zdroju, aby omówić tam możliwość obalenia wszystkich tronów w Europie — najlepiej równocześnie. Następnego dnia pogoda była tak piękna, że rano ruszyli na wycieczkę. Po południu dopiero zamknęli się w salce bankietowej, zamówili kawę i piwo, zapalili lulki, aby dodać sobie powagi, i w dymie fajek przystąpili dopiero do obrad. Może nawet na początku coś tam sobie zaśpiewali — jakąś pieśń z piwnicy Auerbacha w Lipsku, ale wkrótce przeszli do tematów poważniejszych.

Spalatti przypomniał na wstępie ubiegły rok, mówił coś o niepokojach w Europie, o berneńskim Związku Sprawiedliwych, który był czymś, co wyrastało ponad karbonaryzm, o wyraźnych przygotowaniach do powstania w Wielkim Księstwie Poznańskim, a wreszcie o działalności pana Wolffa — absolwenta wrocławskiej uczelni, który światowego rozgłosu nadał powstaniu tkaczy w Pieszycach, Bielawie oraz innych miasteczkach śląskich.

— Pamiętacie, panowie, jakim echem odbiło się to powstanie śląskich nędzarzy we Wrocławiu? Nie istniała wówczas jeszcze nasza organizacja, jej powstanie wiąże się bowiem właśnie dopiero z reperkusjami buntu w naszym mieście. — Oczywiście dla wszystkich akademików, nawet tych z Chorwacji i Italii, Wrocław to było „ich miasto”. Na wiadomość o powstaniu — przypominał dalej drobny, śniady Włoch, jakże śmiesznie akcentujący niemieckie wyrazy — z Wrocławia wysłano bataliony feldjegrów, a z Brzegu regiment piechoty. Potem skierowano na teren powstania huzarów. To ośmieliło ludność Wrocławia i mimo że akurat szóstego czerwca miał przyjechać książę Adalbert, na ulicach znalazły się tłumy ludzi wznoszących okrzyki przeciwko rządowi. Zapowiadany capstrzyk nie odbył się, a następnego dnia doszło do starć z wojskiem. Pamiętacie, pojawiły się patrole piechoty, a kirasjerzy penetrowali wszystkie ulice i zaułki.

Pięćdziesięciu ludzi aresztowano, część z nich skazując na chłostę i więzienie. Ale na terenie objętym powstaniem ofiary były liczniejsze. Kilkudziesięciu ludzi katowano później w obozie wojskowym i wprost na ulicach... Zastanawiacie się, panowie, dlaczego wam to przypominam, większość z was zna to przecież dobrze. Chodzi o to, że rząd chciałby już o tym zapomnieć. Umilkł, rozejrzał się po audytorium i nagle wałnął pięścią w stół, aż słuchacze podskoczyli na swoich stołkach. — My im tego zapomnieć nie pozwolimy! W rok od buntu tkaczy my, Bractwo Tajnych Laborantów, ujawnimy się po raz pierwszy, składając na ręce władz Wrocławia pismo otwarte, domagające się oficjalnego rozliczenia z operacji przeciw tkaczom. Zapowiemy również otwarcie własnego trybunału, który odszuka winnych rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazła się klasa wyklętych synów ziemi — tkackich wyrobników. Zaczniemy również zabijać, panowie...

Znów umilkł i nagle zrobiło się dziwnie cicho w salce pensjonatu. Spodziewali się wszyscy, że Spalatti wezwie ich do napisania wspólnego listu, że wysuną jakieś żądania, ale nikt nie przypuszczał, że będzie chodzić o zabijanie.

— Ściślej mówiąc — uzupełnił Włoch — przyspieszymy tylko powstanie, które i tak musi niedługo wybuchnąć. Zapłonie cała Europa. My będziemy tym lontem, który ją wysadzi w powietrze i obróci w zgliszcza. Możemy być dumni z tego, moi panowie.

Mówił jeszcze wiele w podobny sposób, cytując Bauera i Marksa, ale równocześnie bliższych mu ideowo — Lasalle'a, Proudhona, Weitlinga i Blanquiego. Był zwolennikiem materialistycznego pojmowania dziejów i fascynowały go odkrycia ekonomiczne współczesności, ale metod walki szukał u jakobinów i anarchistów. I tak oto od realistów, którzy uczyli ekonomicznego rozliczenia się z rządem, uczynił nagle wolte,

kończąc swój wywód w duchu moralności prezentowanej przez angielskiego romantyka Thomasa de Quinceya w eseju „O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych”.

— Z niecnotliwymi nie można walczyć używając cnotliwych sposobów — mówił. — Zresztą cnota miała już swoje dni i nic z tego nie wyszło. Dziś musimy nauczyć się zabijać wznosie i ze smakiem. Tak jak nas jest trzynastu, będziemy artystami zabójstwa. Pierwszego mordercę spośród naszego kręgu wskaże losowanie. Ofiarą będzie ktoś odpowiedzialny za rozlew krwi niewinnych tkaczy. Morderca mordujący innego mordercę w imię sprawiedliwości, nie jest mordercą — oto nasza moralność. Człowiek taki jest moralnie czysty. Takiego nieskazitelnego mordercę wybierzemy dziś spośród naszego grona, aby z czystym sumieniem zabił w naszym imieniu człowieka niegodnego życia.

Proponuję moi panowie, zabić pułkownika Hoffmeyera, jednego z dowódców, którzy kierowali pogromem zbuntowanych tkaczy. Dlaczego Hoffmeyera, a nie pułkownika Stummdorfa lub kapitana Blitza? To kaprys losu — los wskazał na Hoffmeyera. Teraz wylosujemy wykonawcę. W moim akademickim kaszkiecie leży trzynaście kulek, dwanaście białych i jedna czarna. Będziecie wybierać je nie widząc koloru. Czarna wyznaczy człowieka, który dokona zamachu. Czy zgadzacie się?

Odpowiedziała mu cisza.

— Milczenie wasze przyjmuję za aklamację. Zgadzacie się, więc dobrze, będziemy losować. Ale zanim to nastąpi, wtajemniczę was wszystkich w plan działania. Jak już powiedziałem, wybór pułkownika Hoffmeyera jest przypadkowy. Jeśli macie inne propozycje, wysłuchamy ich. Jeśli nie, uważamy ten wybór za ostateczny...

Nigdy nic bliższego nie dowiedział się Rymsha na temat

Spalattiego. Później Włoch rozpląnął się w wirze zdarzeń, zniknął, nie wiadomo, co się z nim stało — po prostu po wakacjach nie wrócił na studia, a Bractwo już wówczas nie istniało. Czy był to osobnik o skłonnościach zbrodniczych? Chyba nie. Na pewno natomiast miał talent przywódczy i opanował rozpalone głowy dwunastki chłopaków swoimi pomysłami — jeśli w ogóle można tak jego przekonania nazwać. Być może nie zależało mu ani na Wrocławiu, ani na Śląsku, ani na Europie, a jedynie w serii zamachów, które zaplanował — bo przecież miało ich być trzynaście — dopatrywał się czegoś w rodzaju „dywersji na tyłach wroga”. Rewolucja w Europie, zachwianie tronów — to były czynniki, które miały dopomóc w wyzwoleniu jego Italii. Czy to źle? Nasi patrioci myśleli podobnie, gdy godzili się na wysłanie ich na San Domingo lub do Hiszpanii, gdy przyszło im pomagać w rabunku koni Świętego Marka w Wenecji albo w pogromie szwajcarskich bohaterów występujących przeciw Napoleonowi. Jeśli więc miał dobro Italii na względzie, zastanowić się trzeba, czy go tak od razu potępić. Wciągnął grupkę młodzieży w walkę urojoną, w zabójstwa „winnych”, stosując tę samą zasadę co biskup Turpin wobec rycerzy Karola Wielkiego — „zabijajcie wszystkich, Bóg na Sądzie Ostatecznym odnajdzie miłych swemu sercu i odłączy od potępionych”. Tylko że Spalatti nie obiecywał równocześnie ani Sądu Ostatecznego, ani Boga. Sam czułem niekiedy ucisk serca na widok munduru pruskiego i ogarniała mnie chętką w rodzaju „a gdyby tak...”, ale chętką ta miała również uwarunkowania, chciałem brać udział w wojnie z Prusami o sprawę polską, potępiałem natomiast bezmyślny, skrytobójczy mord, dokonany tylko dlatego, żeby „odbił się echem w Europie...”

Byliśmy jednak wszyscy w wieku, kiedy jeszcze niedawno bawiliśmy się w wojnę. A zabawa w wojnę ma to do siebie,

że kiedy już wszyscy się „pozabijają”, wracają potem razem w gromadzie na kolację. Wielu młodych ludzi ma podobne wyobrażenie o prawdziwych działaniach wojennych. Ot — postrzelają trochę, postrzelają, a potem zarówno oni, jak i zabici wrócą na kolację. Przynależność do Bractwa Tajnych Laborantów była dla Rymszy przedłużeniem jego dziecinnych zabaw. Myślał sobie — „podyskutujemy jak wywrócić kilka tronów w Europie, może nawet niektóre wywrócimy, a potem wrócę do domu na kolację”. Kiedy jednak śniady, mały Spalatti zaproponował im zamach na pułkownika Hoffmeyera, każdy był pewny, że nie on wyciągnie czarną kulkę. A gdyby nawet wyciągnął, to przecież nie dojdzie do niczego konkretnego, gdyby zaś doszło...

A Spalatti mówił dalej.

— Pułkownik Hoffmeyer przyjedzie drugiego lipca do Cieplic kolo Jeleniej Góry. Jest tam podobno pałac Schaffgotschów, znakomitego rodu, znanego na całym Śląsku. Pułkownik zatrzyma się jak zwykle w pensjonacie „Undine”; pensjonat nazywa się tak samo jak słynny utwór barona de la Motte-Fouque. Pułkownik spotyka się tam ze znajomymi, między innymi z wdową, panią von Brochwicz z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, z którą jest jakby spokrewniony i opiekuje się edukacją dwóch córek. W pensjonacie „Undine” mamy zarezerwowany pokój dla jednej osoby na dwa tygodnie — na co mogliśmy pozwolić sobie dzięki składkom. To drogi pensjonat, moi panowie. Nasz człowiek zamieszka w pensjonacie pod fałszywym nazwiskiem jako „von Lipsky”, na to nazwisko zamówiony został pokój. Zorientuje się w zwyczajach gości i przy nadarzającej się okazji po prostu zastrzeli pułkownika. Nie będzie to nic trudnego, wierzcie mi. Po zamachu zaszyje się na wsi, aż policja straci wszelki ślad, szukając pana „von Lipsky’ego”...

Takie to było łatwe i proste w opowiadaniu małego Włocha, który — dam za to głowę — także w życiu nikogo nie zabił, może nawet nie widział trupa. Rzecz w tym, że jego szczegółowy plan, łatwość sytuacji; którą przedstawił, i elementy przygody — wykluczyły dyskusję na temat słuszności wyboru metod walki, wyboru ofiary, odpowiedzialności za skutki zamachu i wielu innych rzeczy. Potem odbyło się losowanie kulek i czarną wyciągnął Rymsza. Był zupełnie oszołomiony tym, w co się wpakował. Już chciał rzucić kulkę z powrotem do czapki i oświadczyć, że się z tej zabawy (właśnie — zabawy!) wycofuje, ale przeląkł się, że ktoś może powiedzieć — „wiecie, był wśród nas jeden Polak, ale gdy doszło do działania, to stchórzył...” Nie, nie mógł do tego dopuścić! Więc zgodził się że latem pojedzie do kurortu Cieplice i zabije nieznanego mu zupełnie — pułkownika Hoffmeyera, dobrze nie wiedząc, za jakie przewinienie. Ale trzynastu sprawiedliwych z Bractwa Tajnych Laborantów wydało już wyrok, od którego zdaniem małego Włocha Spalattiego — nie było odwołania. Wyrok właściwie nawet nie przegłosowany, ustalony może w przerwie między wykładami, bo Spalatti przypadkowo dowiedział się o Hoffmeyerze więcej niż o innych oficerach. „Von Lipsky”? A cóż to za dziwne nazwisko? Ani niemieckie, ani polskie, jak z jarmarcznej komedii. „Jeśli nawet mnie zabiją — pomyślał wówczas mój przyjaciel — to zginę jako von Lipsky, a nie karbonariusz Florian Rymsza”.

Wszystko to było efektem tej ostatniej fazy „Okresu Burzy i Naporu” — Sturm und Drang Periode”, której ukoronowaniem miały być barykady.

Rymsza wracał dylizansem razem z tym drugim Polakiem z tajnego bractwa — Zagórskim, także akademikiem, o rok dłużej już studiującym na uniwersytecie we Wrocławiu. Rozmowę prowadzili niezobowiązująco, przez chwilę nawet

dali się wciągnąć w atmosferę rozbawionego towarzystwa, które powracało z wycieczki w góry. Kiedy przez okno zobaczyli szczyt Sobótki, nagle towarzysz Rymszy spoważniał, ścisnął go za rękę i zapytał cicho, niemal szeptem:

— Chyba nie zawiedziesz ich zaufania? Obarczyli cię straszną misją, ale jeżeli ją przyjąłeś, to...

— Mówisz „obarczyli”, mówisz „nie zawiedziesz ich zaufania”, jakby tam ciebie nie było, kolego Zagórski, jakbyś nie był jednym z nas — replikował Rymsza.

— Wszystko to stało się tak nagle, właściwie nie było czasu głębiej się zastanowić.

— Ale losowałeś jak inni.

— Tak. Wyciągnąłem jednak białą kulkę i dlatego mam więcej czasu na rozważenie tego, co się stało, niż ty. Musisz pojechać do Cieplic w końcu czerwca, żeby zaobserwować człowieka, którego ci polecono...

— A jeśli dojdę do wniosku, że wszystko to głupstwo? Że Spalatti postąpił zbyt pochopnie?

— Może to ty postąpiłeś zbyt pochopnie, przyjmując na siebie to zobowiązanie? On tylko proponował. Jeśli jednak nie wykonasz tego, zhańbisz się, a oni cię i tak zabiją. Teraz nie możesz się już wycofać. Pułkownik musi zginąć.

— A gdybyś ty wyciągnął czarną kulkę? Co byś uczynił?

— Wywiązałbym się z tego godnie.

— Jak?

— Albo zabiłbym Hoffmeyera, a jeśli wahałbym się, wówczas zabiłbym siebie.

— A jeśli będziesz następnym wyznaczonym do akcji, którą zaplanował Spalatti?

— Nie będę.

— Dlaczego nie będziesz?

— Bo już więcej na zebranie nie przyjdę. Rezygnuję.

— Tchórzysz?

— Po prostu trochę inaczej wyobrażałem sobie powstanie i naszą walkę. Zresztą walka o wolną Europę ma tylko wówczas sens, jeśli w tej wolnej Europie jest wolna Polska. Omyliłem się przystępując do Bractwa. Spalattiego interesuje tylko Italia. Wycofuję się. Ale gdybym wyciągnął czarną kulkę...

— Dość! Nie mów więcej! — warknął Rymsza. Uznawał racje tamtego, były bowiem logiczne, ale można było tak rozumować tylko wówczas, gdy nie trzymało się czarnej kulki w zaciśniętej dłoni, gdy wszystko było tylko teorią.

O tej rozmowie opowiedział mi Rymsza wiele lat później, kiedy pułkownik Hoffmeyer już nie żył. Został istotnie zastrzelony, zgodnie z planem małego Włocha. Ale to nie Rymsza go zabił. To ja go zastrzeliłem — ja, stroniący od polityki romantyk, i to w zupełnie innych okolicznościach, aniżeli te, które wymyślił Spalatti. Będzie jeszcze czas o tym opowiedzieć.

6. Pierwszy tydzień w kurorcie

— Szanownemu panu będzie się u nas na pewno podobać — oświadczyła sucha, koścista madame Skolson, właścicielka pensjonatu „Undine”.

Tuż za nią postępowała pokojówka Roza, odziana w obowiązkowy uniform służby: ciemną suknię zapiętą pod szyję i biały, nakrochmalony fartuszek oraz taki sam biały, koronkowy czepek. Pensjonat należał do wykwintnych i przyjmował gości z rekomendacją. Bóg jeden wie — pomyślał Rymsza — jak udało się Spalattiemu zamówić „pokój z posiłkami” dla rzekomego „pana Floriana von Lipsky'ego”. Pokój był opłacony, natomiast Rymsza wyłożył z góry podstawową kwotę za wyżywienie, której różnicę (zawsze wyższą — zależnie od marki win do obiadu i kolacji) miał pokryć przy wyjeździe. Nie wiadomo było także, jakie zadysponuje frykasy, do których przyzwyczajony był „w swoim pałacu”. Miał tu uchodzić za młodego paniczyka, akademika, któremu bardzo bogaci rodzice zafundowali pobyt w Cieplicach pod Jelenią Górą, aby „odprężył się” po trudach nauki. Reżim moralny pensjonatu „Undine” był surowy, ale jak w większości tego typu domów wymagania dotyczyły głównie zachowania pozorów, a nie rzeczywistego ograniczenia specyfiki wypoczynku w zdrojowisku. Co było tą specyfiką? Do wód wyjeżdżało się przecież nie tylko, aby „pić wody” — remedia, jak głośiły reklamy, na

„wszelkie zdrowotne defekta”, ale również aby zawrzeć ciekawe znajomości, słuchać koncertów, grać w karty i... romansować. Spalatti wybrał chyba dość niefortunne nazwisko „Lipsky”, budziło ono bowiem podejrzenie o parweniuszowskie pochodzenie protoplastów rodu, a nawet mogło sugerować starozakonne powiązania, gdyby nie fakt, że rodzina Lipskich wywodziła się z Karyntii lub Krajny — bardziej zamieszkałej przez Słowian niż Austriaków, a ogromną fortunę zebrała pono w czasach Napoleona. Wówczas to przecież Laibach, czyli słoweńska Ljubljana, stała się stolicą, wymyślonej przez cesarza Francuzów „prowincji Illyrii”. Spalatti musiał w Laibach mieć jakieś znajomości, bo na kufrach Rymszy i na jego osobistych rzeczach znalazły się wyhaftowane wstążeczki z nazwiskiem tej rodziny i z nazwą „miasta rodzinnego” — właśnie Laibach, gdzie miał podobno istnieć „pałac von Lipskich”. Spalatti zadbał także o samo lokum, jeżeli chodzi o jego wyposażenie — pokój Rymszy należał do wykwintnych, a opłata przy wynajęciu musiała być znaczna i uwzględniająca dodatkowe dochody madame Skolson. Okazało się, że obiady i kolacje młody paniczek z Laibach miał spożywać w towarzystwie pani Brochwiczowej i jej dwóch córek, pułkownika Hoffmeyera i radcy Steinmetza z Berlina, a to było już szczególnym wyróżnieniem.

A więc wszystko zostało znakomicie zaaranżowane... do zabójstwa.

— Czy mam wy badać pułkownika, jak zachowywał się w Bielawie i Pieszcach? — spytał Rymsza Spalattiego tuż przed odjazdem.

— To zbędne — odparł Włoch. — Nam wystarczy, że on tam był. Chodzi o symbol, a nie o winę. Jest pruskim pułkownikiem powiązany z działaniem tyranii. To wszystko. Jego śmierć ma być ostrzeżeniem dla innych i zmanifestowaniem

walki Europy przeciw tronom.

— Nic właściwie o tych „Lipskich” nie wiem...

— Możesz zmyślać co chcesz. Laibach daleko, za Alpami. Nie sprawdzą. Siedzieć będziesz nie tylko z pułkownikiem, ale ze starszą wdową i dwiema jej córkami. Udawaj, że podoba ci się jedna z nich. Pani Brochwiczowa zgodziła się dopuścić cię do stołu jako ewentualnego dziedzica wielkiej fortuny, a nawet — być może — przysłego narzeczonego jednej z córek. Po wyjeździe z Ciepliec na pewno sprawdzą twój rodowód, ale wtedy będziesz daleko, a Florian von Lipsky rozplynie się w powietrzu.

— O czym mam rozmawiać przy stole? Nigdy w podobnych sytuacjach nie byłem.

— Do jednego im się przyznasz, do studiów we Wrocławiu. Przypuszczam, że konwersacja z pannami nie przysporzy ci trudności, natomiast z ich matką i obu panami możesz mówić o polityce, o Śląsku, o Wrocławiu. Możesz krytykować Austrię i krytykować Rosję, a chwalić Prusy — jeśli przejdą ci takie pochwały przez gardło. Będzie to tylko gra. Teatr... Kiedy przedstawienie się skończy, na scenie zostanie tylko trup pułkownika Hoffmeyera, ty zaś wówczas będziesz zmieniał kostium w garderobie. Gdybyś miał kłopoty — pod wiadomym ci adresem znajdziesz w Jeleniej Górze obu Saksończyków.

— Są niepoważni.

— Tak, są niepoważni, do ich pomocy sięgnij więc w ostateczności, ale są to entuzjaści naszej sprawy, gotowi na wszystko. Zanim ten ich entuzjazm się wypali, mogą ci się przydać.

— A kiedy się spotkamy?

— Dam ci znać dopiero we wrześniu. W lipcu i sierpniu będę na południu.

— W Italii?

— Zapewne w Italii, mój drogi. Tam „gdzie cytryna dojrzewa, a pomarańcz blask zielone złoci drzewa” — jak pisał pan Goethe. Lato spędzić powinniśmy osobno. O dokonaniu aktu sprawiedliwości poinformują mnie obaj Saksończycy. Wtedy zredaguję manifest — ostrzeżenie do władz pruskich i austriackich. A ty po załatwieniu sprawy jedź w strony rodzinne na Pomorze...

Tak powiedział: „po załatwieniu sprawy” i Rymszy słowa te wwierciły się w mózg, pozostając trwale w świadomości, nawet kiedy wysiadał już z koczka przed wejściem do pensjonatu „Undine” i kiedy wprowadzony przez kościastą Szwedkę — panią Skolson — oglądał przydzielony mu apartament.

— Niedaleko jest stąd do pijalni wód, do zakładu kąpielowego, na deptak i do pałacu państwa grafów Schaffgotschów — objaśniała tymczasem gospodyni.

Jeszcze tego samego dnia sprawdził naocznie wszystkie informacje. Kurort Cieplice, nazywany też Ciepłowodami, wydał mu się rozleglejszy i obliczony na bogatszą sakiewkę niż Szczawno, ale może dlatego mniej przytulny, mniej młodzieżowy, słabiej koncentrujący życie towarzyskie, podzielone tu zresztą wyraźnie według zamożności kuracjuszy. Najlepszym tego przykładem był porządek kąpeli. Mężczyźni kąpali się w krytym basenie od drugiej w nocy do szóstej rano. Przez godzinę trwało następnie sprzątanie generalne, a od siódmej rano basen zapełniał się paniami „pierwszej klasy”, które przebywały w siarczanych oparach dwie godziny, aby uczynić następnie miejsce paniom o niższych możliwościach płatniczych. Czystość wody, z której korzystano, regulował więc również pieniądz. Niektóre utytułowane damy narzekały na ten „jakobiński” porządek, który zezwalał kąpać się żonie rzemieślnika równocześnie z hrabiną, ale cóż było robić —

kąpały się... Panowie utyskiwali rządziej, choć demokratyzm tej instytucji budził i u nich zastrzeżenia. Wszyscy wchodzili do wody w długich do kostek koszulach, specjalnie na ten cel przygotowanych, ale w tej samej wodzie kąpali się zazwyczaj ludzie starsi, chorzy, po wypadkach, oficerowie, którzy odnieśli gdzieś rany. Młodzież korzystała z innych „instytucji leczniczych” — z promenady wysadzonej lipami i topolami, a w każdą niedzielę i czwartek odbywały się wieczory tańcujące w Domu Zdrojowym. Tamże były bilardy i sale na „reuniony”, czyli spotkania towarzyskie. W ogrodach, jeśli pogoda, codziennie grała orkiestra — godzinę przed południem i godzinę pod wieczór, przed kolacją. Nic więc dziwnego, że zjeżdżano tu nie tylko dla leczenia ciała, ale i duszy oraz serca, że nawiązywały się romanse, nawet szukano przygód miłosnych, a wreszcie wiązały się tu niekiedy młode pary, aby stanąć wkrótce na ślubnym kobiercu.

Pani Brochwiczowa, a oficjalnie pani von Brochwitz — jak zapisano w księdze gości pensjonatu „Undine” — zjeżdżała tu co roku nie tylko celem pobierania kąpieli, ale obecnie również w poszukiwaniu — jeśli inne okazje zawiodły — przyszłych narzeczonych dla swych córek — Anny i Kazimieri (której imię wymawiano tu „Kazimira” i brzmiało dość egzotycznie na tle dominującej w kurorcie kupieckiej niemczyzny, znaczy takiej, która zacierała różnice dzielnicowe). Wysoko urodzeni starali się mówić po francusku, aby podkreślić swą odrębność, skoro pieniądź równał już kupców z przedstawicielami rodów herbowych. Polaków było mało w tym roku — na co niewątpliwie wpływała napięta sytuacja polityczna we wszystkich trzech zaborach. Bądź co bądź kurort znany był dobrze w całej Polsce — tu miał przecież leczyć swe rany hetman Stanisław Koniecpolski z liczną kompanią po tureckiej potrzebie, tu z całym dworem zjechał kiedyś książę Michał

Kazimierz Radziwiłł. Kąpała się w Cieplicach królowa Marysieńka, a później jej syn — pan na Oławie — Jakub Sobieski. Polubił Cieplice Hugo Kołłątaj i mistrz sceny polskiej Wojciech Bogusławski, a także kompozytor Józef Elsner i pani Izabela Czartoryska, żeby wspomnieć samych dostojniejszych gości.

Ten rok był jednak szczególny również z innych względów — dwa dni spóźniła się pani Brochwiczowa, a trzy dni urzędnik z Berlina pan Steinmetz, który, miał miejsce przy ich stole. Pułkownik Hoffmeyer spóźnił się wciąż jeszcze, mimo że — podobnie jak inni — opłacone miał od początku lipca nie tylko wytworne lokum, ale i „table d’hot” — jak nazywano posiłki dla stałych gości. Pani Brochwiczowa przybyła rzeczywiście z dwiema córkami, które okazały się ładnymi osobkami. Fakt, że nie znalazły jeszcze mężów, nie wynikał więc z braku urody i wdzięku, ale chyba z ambicji ich matki, poszukującej obowiązkowo narzeczonych bogatych i z dobrych domów — a o ten towar nie było łatwo. Jeśli wierzyć Spalattiemu — finanse pani Brochwiczowej nie stały najlepiej, skoro pułkownik Hoffmeyer pomagał jej w wychowaniu córek. A właściwie cóż za dziwne koligacje łączyły tego pruskiego oficera z Brochwiczami? Należało się coś na ten temat „wywiedzieć”. Największą niespodzianką dla Rymszy było pojawienie się przy ich stole niezapowiadanej, sympatycznej, niewiele starszej od pierworodnej córki pani Brochwiczowej — panny guwernantki obu dziewcząt. Przedstawiono ją Rymszy jako „mademoiselle Jeanette z Paryża”, która niezależnie od funkcji opiekuńczej w stosunku do obu dorastających panien, miała uczyć je francuskiego — co było w modzie w całej Europie. Francuski utrzymywał się bowiem wciąż jeszcze jako język salonów — mimo upadku Burbonów i Napoleona. Rymsza znał także francuski.

Spowodowało to, że przy stole konwersację prowadzono wyłącznie w tym języku. Skoro właścicielka pensjonatu pani Skolson spostrzegła to, natychmiast i ona włączyła się ze swoją francuszczyzną do rozmowy. Wprawilo to w kłopot urzędnika z Berlina — próbował i on znaleźć się „na poziomie”, choć należał do tych Niemców, dla których używanie języka znad Sekwany było okrutną torturą — dla mówiącego i dla języka.

Już od pierwszego wspólnego obiadu Rymsza zaczął wyróżniać uprzejmością Annę von Brochwicz — szczupłą, drobniutką osóbkę o pięknych jasnych włosach „o blasku złota” i dużych czarnych oczach. Wydawało się, że Ania jest młodszą córką, Kazia była bowiem nieco masywniej zbudowana, miała pełniejszą, owalną buzię, a także zaskakująco odmienny kolor włosów — ciemne, kasztanowe i upięte zazwyczaj w kok. Okazało się, że w rzeczywistości Ania jest starsza, a jedynie jej eteryczna uroda i odpowiadający urodzie strój, podkreślający niedawne pożegnanie wieku dziecięcego — czyniły z niej kogoś znacznie młodszego. Była też bardziej romantycznie usposobiona od swojej siostry. Adorację ze strony Rymszy zauważyło całe towarzystwo — co było po jego myśli. Oczywiście Kazimiera straciła humor, skoro to nie na nią została zwrócona uwaga młodego sąsiada, mama była nieco podniecona, mademoiselle Jeanette natomiast jakby wyostrzyła swój zmysł obserwacyjny. Jedyne Ania przyjmowała hołdy w sposób naturalny. Pani Brochwiczowa zarzuciła Rymszę już pierwszego dnia całą serią pytań na temat jego rodziny i stron rodzinnych, a w podtekście — majątku państwa Lipskich w Karyntii lub Krajnie. Rymsza odpowiadał ogólnikami, starając się omijać tematy, na których mogłaby ponieść klęskę cała mistyfikacja. Chodziło o to, aby dać do zrozumienia starszej damie, że bogactwo Lipskich to oczywiście, o której pan Florian von

Lipsky nie życzyłby sobie rozmawiać.

— Moja droga Jeanette — zwróciła się pani Brochwiczowa do guwernantki, gdy po obiedzie znalazły się same. — Wyświadczysz mi przysługę, jeżeli uda ci się dowiedzieć czegoś więcej o tym chłopcu. Spogląda od pierwszego dnia na Anię takim wzrokiem i takimi komplementami ją obsypuje, że muszę poważnie zacząć go obserwować. Jutro czwartek, pójdzie może na tańce, biorąc ze sobą pana radcę Steinmetza. Zawsze dwóch mężczyzn odstraszy młodych ludzi, którzy mogą was zbyt obcesowo prosić na parkiet. Nie zostańcie długo, niech Ania i Kazia zaliczą po jednym tańcu z panem Florianem i po jednym z panem radcą. Ty mogłabyś także z panem Florianem zatańczyć — w tańcu łatwiej nawiązać bliższą znajomość. W rozmowie spróbuj wymiarować coś więcej o jego pozycji. Pani Skolson utrzymuje, że otrzymała o tym chłopcu dobre referencje, zanim wciągnęła go na listę gości, ale jej opinii obracają się głównie w kręgu namacalnych majątności, mnie natomiast chodziłoby o to, aby zdobyć nieco informacji o jego hipotece, no i o moralności.

— Będę uważała, łaskawa pani — przyjęła zlecenie Jeanette i chociaż miała własny pogląd na Rymcę, bo po prostu spodobał się jej, przyznała szczerze, że taki samotny młody człowiek w kurorcie wymaga ostrożnego traktowania, zwłaszcza gdy spogląda zbyt łakomie na młodą panienkę z dobrego domu. Nie miała prawa konkurować z żadną z córek swej chlebodawczyni, ale jej kobieca intuicja nakazała tu szczególną czujność i radziła nie rezygnować z osobistych planów. Miłość jest przykładem metafizyki — zwraca naszą uwagę nie na to, co wolno, co przystoi, co dyktuje rozum, ale co fascynuje nas wbrew logice swoją przewrotnością, niekiedy złem albo wręcz katastrofą. Mówimy — „to właśnie ta, a nie inna” i nie potrafimy wyjaśnić dlaczego. Mówimy, „ten, a nie inny” — i

nie ma to żadnego wytłumaczenia zgodnego ze zdrowym rozsądkiem.

Rymsza wybrał Anię, bo spodobała mu się jej uroda, ale nie był to wybór serca. — musiał przecież grać rolę przypisaną mu w całej tej sztuce, wyreżyserowanej przez małego Włocha. Po spełnieniu okrutnego zadania, którym obarczyło go Bractwo Tajnych Laborantów — musiał o tej scenie zapomnieć. A co stałoby się, gdyby Ania przyjęła jego względy za szczerze i pokochała go? Na szczęście to eteryczne stworzenie żyło jeszcze w kręgu namiętnych wpisów do sztambuchów i upajało się złymi przekładami na niemiecki wierszy Byrona oraz wciąż jeszcze przez większość Niemców niezrozumiałego wieszczą z Weimaru —

*„Oj, żeby mi tak wiedzieć дано
Kto to mógł być ten pan dziś rano
Bo sądząc z jego dziarskiej miny
Musi z szlacheckiej być rodziny.
Świadczy już o tym jego wygląd cały
Zresztą, bez tego nie byłby tak śmiały...” *)*

*) — J.W. Goethe „Faust” — przekład F. Konopka

Jeanette Rymsza objawił się od pierwszego spojrzenia jako ktoś właśnie dla niej przeznaczony, bez względu na różnicę w hierarchii społecznej — między biedną guwernantką a dziedzicem włości w Illyrii. Obiecując pani Brochwiczowej, nie zamierzała wcale chronić Ani, już raczej nie dopuścić do flirtu pana Floriana i tego dziewczątka, a zdobyć miłość akademika dla siebie, z góry zdając sobie sprawę, że nie przyniesie to jej spokoju i szczęścia. I co jeszcze — co później sama mi wyznała — nie wierzyła w Karyntię, w Krajne, w Laibach, w bogactwo Floriana; wydał się jej początkowo młodym awanturnikiem, może nawet szulerem karcianym, oszustem, choć jeszcze nie karbonariuszem ze zleceniem dokonania mordu. I ta wyobraźnia wzmogła tylko jej starania o „zdemaskowanie oszusta”

... na własny jej użytek.

W tańcu spytała go, skąd tak dobrze zna francuski.

— Zawsze mówiono u nas po francusku, a od czasów Napoleona francuski stał się drugim naszym językiem.

— W Laibach?

Zastanowił się, czy dziewczyna nie chce go wybadać, skąd pochodzi. Nie wierzy mu — czy wie coś więcej? A może ani jedno, ani drugie?

— Tak, w Laibach.

— A łacina? — spytała — Illyria jest przecież katolicka.

— Łacina to umarły język — odpowiedział. — To język, w którym głosi się obowiązek czczenia i szanowania króla i cesarza.

— A pan ich nie czci i nie szanuje?

— Nie — powiedział stanowczo. — W Illyrii mamy prawo ich nie czcić i nie szanować. Napoleońska „wolna Illyria” była tworem godnym komedii, ale u jej podstaw leżała słuszna myśl, że nie jesteśmy już częścią Austrii i nie jesteśmy poddani austriackimi. Była szaleństwem, ale szaleństwem buntu.

— Zostaliście oszukani przez Napoleona.

— Gdyby Illyria istniała w dawnym kształcie *) i gdyby Napoleon przetrwał Waterloo, Illyria zbuntowałaby się i tak przeciw Napoleonowi, jak buntowała się przeciw monarchii austriackich cesarzy. A potem zrzuciłaby z ramion ów płaszcz błazna, którym okrył ją Napoleon — mówił dalej jak autentyczny patriota Illyrii — kraju Słowian nadadriatyckich, choć w gruncie rzeczy mówił o Polsce.

*) — Prowincje Illyrii (Ilirii) istniały od 1809 r. Między innymi do nich należały Krajna (Kraina) i Karyntia. Stolicą była Lubljana. Oficjalna nazwa austriacka — Laibach. Po upadku Napoleona prowincje Illyrii zajęli Austriacy. W latach czterdziestych XIX wieku przymiotnik „illyryjski” używany był jako synonim określenia „słowiański” lub „balkański” i przez władze austriackie oficjalnie zakazany.

— Jakim językiem posługujecie się w Illyrii? — zapytała jeszcze podchwytliwie, jakby istotnie próbując wprowadzić go na taką mieliznę, z której nie miałyby wyjścia.

— Zawsze językiem buntu, jak wszyscy Słowianie — odpowiedział wolno, patrząc jej prosto w oczy. Nie zmieszała się, raczej była zadowolona z tego zderzenia. Nawet uśmiechnęła się.

— Pani Brochwiczowa jest ciekawa jak wielkim majątkiem rozporządzają von Lipsy w Illyrii?

— Poleciała pani wybadać mnie?

— „Wybadać” to nieodpowiednie słowo. Nie zdradził mi pan przed nią, że szczerze powiedziałam to panu?

— To oczywiście — odparł natychmiast, chyba trochę poirytowany tą indagacją. — Co do bogactw, to niech pani zapewni zancą panią Brochwiczową, że są ogromne.

— A co do miłości? Zainteresował się pan przecież panną Anną. Zainteresowanie takie biorą tu zarówno mamy, jak i córki bardzo poważnie.

— Od pierwszej rozmowy?

— Nawet od pierwszej rozmowy.

— No cóż, sprawy serca są nieodgadnione. Kto wie, może moją miłość ofiarowałem już dawno mojej Illyrii?

— Mimo że to kraj wymyślony na mapie przez Napoleona?

— Illyria to symbol, a cała rzecz może być znacznie poważniejsza.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Zostawmy ten temat na później, panno Jeanette. Na pewno znajdzie się jeszcze okazja, aby do niego wrócić. Nasz taniec zapamiętam. Panna Kazimiera mówiła mi w tańcu o bogactwach Schaffgotschów, których własnością są Cieplice, panna Ania o poezji. Na obu przedmiotach się nie znam. Rozmowa z panią była najciekawsza, ale nie zakończymy jej w tańcu. Nieprawda?

Jeszcze tego samego dnia panna Jeanette uspokoiła panią Brochwiczową, że ich młody sąsiad to na pewno nie niebieski ptak ani łowca posagów. Skoro nie bierze kąpieli, może istotnie szuka narzeczonej?

Był może zbyt mało konspiracyjny w swych odpowiedziach. Ryzykował. Nie wiedział przecież zupełnie nic o francuskiej guwernantce, ale czy tak łatwo uciec od samego siebie. Czy tak łatwo grać rolę, której się nie wybierało?

W piątek ogłoszono wszystkim pensjonariuszom „Undine”, że w niedzielę, jeśli pogoda dopisze, goście mogą udać się na całodzienną wyprawę do podnóża Gór Olbrzymich, nazywanych przez brać słowiańską również Karkonoszami, do siedliska samego Ducha Gór — Rzepióra, Liczyrzepy lub Rübzahla, jak go mianowały różne nacje. Obiecano doprowadzić gości do samej norweskiej świątyni Wang, poświęconej równo rok temu — w lipcu 1844 roku, kiedy w Bielawie i Pieszcach trwały jeszcze niepokoje wywołane głodowym buntem tkaczy. Na wycieczkę zapisało się towarzystwo obecne przy stole obiadowym: pani Brochwiczową, dwie jej córki, guwernantka i „student von Lipsky”, czyli Rymsza. Radca Steinmetz był niedysponowany i na obiad nie zszedł — on więc jedyny odmówił udziału w wyprawie.

— Słyszałem, że wolne wciąż jeszcze miejsce przy naszym stole przeznaczone jest dla pana pułkownika Hoffmeyera — zauważył odważnie Rymsza, zaniepokojony brakiem pruskiego oficera w oczekiwanym terminie. — Czy jego ekscelencja pan pułkownik zrezygnował w ogóle z przybycia? Bo jeśli przyjedzie jutro, może należałoby zarezerwować miejsce w wycieczce również dla niego?

— Ach, nie! — zaprzeczyła pani Brochwicz. — Wujek Ernest nie lubi włóczęgi po górach. On ubóstwia w kurorcie spokój i wygodę, dość ma trudów na manewrach. Przyjedzie na odpoczynek i tylko na odpoczynek. Zjawi się trochę później, niż obiecywał, dopiero w niedzielę lub poniedziałek.

Kiedy wrócimy, zapewne będzie już nas oczekiwał.

Mój Boże! — pomyślał wówczas student Rymsza. — Będę więc miał tydzień, aby obmyślić plan zabójstwa i... zastrzelić pułkownika Ernesta von Hoffmeyera! Cały tydzień albo zaledwie tydzień!...

7. *Jeanette*

W niedzielę rano długi korowód bryk, koczy, powozów i karet opuścił Cieplice, wycieczki zaplanowano bowiem w wielu pensjonatach i willach. Cele były różne — niektórym wystarczył wypad pod zamek Chojnik i obejrzenie karkołomnej „drogi Kunegundy” wokół warowni a także wysłuchanie legend dotyczących orlego gniazda w Karkonoszach. Inni kierowali się dalej — pragnęli zwiedzić Śnieżne Kotły, huty szkła bądź kościółek Wang — jak goście pensjonatu „Undine”. Z pensjonatu wyjechały trzy pojazdy wiozące trzy grupy gości. Rysmszy przypadło miejsce w powozie pani Brochwiczowej, jej córek i guwernantki Jeanette. Obok stangreta usiadła pokojówka Roza. W drugim powozie była także pokojówka, a w trzecim kamerdyner Johann.

— Jedziecie w dzikie góry, musicie mieć fachową opiekę — stwierdziła pani Skolson, wyprowadzając ich przed dom.

Kiedy w drodze wychylali się z powozu, mogli dostrzec coraz wyraźniej, jak góry wychodziły im naprzeciw, obłe, ogromne, nawet dla poniekórych pańienek straszne, kumulujące w swoim pięknie i w swojej potędze wszystkie okropności przeczytanych kiedyś romansów przygodowych o miłości i zbrodni. Zresztą droga była tak długa, że i ten temat w rozmowie został poruszony, co tylko przyniosło wypieki na buzi romantycznej Ani — marzyła dawno o takiej wyprawie „w krainę Ducha Gór”.

Koło południa już u samego podnóża gór stangret pokazał im chatę „prawdziwych laborantów”. Stangret mówił dość osobliwie po niemiecku, wtrącając wyrazy czeskie. Jak następnie opowiedział — jego rodzina mieszkała po tamtej stronie gór. Lud był tu „wymieszany”, sporo było potomków dawnych walońskich poszukiwaczy skarbów i miejscowych zielarzy, sporo Czechów, sporo Polaków, a ostatnio dał się zaobserwować przyływ przybyszów z różnych krajów niemieckich. Stangret nazywał „Ducha Gór” — „Karkonoszom”. Uważał, że używaną przez Niemców nazwę „Riesengebirge”, czyli Góry Olbrzymie, wymyślili koloniści, którzy przybyli ze Szwabii i nigdy przedtem gór nie oglądali. „U nas, w Czechach — mówił — mamy góry wyższe jeszcze od tych, a u braci Słowaków — góry sięgają już naprawdę nieba.

— W ojczyźnie pana Floriana — wtrąciła panna Jeanette — są jeszcze wyższe góry. Laibach leży u podnóża Alp. Nieprawda?

— Można tak powiedzieć... skinął głową Rymsza, nie pragnąc rozwijać tematu i żałując, że przed przyjazdem nie przestudiował lepiej geografii.

Korzystając z przerwy w podróży, Rymsza poszedł zwiedzić wskazaną przez stangreta chatę laborantów. Była zamieszkała. W drzwiach powitał go stary góral lub może zielarz, który zaproponował sprzedaż „maści na ukąszenie żmii”, a gdy Rymsza odmówił, „wódki na ziołach i mrówkach”. Student zajął przez ciekawość do wnętrza chaty i zobaczył tam prymitywnie urządzone laboratorium — był jeden zydelek, ława, barłóg, piec i stół pełen retort. Swoje tajemne eliksiry laboranci z gór wozili nawet na rynek wrocławski. Byli kiedyś zorganizowani w rodzaj cechu. W tym kręgu przekazywali sobie nawzajem aptekarskie doświadczenia, do których należało przyrządzanie ziółowych nalewek. Potem jednak sekretne kółka pękały i pojawiło się wielu

szalbierzy udających zielarzy. Laboranci trzymali również z poszukiwaczami złota i zbójckich skarbów. Znali wszystkie tajemne znaki wyrąbane na skałach, mające wskazywać sztolnie górnicze bądź ukryte bogactwa. Potem plany i notatki oraz całe relacje o skarbach zaczęły wędrować w odpisach i pojawiły się nawet na wrocławskim rynku. Nie słyszano już jednak ani o szczęśliwych znalazcach jakiejś złotej żyły, ani o odnalezionym garnku glinianym pełnym złotych monet — oczywiście talarów z wizerunkiem Marii Teresy. Coraz więcej było sekretnych map i pism, aż zabrakło chętnych do kupowania.

Miast cudownych eliksirów i wódki na mięcie Rymsza kupił od zielarza takie właśnie „sekretne” pismo — chyba już wielokrotnie przepisywane, pełne „tajnych” informacji — i opatrzone symbolami poszukiwaczy. Wszyscy wycieczkowicze oglądali później pomietą kartkę papieru próbując zrozumieć coś z tych bazgrołów.

Po posiłku ruszono dalej, aż pojazd zatrzymał się pod samym drewnianym kościółkiem. Była to budowla jakby przeniesiona wprost ze starych sag norweskich. Narodziny kościółka ginęły w pomroce dziejów, ale jego najnowsza historia była również niezwykła.

— Kościółek znajdował się kiedyś w Norwegii nad jeziorem Wang i stąd jego nazwa — opowiadał pomocnik kościelny. — Nie wiadomo, kto go zbudował, choć wydaje się pewne, że powstał w czasach bardzo dawnych, gdy dalekie morza przemierzali bitni Wikingowie. Kiedy już zaplanowano rozbiórkę kościoła, ponieważ okazał się za mały dla parafii, w obronie tej pięknej budowli stanął profesor Jan Christian Dahl — Norweg, ale wykładający sztuki piękne na drezdeńskiej akademii. To dzięki jego zabiegom kościół został wykupiony przez jego wysokość, miłośnicwie nam panującego króla Prus Fryderyka Wilhelma i pod nadzorem architekta pana Fryderyka Schiertza rozebrany, każda część ponumerowana i przez Bergen

i Szczecin dostarczona do Królewskiego muzeum w Berlinie. Na prośbę hrabiny Julianny von Reden, wdowy po ministrze, nasz łaskawy monarcha wyraził zgodę, aby tę piękną świątynię otrzymał Śląsk, od ponad stu lat znajdujący się pod berłem monarchii Prus. Wówczas rzekami i kanałami przetransportowano część kościoła do Legnicy, a potem wozami przewieziono wszystko aż tu, nie opodal najwyższego wzniesienia Gór Olbrzymich. Poświęcenie kościółka nastąpiło w ubiegłym roku, zaraz po jego zmontowaniu, 28 lipca 1844, a uroczystość zaszczycił swoją obecnością sam miłościwy pan, król Fryderyk Wilhelm, z małżonką. Przybył na tę uroczystość także następca tronu. Odtąd świątynia ta przynależy do kościoła ewangelicko-augsburskiego i nosi nazwę Kościoła Górskiego Naszego Zbawiciela na Wangu.

Kiedy zwiedzali kościółek, pogoda gwałtownie zaczęła się psuć — jak to bywa często w górach. Nagle powiało chłodem i cała okolica utonęła w mgle. Turyści opuścili świątynię niemal w panice, aby czym prędzej zjechać w dolinę, gdzie znajdowały się liczne zajazdy i gdzie można było spokojnie przeczekać nawet burzę z gradobiciem. Burza jednak nie nadeszła ani nie spadł grad, ale gdy znaleźli się już w dolinie, zaczął padać bardzo zimny deszcz. „Kto wie — mówili miejscowi — czy na szczytach nie posypie w nocy śniegiem?”

— Kiedy królewska para bawiła w, kościółku Wang w ubiegłym roku, na podgórzu śląskim zdarzyły się nie tylko deszcze z gradem, ale nawet tragiczne wypadki... — przypomniała guwernantka.

— Jakie znów wypadki — spytała pani Brochwiczowa. — Może harce tego, jak mu tam, Karkonosza czy też Ducha Gór...

— Panna Jeanette ma zapewne na myśli powstanie tkaczy śląskich... — uzupełnił Rymsza.

— Powstanie tkaczy? — zdziwiła się pani Brochwiczowa.
— O niczym takim nie słyszałam.

— Powstanie zaczęło się już w maju ubiegłego roku, a z całą mocą wybuchło w czerwcu. We Wrocławiu doszło wówczas do rozruchów, które omal uniemożliwiły przybycie księcia Adalberta do miasta.

— A to niegodziwi ludzie z tych tkaczy! — westchnęła pani Brochwiczowa. — Wprowadzać niepokoje, gdy miasto spodziewało się takiej wizyty!...

Mżawka zmieniła się w ulewę i w tej sytuacji okazała się niezastąpiona przedsiębiorczość Johanna — kamerdynera pensjonatu. Znalazł czysto utrzymany zajazd i restaurację z wybornym jedzeniem. Pokoje były ogrzane, służba grzeczna i w miarę bystra. Wszyscy goście z pensjonatu zostali wygodnie ulokowani, choć oczywiście te wygody nie dorównywały komfortowi zakładu pani Skolson. Zdecydowano przeczekać niepogodę w zajeździe, a gdyby ulewa nie osłabła — nawet zanocować. Była to w swoim rodzaju dla wszystkich niezwykła przygoda i niektórzy z podróżnych byli jej z pewnością bardzo radzi. Pani Brochwiczowa otrzymała dla siebie i córek osobną kamerę, guwernantka Jeanette miała nocować w jednym pokoju z pokojówką Rożą, a Rymsza, „jeśli nie miałby nic przeciwko temu” — w jednej izbie z kamerdynerem.

Spóźniony obiad równocześnie służył już za kolację. Pani Brochwiczowa zamówiła dla wszystkich czerwone grzane wino, sprowadzone tu z Austrii. Napój z naddunajskich winnic wpłynął na poprawę nastroju. Ania była przejęta przygodą i powtarzała za panią matką, że to Duch Gór napędził mgłę i deszcz, aby przerazić podróżnych. „Co powiedzą moje przyjaciółki— paplała — gdy im opowiem, że odwiedziłam tak niezwykłą krainę.” Panna Kazimiera próbowała rozwinąć temat poezji „Burzy i Naporu”, a gdy Rymsza nie podjął wyzwania,

usiłowała wciągnąć go do dyskusji nad twórczością Klopstocka i Bettiny von Arnim. Potem zapytała, czy nie uważa, że pierwszy etap europejskiego romantyzmu był obciążony historią?

Biedny Rymsza! Gdyby na mnie to przypadło, podjąłbym z przyjemnością dyskusję i wykazał pannie Kazimierze błędy jej sentymentalnej edukacji. Rymsza także to odczuwał, ale nie umiał wyrazić swoich poglądów na tyle precyzyjnie, by przekonać dziewczynę. Powiedział tylko to, na co było go stać: „Romantyzm, panno Kazimiero, to nie tylko liryka miłosna, ale i okrzyk rozpacz, to nie tylko ogrody w blasku księżycy, ale i barykady, to nie tylko wzruszenia nad lekturą Schillera, ale pójdzie śladem jego bohaterów”. Jeśli tak rzeczywiście powiedział, jak zanotował później w swoim sztambuchu — chwała mu i za to.

Zmożeni podróżą, ciepłem zajazdu i czerwonym winem, goście powoli zaczęli udawać się na odpoczynek do izb gościnnych. Na polu bitwy najdłużej pozostał mój przyjaciel Rymsza, zamawiając — jakby uctował „Pod Zielonym Pola-kiem” lub „Pod Złotą Gęsią” we Wrocławiu — kawę i likier, czym — o dziwo! — dysponowali gospodarze zajazdu. Kawa okazała się przednia, a jak szepnął na ucho gospodarz: przemycana była tutaj przez góry aż z Wiednia.

Powoli zajazd zapadał w sen, choć gospodarze nie mieli zamiaru zamykać ostatecznie lokalu. W pobliżu pieca siedział wciąż jeszcze chudy jak tyka berlińczyk, emerytowany wojskowy, wspominający zapewne w szumie deszczu pochody Blüchera, a w kącie, zupełnie w cieniu — samotny Rymsza, rozpamiętujący po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty swoją sytuację. I wówczas stała się rzecz dość dziwna — z pięterka, po skrzypiących schodach spłynęła nagle w dół, do sali jadalnej panna Jeanette, wciąż jeszcze w swym podróżnym stroju, jakby nie miała zamiaru kłaść się spać. Skierowała się wprost

do stołu Rymszy, którego bez ceregieli zapytała, czy może w jego towarzystwie napić się jeszcze kawy, boli ją bowiem głowa i nie może zasnąć. Tak, emancypacja kobiet robiła już wówczas postępy! Rymsza chętnie przystał na to, dodatkowo poradził młodej damie kieliszek likieru. Panna podziękowała — ochotę na likier zapewne miała, ale gdyby pani Brochwiczowa zobaczyła ją tego wieczoru w towarzystwie mężczyzny, w dodatku pijącą napój alkoholowy, pewnie jej kariera guwernantki zakończyłaby się dość szybko.

— Po dobrej kawie, a kawę przyrządzają tu znakomitą — powiedział Rymsza — będzie pani miała jeszcze większe trudności z zaśnięciem. A kiedy człowiek nie może zasnąć, nawiedzają go złe myśli. Wszystko, cokolwiek czynił, a nawet mówił lub myślał, wraca do niego, ukazując cały bezsens lub błąd. Boję się zawsze takich nieprzespanych nocy.

— Więc może porozmawiajmy...

— Ba, ale zdaje sobie pani sprawę z tego, ile nowych błędów popełnię w takiej rozmowie, ile rzucę słów, których będę potem żałował? Mój francuski nie jest zresztą tak płynny, jakbym chciał, a książki, które w tym języku czytam, najczęściej nie mówią o światowym życiu, o miłości, o wschodach księżycy, ale o niedoli i bólu, o nędzy i buncie... Pani, jako Francuzka...

— Nie jestem Francuzką... — przerwała mu nagle Jeanette. — Tak, przyjechałam niemal prosto z Paryża, ale w Paryżu nie mieszkają wyłącznie Francuzi. Przebywa tam dziś wielu obcokrajowców.

— Nie urodziła się pani w Paryżu?

— Niektórzy poznają to dość łatwo po akcencie, choć czternaście lat zamieszkiwania nad Sekwaną zrobiło swoje. To prawda — chroni mnie dziś majestat Francji. Ale nie jestem Francuzką... Pan nawet nie zainteresował się moim

nazwiskiem. Jestem dla pana tylko „Jeanette”, nieprawda? A ja nazywam się Limanowska. Mój ojciec wyemigrował z Polski po upadku Powstania Listopadowego. Był wojskowym, miał stopień majora i nic innego robić nie potrafił, jak tylko... walczyć. Gdy zaproponowano mu wstąpienie do armii kolonialnej, którą Francja zaczęła tworzyć w połowie lat trzydziestych, bez wahania przyjął tę ofertę. Śniły mu się legie włoskie i śnił jeszcze generał Bonaparte.

— I co z tych snów zostało?

— Poległ dziesięć lat temu w Algierze, ale zdążył przedtem zabezpieczyć życie mojej matki i moje. Jestem obecnie córką oficera francuskiego, poległego w wojnie, „za wielkość Francji”, a to coś innego niż córka emigranta z Polski. Tak mówią niektórzy...

— Mówi to pani z ironią...

— Co może mnie obchodzić dziś wielkość Francji i zdobywanie dla niej krajów za Morzem Śródziemnym? Przypuszczam, że mego ojca także niewiele to obchodziło. Był po prostu najemnym żołnierzem. W naszych polskich warunkach to już ani hańba, ani powód do radości. Przypisano nam rolę w dramacie narodowym, na którego treść nie mamy wpływu.

— Dlaczego pani to mówi właśnie mnie? Myśli pani, że w Illyrii przejmujemy się losem Polski? Dlaczego mówi to pani dzisiaj? Dlaczego tu — w ten słotny wieczór u stóp Karkonoszy?

— Może nie będzie innej okazji, aby szczerze porozmawiać?

— Może istotnie nie będzie. Ale to jeszcze nie powód...

— A jak pan myśli? Co może być powodem?

— Bo ja wiem? Może chęć zrzucenia z ramion własnych trosk niepokojów? Może coś panią gnębi i zapragnęła pani

powiedzieć o tym ze mną. Ale czy wybrała pani odpowiednie miejsce, czas i odpowiedniego człowieka?

— Powiem panu otwarcie — myślę, że nie jest pan tym, za kogo się pan podaje. Mam wrażenie, że nie jest pan Florianem von Lipskim z Karyntii lub Krajny... Takich jak pan poznałam wcześniej i żaden z nich nie pochodził z Laibach.

— Dlaczego pani tak sądzi? Jaki cel miałbym w przebierance? Czy jest różnica między Laibach, Paryżem, Wrocławem?...

— Jaki cel — tego nie wiem, ale bardzo niechętnie mówi pan o domu, o rodzinnych stronach i w pana zachowaniu trudno odkryć rzeczywiste pochodzenie. Poglądy też ma pan dziwne, przeczące domowi bogatych ludzi z Illyrii. Zgodził się pan nawet zanoć w jednej izbie z kamerdynerem. To godne pochwały, ale nie pasuje do dziedzica rozległych dóbr lub domu kupieckiego w Karyntii...

— W Krajnie — poprawił Rymsza.

— To wszystko jedno. Illyrię, jak pan sam mówi, wymyślił Napoleon, tak jak... — tu jednak zająknęła się. Chciała zagrać odważnie i powiedzieć tak jak Księstwo Warszawskie, ale odwaga ją opuściła.

— Chciała pani powiedzieć: tak jak ja wymyśliłem Krajne?

— Coś w tym rodzaju...

— Jakie ma pani podstawy, aby tak sądzić o mnie?

— Waham się, czy mogę panu to powiedzieć. Jestem guwernantką z przypadku i zawdzięczam wiele pani Brochwiczowej. Jeśli powiem panu, skąd moje podejrzenia, będzie pan miał prawo zażądać od mojej chlebodawczyni usunięcia mnie z jej domu i ona będzie zmuszona to uczynić. Darzę pana ponadto sympatią, mimo że nie znamy się wcale, że nic o sobie nie wiemy.

— Mogę panią zapewnić, że cokolwiek pani mi dzisiaj powie o swoich podejrzeniach, zostanie między nami, tu, w tym zajeździe. Nikt się o tym nie dowie. Dlaczego nazywa pani siebie „guwernantką z przypadku”? Co to był za przypadek?

— Jechałam z Paryża do Warszawy, ale na komorze celnej pod Kaliszem, władze rosyjskie nie zezwoliły mi na wjazd do Królestwa Polskiego, to znaczy na teren imperium cara Wszechrosji. Nie miały prawa odmówić mi wjazdu, ponieważ jestem Francuzką. Ale odmówiły.

— Obawiano się panią wpuścić?

— Na terenie Królestwa pozostały pewne interesy mego ojca, interesy wciąż jeszcze niezalutowane. Muszę tam pojechać.

— Pieniądze?

— Ziemia, pieniądze...

— Majątek?

— Główny majątek mego ojca został przez władze skonfiskowany za udział w powstaniu, ale są pewne powiązania rodzinne i należne mi stąd sumy. Nie będę panu opowiadać szczegółów, dość że podróż do Warszawy ma dla mnie duże znaczenie. Tymczasem zatrzymanie mnie na granicy spowodowało konieczność interwencji w mojej sprawie. Zajął się tym ambasador Francji w Berlinie, ale w Poznaniu skończyły mi się pieniądze i pomoc pani Brochwiczowej umożliwiła mi dalszy pobyt tutaj — aż do wyjaśnienia. W tych warunkach przyjąłem pracę guwernantki do jej córek, obiecując przez lato poprawić ich znajomość francuskiego. Rozumie pan teraz, w jakiej znalazłam się sytuacji i dlaczego nie mogę narazić się pani Brochwiczowej? Okazałabym niewdzięczność no i straciłabym oparcie w mojej dobrodziejce.

— Kim jest pani Brochwiczowa? Kim są w ogóle Brochwiczowie?

— Rodzina wywodzi się z Pomorza. Mąż pani Brochwiczowej był zupełnie zniemczonym Polakiem, ale ona ocalała w sobie jakieś sentymenty do Polski, w domu mówi często do mnie po polsku. A za kogo się naprawdę uważa? Nie wiem. Najważniejsze dla pani Brochwiczowej obecnie to wydanie za mąż obu córek. W tym względzie problemy narodowości dla niej nie istnieją — liczą się majątki przyszłych mężów. A ona sama? Chętnie spędziłaby resztę życia u boku wysoko postawionej osoby, która zapewniłaby jej odpowiednie życie towarzyskie i majątek.

— Takim kandydatem jest może pułkownik Hoffmeyer?

— Jest pan doskonale poinformowany, ale on nie jest w zupełności wymarzoną kandydatem do ręki pani Brochwiczowej. Po prostu jego żona była z domu Brochwicz. To siostra nieżyjącego już męża naszej pani. Obecnie nie żyje pan Brochwicz i nie żyje jego siostra, a pan pułkownik Ernest on Hoffmeyer gra rolę dobrego wujaszka i opiekuna obu córek — i to zbliżyło go trochę do wdowy Brochwicz i do spraw całej rodziny. Czy ma jakiś cel matrymonialny, czas pokaże. Pułkownik to człowiek z zasadami, ale zasadami wymodelowanymi w pruskim wojsku. Nie wiem, czy to panu wiele mówi. Natomiast pani Brochwiczowa ma jednak duszę słowiańską.

— Nie za powierzchownie ocenia ją pani? „Dusza słowiańska” to dobre w poezji...

— A czy pan nie za surowo mierzy ludzi?

— Czy pani uwaga ma związek także z pani podejrzeniami?

— Ma, bo uzyskał pan, przez bliżej nieznaną protekcję, miejsce przy naszym stole i próbuje wyrzucić dobre wrażenie na obu pannach, a zwłaszcza na pannie Ani oraz na jej matce. To się rzuca w oczy. Od pierwszego dnia...

— Myślałem, że jestem po prostu grzeczny.

— Chciał pan być zapewne „tylko grzeczny”, bo „tak wypadło”, bo jak poinformowała pani Skolson naszą panią, „rozgląda się pan za ewentualną przyszłą panią serca i majątku”. Ale młodzi panowie z bogatych domów w ten sposób nie szukają małżonek. W ten sposób szuka się raczej przygody miłosnej. Pan natomiast, jeśli wolno mi być szczerą, wydaje się nie szukać ani żony, ani przygody miłosnej. Pani Brochwiczowa chyba doszła do podobnych wniosków jak ja, skoro kazała mi mieć baczenie na pana i zorientować się „czy jest pan tym, za kogo się podaje”.

— I sprawdziła to pani?

— Nie mogłam wobec polecenia mej chlebodawczyni pozostać bierna. Ale to, co powiem teraz, będzie mogło zostać przyjęte przez pana również jako zdrada pani Brochwiczowej. Zdrada jej zaufania.

— Zdrada na rzecz... czyją, jeśli wolno zapytać?

— Na rzecz pana, panie Florianie. Polubiłam pana.

— Jakie więc poczyniła pani odkrycia, o których poinformowała pani swą chlebodawczynię?

— Chodzi o to, że zwierzyłam się jej tylko ze skromnej części moich obserwacji. Na tym polega moja zdrada. Żyjemy w czasach, kiedy Europę przebiegają nie tylko sentymentalni podróżni i nie tylko kupcy. Pan dobrze wie o tym. Pan nie czytuje Sterne'a „Podróży sentymentalnej”. Lekturę, którą trzyma pan u siebie w pokoju, znam równie dobrze jak pan. Pasjonowała mnie nie tylko George Sand i pani de Staël, ale i Saint-Simon, i Fourier. Mojej chlebodawczyni powiedziałam jednak tylko o Balzaku. Była oburzona — jak można coś takiego pisać i gorzej, jak można takie książki czytać?...

— Kiedy była pani w moim pokoju?

— Gdy zszedł pan na obiad, zostawiając klucz w zamku. Prawdopodobnie dla pokojówki.

- Nie obawiała się pani, że ktoś panią zobaczy?
- Obawiałam się, ale robiłam w życiu wiele rzeczy mimo strachu. Niech pan nie zapomina, że mieszkam w Paryżu. Bez ojca...
- Co więc zobaczyła pani w moim pokoju prócz podejrzanych książek?
- Był tam rozpakowany kufer z garderobą, a wszystkie sztuki garderoby sygnowane były nazwiskiem von Lipsky lub nazwą miasta w Illyrii — Laibach. I o tym nie omieszkalam powiedzieć mojej chlebodawczyni, aby upewnić ją, że może się nie obawiać. Jest pan istotnie Florianem von Lipskim z Laibach.
- Co jeszcze znalazła pani?
- Był tam również podręczny sakwojaż, z którym z reguły pan się nie rozstaje. Obecnie ma pan go także. Mam powiedzieć, dlaczego nosi pan sakwojaż stale przy sobie?
- Ale tamtego dnia, kiedy zajrzała pani do mojej izby, jednak nie zabrałem go ze sobą do sali jadalnej...
- I to był pana błąd. Sakwojaż łatwo daje się otworzyć, jeśli nie jest zamknięty na kluczyk. A wówczas nie był.
- Nie krępowało panią grzebanie w cudzych rzeczach?
- Spełniałam polecenie mojej pani, która obawia się o swoją córkę...
- Cóż więc odkryła pani w moim sakwojażu?
- Pistolet, proch i kule. Pistolet nowoczesny, kapisznowy. Znam ten typ broni. Zastanowiło mnie tylko potrójne wycięcie na drewnie kolby. Być może, jest to pistolet z bogatą przeszłością, choć taki nowoczesny. Ale o pistolecie nie powiedziałam wówczas pani Brochwiczowej i nie powiem nigdy. Nikomu.
- Co jeszcze pani znalazła?
- Oprawiony w czarną skórę sztambuch...
- Czytała pani, co w nim zostało napisane?

— Nie miałam czasu. Mogłam tylko stwierdzić, że notatki prowadzone były po polsku, a na pierwszej stronie napisano — „własność Floriana Rymczy”. Jest pan nieostrożny, panie Florianie. Nie wiem, kim pan jest naprawdę, ale wiem, że nie jest pan Florianem von Lipskim. To maskarada. Moje odkrycie zachowam oczywiście dla siebie, ale musi pan być ostrożniejszy. Pani Brochwiczowa będzie interesować się panem tak długo, jak długo pan tu będzie. Jeszcze jest nastawiona do pana życzliwie, ale może się to odmienić, gdy zorientuje się, że uczestniczy w mistyfikacji, której sensu nie zrozumie.

— A pani rozumie?

— Bardziej przeczuwam, niż rozumiem, ale przynajmniej ja nie chcę wiedzieć więcej, o co tu chodzi. Spotykałam takich ludzi jak pan, pełna ich cała Europa. Emisariusze wolnej myśli i wolnego czynu. Poznałam niedawno pana Dembowskiego...

— Edwarda Dembowskiego?

— Tak. Był w Poznaniu, teraz jest gdzieś w Galicji. Zna go pan?

— We Wrocławiu uczestniczyłem w jego spotkaniu z polskimi akademikami. Długo potem byłem pod jego wrażeniem.

— To mi pan bliski, skoro tak mówi... Dembowski... Ba, usłyszy o nim kiedyś Europa.

— Cóż z tego wszystkiego dla mnie wynika? Co mam pani odpowiedzieć?

— Niech pan nie mówi: to nieprawda. Poza tym kto wie, może ja jestem nie tylko córką, emigranta i guwernantką... Niech więc pan liczy na moją przyjaźń i serdeczność... Co więcej? Chyba na dziś dość... Umilkła. — Zdaje się, że przestało padać?

Wstała, podeszła do drzwi. Podążył za nią i oboje wyszli na dwór. Rozpogodziło się. Na niebie pojawiły się gwiazdy.

Gór nie było widać, czerń lasu i skał otoczyła ich wysoka ścianą. Jeanette nagle zadrżała.

— Zimno pani? — spytał po raz pierwszy tego wieczoru po polsku.

— Nie, to nerwy... — odpowiedziała w tym samym języku. — Boję się, Po prostu boję się.

Objął ją delikatnie w geście przyjaźni.

— Proszę się położyć i niczym się już nie martwić. Proszę zasnąć. Jutro wiele spraw będzie mniej strasznych, jak to zwykle bywa w blasku dnia. Przyrzekam uważać na to, co robię. Miała pani rację — wyszliśmy tylko przed dom, a ja wziąłem już ze sobą mój ciężki sakwojaż. Miała pani rację...

— Mówiłam panu, takich ludzi jak pan pełne są dziś wszystkie drogi Europy. Coś to zapowiada i może coś z tego wyniknąć. A może nic...

— Jeanette to po prostu Janina, prawda?

— Janina, Jana, Janeczka, ale tutaj niech zostanie Jeanette. Tak będzie lepiej dla pana, dla mnie, dla pani Brochwiczowej.

— I ja oczywiście pozostanę Florianem von Lipskym...

— Zgoda. Tak będzie.

Gdy wrócili do sali, w kominie dogasały już drwa, mrok osnuwał kąty. Rymsza znalazł gospodarza, uregulował rachunek, dodał spory napiwek i życzył „dobrej nocy”. Jeanette już zniknęła. W izbie którą mu przeznaczono, zastał dopalającą się świecę. Jego sąsiad — kamerdyner — chrapał...

Jeanette — kim była naprawdę? Poszukiwania w jego pokoju nie wynikały przecież z polecenia pani Brochwiczowej. Ciekawość kobieca? Może ciekawość także, ale chyba coś jeszcze. Znała Dembowskiego, czytywała Saint-Simona, Fouriera... Ufał jej, wierzył, że go nie zdradzi, ale po tej rozmowie cała konspiracja Bractwa Tajnych Laborantów wydała

mu się niepoważną zabawą smarkaczy. Tylko że w następstwie tej zabawy ktoś miał zostać zabity... Czy on — Florian Rymsza — nadawał się do spełnienia takiego polecenia? Czy w ogóle miało to jakiś sens?

Jak mówiła Jeanette, takich jak on spotkać można dziś było w całej Europie. W sakwożażach mieli z pewnością także pistolety, proch i kule i też oddani byli jakimś ideom. Może istotnie miało coś z tego wyniknąć? A może nic?... Mówiono o nich, że szlachetni są jak diamenty, ale palą się łatwo, a po spaleniu diamentu — nie pozostaje nawet popiół...

8. *Pułkownik Hoffmeyer*

Może niejednen z was chciałby już dowiedzieć się o finale mojej znajomości z Tarantellą, ale przyjdzie na to czas — próbuję przecież wszystkie wydarzenia ułożyć w jakimś chronologicznym porządku i w tym celu muszę pozostać przy tych faktach, które łączą się z planowanym zamachem na pułkownika Hoffmeyera, Wszystko to ma pewien logiczny związek z sobą, choć wciąż jeszcze wydaje się, że są to oddzielne przypadki, zupełnie niemające żadnego wpływu na dalszy bieg wydarzeń. A tymczasem każdy z tych przypadków stanowił konkretną część maszyny zaplanowanej i poruszanej przez Nemezis — jeśli chcielibyśmy posługiwać się klasycznymi symbolami i udać, że wierzymy w przeznaczenie. Jest to zresztą wiara bardzo wygodna i tłumaczy każdą głupotę popełnioną kiedykolwiek przez kogoś z nas. Zdradzę wam na ucho, że ja nie wierzę w przeznaczenie i dlatego w mojej opinii czyn nierozsądny będzie zawsze obwiniał jego autora i sprawcę, a nie tak zwany „ślepy los”. Rymsha od początku, od momentu powierzenia swego życia fanaberiom Spalattiego i jego grupy, brnął coraz głębiej w bagno młodzieńczej głupoty. Zamiast gotować się do czynu w samym Wrocławiu, zamiast współdziałać przy tworzeniu chociażby polskiej legii akademickiej, która wystąpiła oficjalnie w dwa lata później na wrocławskim rynku ze sztandarem o barwach narodowych — on godził się na przygotowanie powstania w Europie, które zaplanował kolega Spalatti.

A może to ja nie mam racji? Może widzę nasze sprawy zbyt ciasno? Może rację mieli właśnie tacy jak on idealści? Osądźcie sami, gdy dojrnie do końca tej „spowiedzi dziecięcia wieku” — jak swoje wyznania nazwał kiedyś pan Alfred de Musset, słynny kochanek nie mniej słynnej George Sand.

A propos George Sand — szacunek Jeanette dla tej pisarki miał chyba podłoże w podziwieniu nie tyle dla talentu literackiego, ile odwagi w łamaniu przyjętych konwenansów. Tak zachowujących się młodych dziewcząt jak Jeanette wobec Rymszy znajduję — w czasie gdy to piszę — wiele, ale w czterdziestych latach dziewiętnastego stulecia było to zachowanie wymagające na pewno charakteru. Samodzielność młodej kobiety w tej epoce była zawsze ryzykiem graniczącym z katastrofą. Na ziemiach polskich takie śmiałe, młode kobiety jednoczyły się w ruchu „entuzjastek”, którym duchowo przewodziła pani Narcyza Żmichowska, używająca pseudonimu „Gabryella”. Żmichowska kształciła się w Instytucie Guwernanek, a następnie przebywała wraz ze swymi chlebodawcami, Zamoyskimi, w Paryżu. Tam naczytała się sporo książek francuskich myślicieli radykalnych i z ich ideami zjechała do Wielkiego Księstwa Poznańskiego oraz do Królestwa. Gdy Rymsza dowiedział się później, że pannę Jeanette do pani Brochwiczowej protegowała pani Woykowska, żona redaktora „Tygodnika Literackiego”, zaczął się zastanawiać, czy Jeanette nie była łącznikiem między Paryżem, Poznaniem a Warszawą właśnie między kołami „entuzjastów” i „entuzjastek”. Kiedy przyjmie się taką koncepcję, wydają się bardziej czytelne jej wypowiedzi o „przyjaznej duszy”, którą odnalazła w Rymszy i o „emisariuszach przemierzających wzdłuż i wszerz Europę — nierzadko z pistoletami w sakwożaczach”. Takim emisariuszem mogła być właśnie ona — Jeanette, a jej zatrzymanie na ko

morze celnej pod Kaliszem i zaangażowanie w charakterze guwernantki miałyby także swoje uzasadnienie. Niedawno udało mi się dostać książkę „Poganka” autorstwa Narcyzy Żmichowskiej, pisaną właśnie w tym czasie, gdy Rymsza przebywał w pensjonacie „Undine”, a Jeanette zaskakiwała go swoimi odkryciami. W utworze „Gabryelli” znalazłem taki passus — bohaterka powieści Aspazja mówi: „Ja kocham jak Bóg — zniszczeniem i tajemnicą. Szatan i Bóg, miłość i nienawiść, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności?” Takie wówczas myśli chodziły po głowach „entuzjastek” spod sztandaru Żmichowskiej, gotowych pewnie, podobnie jak Bractwo Tajnych Laborantów, wysadzić w powietrze świat, który zastały po swym narodzeniu w statecznych polskich domach. Sam nie wiem, dlaczego wyrażam się o nich tak sarkastycznie, skoro polubiłem je za to...

— On już jest — powiedziała nazajutrz po powrocie z wycieczki Jeanette, mijając Rymszę na schodach.

— Kto? — spytał Rymsza przystając.

— Jak to „kto”? Pułkownik Hoffmeyer.

Przy obiedzie Rymsza został przedstawiony oficerowi. Pułkownik był wymodelowany — jeśli w ogóle można użyć takiego określenia — bardziej na Blüchera niż Gneisenaua, i to Blüchera bez teatralnego gestu, którym obdarzył go rzeźbiarz, projektując pomnik na Placu Solnym we Wrocławiu. Właściciel fabryki w mundurze — tak go określali bliscy mu oficerowie. Traktował wojnę jak zadanie powierzone własnej manufakturze, które trzeba wykonać bez zarzutu. Stary teoretyk Clausewitz myślał podobnie o wojskowości. W wojnie — jak w handlu i przemyśle — trzeba wyeliminować z gry konkurenta. Zanim więc wyciągniesz szablę, spróbuj najpierw obrachować wszystkie „za” i wszystkie „przeciw”. Ernest von Hoffmeyer był właśnie takim oficerem który chyba z pedanterią godną kupca liczył kule i bochenki chleba przeznaczone dla żołnierzy, liczył żywych, zabitych i jeńców. Był wysoki,

szczupły, miał włosy dość krótko przystrzyżone, wąsy, nos prosty, masywny, brwi krzaczaste i bystre stalowe oczy, rzadko zdradzające uczucia. Może ich zresztą wiele nie było? Posługiwał się niekiedy monoklem, niedawnym wynalazkiem dla ludzi o osłabionym wzroku.

— Ach, to pan! — powitał Rymkę. — Pani Brochwiczowa mówiła mi właśnie o sympatycznym młodym człowieku, który towarzyszyć nam będzie przy stole. Pan długo w kurorcie?

— Chyba jeszcze tylko tydzień...

— Kąpiele?

— Nie rozumiem...

— No, czy pan bierze kąpiele?

— Nie. Po prostu odpoczywam.

— Aha...

W czasie obiadu obie panienki z przejęciem wspominały wycieczkę w góry, która w ich opowiadaniu urosła do rozmiarów wyprawy w głąb Afryki. Wciąż były pod wrażeniem noclegu w zajeździe, ulewy, mgły i norweskiego kościółka. Jeanette nie wtrącała się do rozmowy, chyba słusznie wnioskując, że w obecności pułkownika powinna pamiętać o swojej pozycji społecznej — guwernantki. Radca Steinmetz udawał, że opowiadanie obu panienek ogromnie go zaciekawia i wyrażał kilkakrotnie ubolewanie z powodu nieobecności w tak „niezwykłym wydarzeniu”. Mama Brochwiczowa była szczęśliwa i wodziła wzrokiem od córek do wujka Ernesta — co potwierdzało zarazem opiekuńcze znaczenie w życiu panien, a może istotnie dyskretnie zamierzenia matrymonialne wdowy.

Nagle pułkownik zaczął coś mówić o niepokojach na świecie i o tym, że ważne sprawy nie pozwoliły mu zjawić się na czas w Cieplicach. Mówił, że nauczka, jaką dostali zbuntowani tkacze, nie na wiele się im przydała i „wszystkich nas” czekać będą jeszcze „godziny próby”.

Rymsza wtrącił, że słyszał o, tym, jakoby pułkownik należał do tych, którzy radykalnymi środkami uspokoili zbuntowanych w Bielawie i Pieszycach i zaprowadzili tam porządek.

— Ach nie! — zaprzeczył oficer. — Zrobiono to już, zanim tam się zjawilem. Musiałem nawet interweniować, aby w karaniu nie posunięto się za daleko. Będą nam nadal potrzebni wykwalifikowani tkacze. Jeżeli na wojnie buntuje się jakiś oddział i odmawia wykonania rozkazu, to należy rozstrzelać co dziesiątego, ale nie wszystkich! Ci, których ominie wówczas kara, zapamiętają to na długo, może na całe życie, i nigdy już nie spróbują buntu. A tkacze to jakby żołnierze od warsztatów...

— Wówczas ich szefowie mieliby rangę oficerów... zażartował Rymsza, ale Prusak podniósł na niego wzrok znad talerza wcale nie rozbawiony. Przeciwnie, przytaknął, obserwując następnie reakcje studenta.

— Państwo w moim odczuciu — mówił — to mechanizm taki sam jak wojsko. Są tu szeregowcy, podoficerowie i jest kadra oficerska, którą formują wielcy kupcy i wielcy przemysłowcy. Majstrowie to sierżanci. A bunt jest zawsze tylko buntem. Najgroźniejsi są prowodyrzy — tych trzeba się pozbyć natychmiast.

— A jeżeli bunt rodzi się spontanicznie?

— Wówczas nie należy dopuścić do tego, żeby znaleźli się przywódcy. Bunt jest buntem — powtórzył.

— Nie było nigdy buntów udanych?

— Bunt to zniszczenie określonego porządku. Jeżeli w wyniku buntu rodzi się nowa rzeczywistość, wówczas trzeba się zastanowić, czy nie należy jej pomóc. Generał Bonaparte włączył się do rewolucji, kiedy rewolucyjny bunt już się kończył i rodził się nowy porządek. Jego umysł dowódcy akceptował nowy porządek. Gdyby był tylko buntownikiem, powieszono by go, a nie zesłano na Wyspę Świętej Heleny.

Główni buntownicy, którzy przewodzili rewolucji we Francji, wykończyli siebie nawzajem. Jeśli gilotyna nie ścięłaby im głów, Burbonowie posłaliby ich na szubienicę.

— Mówi się dziś o buncie przeciw porządkowi świata, a jeśli ten bunt się uda?

— Różne są hasła tego buntu, niekiedy nie wydaje mi się to buntem, niekiedy byłbym za tym, aby niektórych prowodyrów zawczasu zlikwidować. Mówię o nowym porządku, a nie o anarchii.

— A hasła zjednoczenia krajów niemieckich?

— To nie jest bunt. To konsekwencja historyczna. Może się dokonać tylko opierając się na Prusach, które od Wielkiego Fryderyka przewodzą rodzinie krajów niemieckich. Tak można to rozumieć, gdy na mityngach śpiewa się „Niemcy ponad wszystko”.

— Francję to może zaniepokoić.

— Od upadku Napoleona, Francja nie będzie nigdy już groźna dla Niemców.

— A Polska?

— To sprawa ostatecznie zamknięta. Polacy roztopią się w masie narodów niemieckich i rosyjskich. Jeżeli czegoś możemy żałować, to tego, co wspominali Clausewitz, a nawet Humboldt — Polska oddzielała imperium Rosji od Prus. Po upadku ich powstania i zajęciu Warszawy przez Paskiewicza Erywańskiego mamy Rosjan na granicy. Jest to sytuacja niedobra. Gdyby Polacy byli mądrzy, utrzymaliby swoje państwo za wszelką cenę, zjednując sobie Rosję i Prusy. Ale oni nigdy tego nie robili, w najcięższych chwilach zachowywali się tak, jakby byli wielkim mocarstwem europejskim. Nawet wówczas, gdy ich państwo wymazano z mapy. No i przegrali. Musieli przegrać. Sprawa polska jest zamknięta. Finis Poloniae! Polska to nie Italia — gdzie mają w gruncie rzeczy jednego przeciwnika zewnętrznego — Austrię, ale za to stu wrogów

wewnętrznych z papieżem włącznie. Risorgimento nie może doprowadzić do wyzwolenia Włoch, bo po całkowitym wyparciu Austriaków, Italczycy sami się pozabijają. A Polska? Polaków pilnują trzy największe potęgi Europy. Nie mają żadnych szans. Jeśli zbuntują się, nie będą mieli nawet dokąd uciec, gdzie się skryć. Żadnych szans... — powtórzył.

— A czy na coś się w Europie zanosi? — spytał naiwnie Rymsza. — Mimo zgody Prus, Austrii i Rosji, robi się jednak niespokojnie...

Pułkownik uśmiechnął się ironicznie.

— Wszędzie, gdzie mieszkają Słowianie lub Włosi zawsze na coś się zanosi. Sądzę jednak, że policja i armia pruska są na tyle sprawne, by na Śląsku, w Wielkim Księstwie Poznańskim i na Pomorzu, gdzie żywioł polski jest liczny, zdusić wszelki bunt w zarodku. To miałem na myśli, mówiąc, że wszystkich nas czekają w najbliższym czasie godziny próby. A Rosja i Austria? No cóż, to ich kłopot. Czemu pana to tak interesuje, młody człowieku?

— Wszystkich to obecnie interesuje, a mój rodzinny dom stoi przecież w Laibach. Tam żywioł słowiański jest bardzo liczny, choć rządzą nami Austriacy. Republika Illyria nie ma widoków na rozwój w obecnych warunkach.

— Macie jeszcze nadzieję na samodzielność?

— Mamy... — odpowiedział wolno Rymsza, patrząc prosto w oczy oficerowi.

— Gdyby panowały tam Prusy, moglibyście spokojnie pogrzebać wasze nadzieje. To czeka i Polaków. Tu, na Śląsku, również.

— Słyszałem, że Węgrzy... — zaczął jeszcze Rymsza, ale pułkownik mu przerwał.

— Węgrzy nadają się do gry na skrzypcach, a nie do wojowania. Nie wierzę w powstanie na Węgrzech... To, czego

się można spodziewać, to ostre działania represyjne, które mogą okazać się koniecznością w obliczu panujących nastrojów. Oto i wszystko. Radzę panu, jako akademikowi, trzymać się z dala od tego wrzenia, które ogarnęło uniwersytety w ostatnim czasie, i radzę wierzyć w niezachwianą potęgę Prus.

Takie więc były poglądy pułkownika Hoffmeyera, które ujawnił w pierwszej rozmowie przy obiedzie w pensjonacie „Undine” w poniedziałek. Mój Boże — rozumował w godzinę później Rymsza, chodząc od ściany do ściany w swoim pokoju — do soboty powinienem go zastrzelić — ale w gruncie rzeczy za co? Za jego poglądy? Za mundur, który nosi? Za dystynkcje pułkownika? Za wiarę w Clausewitza i w potęgę Prus? Bo — zdaje się — nie za udział w masakrze tkaczy śląskich...

Po południu obserwował, jak pani Brochwiczowa wybiera się na spacer w towarzystwie obu córek i „wujka Ernesta”, czyli pułkownika von Hoffmeyera. Jeanette z nimi nie było, dostała więc „wolne”. Spróbował odnaleźć ją w pokoju i zastukał delikatnie do jej drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Tymczasem próby skontaktowania się z Jeanette zaobserwowała pokojówka Roza, która dygnęła grzecznie przed nim, posyłając mu dwuznaczne spojrzenie. Dawała mu może do zrozumienia, że „wie” o romansie panny Jeanette i pana Floriana von Lipsky'ego...

Jak zabić Hoffmeyera? Oczywiście — na spacerze, z dala od pensjonatu „Undine”. Potem ostentacyjnie uczestniczyć we wszystkich czynnościach związanych z pogrzebem, opiekować się panią Brochwiczowa i jej córkami, nawet przedłużyć pobyt w kurorcie, jeśli zajdzie potrzeba. A następnie pożegnać się i zniknąć. A jak ma się odbyć zabójstwo? Ot, po prostu — podejdzie do pułkownika od tyłu i strzeli mu w

plecy. Albo nie, bo to by było nikczemne — zawoła go, żeby mord nie był skrytobójczy. Zawoła go i gdy pułkownik obejrzy się — należy strzelić. Gdzie? No — w serce... A jeżeli trafi w ramię, a pułkownik będzie żył? To go dobić. Czym? Sztyltem!... Skąd wziąć sztylet? Trzeba go kupić w składach zaopatrujących wędrowców górskich w sprzęt do penetrowania gór. Jak to — „dobić go”?

I powoli, powoli Rymsha zaczął uświadamiać sobie, że jeżeli bez namysłu gotów byłby iść do ataku na pozycje wroga, takie zabójstwo z zasadzki, zabójstwo dla zabójstwa, z całym cynicznym prologiem i epilogiem — jest właściwie niemożliwe. Potem dochodził po raz setny do wniosku, że odwrotu nie ma, że musi to wykonać i wracał do początku rozważań. Więc jutro, we wtorek, od rana zacznie obserwować pułkownika. Musi być pewny, czy oficer wychodzi rano na spacer i którądy chodzi. Musi ustalić godzinę, spenetrować okolice. Gdzie się zaczai, gdzie dokona zamachu, którądy ucieknie, jak spreparuje alibi — najlepiej, żeby znajdował się w tym czasie daleko od miejsca zbrodni. Może w pijalni wód? Powinien więc tam pójść raniutko, na chwilę pokazać się i zniknąć. Później, po dokonaniu zabójstwa, wrócić i udawać, że był tam stale. Policja w to uwierzy? A co zrobić z bronią? Ukryć, a może po prostu wyrzucić?

Z całą pewnością był potencjalnym przeciwnikiem pułkownika Hoffmeyera, ale to jeszcze nie znaczyło, że może mu strzelić w plecy w każdej chwili, tylko dlatego że tak wymyślił to Spalatti.

Kolację zjadł w towarzystwie urzędnika z Berlina, radcy Steinmetza — pułkownik zaprosił panią Brochwiczową z córkami i Jeanette na wieczór do Jeleniej Góry.

Nie mógł zasnąć.

Leżał długo w noc z otwartymi szeroko oczami. Była to po-
goń myśli, z której nic konkretnego nie wynikało. A może wnio-
sek był jeden — nie nadawał się na karbonariusza. Nie miał tej
wiary, którą mają członkowie sprzysiężenia, z pieśnią idący na
śmierć za sprawę. A może i on by poszedł z pieśnią na śmierć,
tylko musiałby wiedzieć dokładnie, jakiej sprawie służyć ma
zastrzelenie pułkownika pruskiego, który nawet w pogromie
tkaczy nie brał bezpośredniego udziału — „zrobiono to już za-
nim tam się zjawilem, musiałem nawet interweniować, aby w
karaniu nie posunięto się za daleko”. To były jego słowa.

Około północy usłyszał delikatne pukanie do drzwi.
Wstał z łóżka i odkręcił klucz. Do pokoju wsunęła się postać
w bieli — Jeanette, w samej koszuli i narzuconym na ramio-
na szlafroku! Zapewne wstała z łóżka, kiedy już wszyscy
spali. Na dworze była jasna noc, kotary odsunięte, a wzrok
przyzwyczajony do ciemności. Widzieli siebie doskonale w
tej poświacie.

— Nie zapalaj świecy... — szepnęła Jeanette.

Trzęsła się — może z zimna, a może z przejęcia. Postępo-
wanie jej, jak na pensjonat „Undine”, było dość ryzykowne.

— Wejdz do mojego łóżka — poradził jej Rymsha, nic
zdroźnego nie mając na myśli, ale gdy dziewczyna wsunęła
się pod pierzynę, uświadomił sobie, że tej nocy dzieją się w
jego życiu ważne wydarzenia.

— Chodź, bo także zmarzniesz — Jeanette pociągnęła go
za rękę. — No chodź! Mam ci coś ważnego do powiedzenia.
Ale z tą rozmową jakby oboje przestali się spieszyć, skoro
znaleźli się razem w łóżku. On poczuł jej ciepło, dotknął jej
ciała, poczuł wilgoć warg na swoich i nagle to, o czym marzył
w konspiracji, dokonało się bez barykad i bomb — świat obró-
cił się do góry nogami, przestały być ważne hasła i „burszen-
szafty”, karbonariusze i, rewolucjoniści. Miał już zapewne
dzięki pani Zofii von Oppitz — trochę wiedzy o tym,

co powinien czynić chłopiec, który znajdzie się nocą w łóżku ze spragnioną miłością dziewczyną, a okazał się w tej dziedzinie pojętym uczniem. Przestało im być chłodno i wkrótce zrzucili z siebie ciężar pensjonatowej pierzyny, na podłogę poszły inne fatalaszki. Jeanette z całą premedytacją pozbyła się spinek i załała mu twarz falą włosów. Prześcigali się nawzajem w pieszczotach, które wydawały im się naturalne i wynikały z radości tego spotkania, a nie z perwersji.

Około drugiej w nocy Jeanette szepnęła, że musi już iść, ktoś może bowiem zauważyć jej nieobecność w pokoju. Nie chciał jej puścić, ale inicjatywa należała od początku do niej. Kiedy ubrała się już w koszulę i narzuciła na ramiona szlafrok, powiedziała mu wreszcie, co chciała przekazać. Pani Brochwiczowa rozmawiała o nim z pułkownikiem. Jej opinia była przychylna, uważała go za „chłopca układnego z dobrego domu, choć trochę prostackiego w obejściu”. Ponieważ zwrócił uwagę na Anię, dobrze by było — mówiła — gdyby pułkownik dowiedział się, co to za dom — ci „von Lipsky” z Illyrii. Oficer odpowiedział, że sprawdzenie tego nie będzie przedstawiało większych trudności.

— Obawiam się, jeżeli pułkownik spyta o ciebie na policji, przez kilka dni będą cię obserwować. Nie wiem, komu służysz i jaki masz cel przybywając tu, do Cieplic, ale pilnuj się! Jeżeli zaplanowałeś jakieś tajne spotkanie, to odłóż je — możesz kogoś narazić, albo spowodować podejrzenie w stosunku do swojej osoby. I uważaj na to, co mówisz do pułkownika. On, wydaje się, jest z takich, którzy szanują cudze poglądy, ale szacunek ten nie wstrzyma ich przed wysłaniem takiego osobnika o innych poglądach do więzienia. Pozbądź się broni i sztambucha. Wyrzuć wszystkie notatki i adresy. Przede wszystkim adresy.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Skąd wiesz, jak się zachować w takiej sytuacji, Jeanette?...

— Jedziemy na jednym wozie, Florianie. Albo na dwóch różnych wozach, ale w tej samej karawanie. Mówiłam ci już, że takich jak my pełne dziś drogi Europy. Chyba nie myślałeś nigdy, że na opiece nad córkami pani Brochwiczowej zamyka się horyzont mojego świata?

— Nie, ale...

— Już nic więcej nie mów! Uciekam!

— Kiedy przyjdiesz?

— Może jutro? To nie takie proste...

I odeszła, a Rymsza nagle pozbawiony jakby brzemienia wszystkich problemów — usnął. Śniadanie zjadł późno, wyszedł jeszcze później i nic dziwnego, że spotkał pułkownika wracającego już ze spaceru. Przywitał się grzecznie i próbował nawiązać rozmowę, ale pułkownik nie zdradzał na to ochoty. Zresztą spieszył się — tego przedpołudnia wziął powóz i odwiedził miejscową policję w Jeleniej Górze. Rymsza wybrał się natomiast na daleki spacer, źle obliczył czas i kiedy wrócił, było już po obiedzie.

— Pytał się o pana jakiś młody człowiek — poinformowała go pokojówka Roza.

— Młody człowiek?

— Wyglądał na akademika...

Z początku Rymsza przypuszczał, że to byłem ja, później, że Zagórski, aż wreszcie przypomniał sobie, że w czasie gdy on przebywał w pensjonacie, w Jeleniej Górze mieli „biwakować” konspiratorzy „rezerwowi” — obaj Saksończycy. Tyle że mieli się nie ujawniać — to w razie potrzeby on miał ich znaleźć. Jeśli szukał go jeden z nich, znaczyło chyba, że coś się stało. Postanowił po południu zostać w domu. Dobrze zrobił, bo około piątej zjawiał się jeden z Saksończyków — Willi.

- Coś się stało? — spytał Rymsza, prosząc go, by usiadł.
- Sprawa polega na tym, że nic się nie stało. Mija drugi tydzień, siedzimy i czytamy gazety, pragnąc dowiedzieć się z nich o zabójstwie pułkownika Hoffmeyera, a tymczasem — nic.
- Jeśli nic się nie dzieje, powinniście być w Jeleniej Górze i siedzieć cicho.
- Mamy już dość siedzenia cicho!
- Takie było polecenie Spalattiego.
- Poleciał pomóc ci, gdybyś miał trudności lub gdybyś stchórzył.
- Tak wam powiedział?
- Dokładnie właśnie tak. Chciałem sprawdzić, czy masz trudności lub... — zająknął się.
- „lub czy stchórzyłem”... Tak?
- Właśnie tak!
- Pułkownik Hoffmeyer przyjechał wczoraj, cały tydzień zmarnowałem na czekanie.
- Nie zmarnuj drugiego tygodnia — powiedział ostro Willi i zabrzmiało to impertynencko. — Kiedy go zabijesz?
- Nie wiem. Zabicie człowieka to nie wypicie piwa.
- Dajemy ci czas do czwartku. Jeśli tego nie uczynisz, w piątek w porze obiadowej, dokładnie o wpół do drugiej, pensjonat „Undine” wyleci w powietrze.
- Nie rozumiem! Tego w planie nie było...
- Było, tylko że Spalatti o tym cię nie powiadomił. Ja i Bruno mamy cię ubezpieczać, to znaczy jeżeli do czwartku, albo lepiej, do piątku godziny dwunastej w południe nie wykonasz polecenia Bractwa, mamy wejść do akcji.
- Co to znaczy?
- Jeżeli stchórzyłeś, zginiesz razem z pułkownikiem.
- Powariowaliście?!

- Nie, to polecenie Spalattiego.
- Gdzie on teraz jest?
- Zapewne w Italii. Zobaczymy się z nim po wakacjach. Ale polecenie mamy konkretne — pomóc ci, jeżeli znajdziesz się w kłopotach. Wykonać za ciebie rozkaz, jeżeli coś ci przeszkodzi. Ale jeśli stchórzysz — zabijemy cię. I Hoffmeyera także. Termin jest do czwartku, a my wejdziemy do akcji w piątek. W sobotę Spalatti wysłał listy otwarte do rządów Prus i Austrii w imieniu Bractwa Tajnych Laborantów.
- Powiadomicie Spalattiego o zamachu? Znacie więc jego adres...
- Dowie się o tym z gazet. Ale to nie ma znaczenia, Hoffmeyer do soboty nie będzie już żył. Ty go zabijesz albo my.
- Jak chcielibyście go zabić?
- Wyleci w powietrze cały pensjonat „Undine” razem z Hoffmeyerem, z tobą, z obsługą i gośćmi.
- Ależ to morderstwo!
- Każda wojna to morderstwo.
- Zabijanie ma zwalczać zabijanie? Ależ to obłąd!
- Takie są zasady. Znałeś je, kiedy wstępowałeś do Bractwa. Więc jak? Wykonasz polecenie Bractwa?
- Niepotrzebnie tu przychodziłeś. Mógł cię ktoś widzieć.
- Nikt mnie tu nie zna.
- Jeśli mnie śledzą, zaczną śledzić i was.
- A śledzą cię?
- Obawiam się, że coś węższą. Hoffmeyer także mi nie ufa.
- Poznałeś go?
- Jadam z nim obiady.
- Więc czym prędzej zabij go. Inaczej podłożymy bombę pod „Undine” i w piątek cały pensjonat wyleci w powietrze.

— Jest tu mnóstwo ludzi niemających nic wspólnego z aktualną sytuacją w Europie, z polityką...

— Każdy, ktokolwiek żyje dziś w Europie, ma wiele wspólnego z tą sytuacją. Wybuch bomby będzie sygnałem działań. Wszędzie się rozpocznie.

— Ogólnoeuropejskie powstanie jako skutek wysadzenia w powietrze pensjonatu w śląskim kurorcie? Przecież to mrzonki! Idiotyzm!...

— Nie przyszedłem dyskutować. Wykonasz polecenie?

— Co mogę odpowiedzieć, jeśli nie wolno mi dyskutować? Chyba zastrzelę go.

— Chyba? Jeśli boisz się, powiedz to od razu. My jesteśmy nieustraszeni — dopowiedział buńczucznie, jak na scenie teatru.

— Przecież on nawet nie brał udziału w pogromie tkaczy!

— To co z tego? Reprezentuje tyranię. To wystarczy, żeby go zabić.

— Dla symbolu?

— Dla symbolu również. Nie ma co dyskutować nad tym, czy wybór pułkownika jest właściwy lub nie. Wyrok został wydany, a ty wyciągnąłeś czarną kulkę.

— Skąd weźmiecie bombę, jeśli nie wykonam rozkazu?

— Już ją mamy.

— A jeśli Hoffmeyer coś wywęszy?

— Jeśli mu nic nie powiesz, nie wywęszy. Trzeba go zabić i wykonać to jak najszybciej. Jeśli nie jutro, zabij go następnego dnia, w czwartek. To twoja ostatnia szansa.

— W pensjonacie są kobiety i dzieci...

— To naprawdę nic nas nie obchodzi. Przeciwnie, nada temu zamachowi większy rozgłos i nada mu większą skuteczność polityczną.

— Wiem, że na terenie Śląska i Poznańskiego działają tajne zgromadzenia Polaków i przygotowują powstanie. Ta bomba pokrzyżowałaby ich plany.

— A cóż nas obchodzi Polska? My pragniemy przekształcić świat!

— Mnie obchodzi. Sam jestem Polakiem...

Saksończyk wstał.

— No cóż, to ja już pójdę...

— Powiedz twemu kumpłowi, żeby nie mieszał mi w moich sprawach. Ja jestem odpowiedzialny za Hoffmeyera.

— Tylko do czwartku. W piątek włączamy się my, jeśli będziesz jeszcze żył, bo Hoffmeyera nie przeżyjesz, nawet gdy odstąpisz od wykonania wyroku.

Rymsza także podniósł się z fotela.

— Zabiję pułkownika, ale nie prędzej jak w czwartek. Muszę jeszcze zaobserwować jego zwyczaje, przyjrzeć się, dokąd chodzi na spacer, o której godzinie...

— Czekamy do czwartku — odpowiedział Saksończyk. Chłodno skłonił się Rymszy i wyszedł.

— Głuptak! — rzucił za nim mój przyjaciel.

Ale tej nocy, gdy przyszła do niego Jeanette, powierzył jej swój sztambuch i dał mój adres. Postępował nierozsądnie kierując się intuicją, a nie rozumem. W gruncie rzeczy nic o tej pannie nie wiedział. Przypadek zrządził, że nie zawiódł się na Jeanette, a powierzenie jej sztambucha okazało się rozsądne, podobnie jak przekazanie jej mojego adresu do domu pani Kluge. Ale to był przypadek, a nie mądrość. Szkoda, że nie dał jej również swojego wspaniałego pistoletu. Szkoda, że w ogóle tej nocy nie postanowił uciec z nią, skreślając ze wspomnień całe Bractwo Tajnych Laborantów.

Ale to nie byłoby w stylu mojego serdecznego bohatera.

W łóżku człowiek zdradza wiele spraw, o których nie mówiłby w innych okolicznościach. Zwierzył się więc dziewczynie, że musi kogoś zabić, że później ucieknie i poszuka jej za kilka miesięcy u pani Brochwiczowej. Chyba nie wierzyła w to „szukanie jej za kilka miesięcy”. Znała takich jak on. Nigdy nie wracali. Czasami dowiadywała się ponownie o ich losie z kronik sądowych. Wiedziała ponadto coś, czego nie wiedział on — że nie uda mu się prowadzić życia pilnego studenta i równocześnie zamachowca. Jeśli zabije — nie będzie już tym samym co dawniej. Co innego, gdyby zabił w ataku, w obronie własnej, w obronie ukochanej osoby, w obronie kraju — choć i to nie pozostałoby bez śladu...

— Wiesz coś o tym człowieku, którego masz zabić? — spytała.

— Niewiele.

— A twoim zdaniem — zasługuje na śmierć?

— Należy do wrogów.

— To za mało. Zrobił coś złego?

— No... chyba ogólnie rzecz traktując — tak.

— A ufasz tym, którzy dali ci ten rozkaz?

— Nie...

— Więc czemu zabijasz? Boisz się ich zemsty, jeśli nie wykonasz polecenia?

— Nie... Chodzi o to, że powiedzą: „Był tam jeden taki... Polak... ale stchórzył”.

— Florian, to za mało, żeby zabijać. Ale czyń, jak uważasz. Ja też wykonuję różne rzeczy, których nie rozumiem. Liczę, że w tym roku wiele się jeszcze wyjaśni.

— Liczysz na powstanie?

— Tak, ale wiele w tym utopii. Niektórzy wierzą w to, że wystarczy podnieść bunt, aby obudziły się serca we wszystkich

trzech zaborach i żeby poparły nasze powstanie wszystkie ludy Europy.

— Nie będzie tak?

— Nie chcę prorokować. Nie mam ogólnego spojrzenia. Wykonuję polecenia na najniższych szczeblach drabiny, na której stoją ludzie przygotowujący powstanie.

— Doradzisz mi coś?

— Tylko jedno — nie bądź ślepym narzędziem. Rozkazy wykonuj, ale myśl. Wokół nas jest wielu oszustów. A teraz już nic nie mów...

Następnego dnia próbował obserwować pułkownika, przy obiedzie był uprzejmy, grzeczny, unikał tematów kontrowersyjnych, chociaż pułkownik próbował wciągnąć go w dyskusję. Do rozmowy włączył się radca Steinmetz, ale cóż to mogła być za dyskusja, skoro generalnie obaj panowie zgadzali się ze sobą, a Steinmetz miał w dodatku poddańczą duszę i uznawał rację silniejszego, wyznawał ponadto kult mundurów i orderów, czytywał Clausewitza i godził się z Hoffmeyerem, że Austria jest nieudolna, a Słowianie i Węgrzy już nie są groźni... Rymsza dyskretnie dawał do zrozumienia towarzystwu, że podoba mu się zarówno Ania, jak i Kazimiera, a jego plany matrymonialne są jeszcze niesprecyzowane. Wywarło to pozytywne wrażenie na pani Brochwiczowej.

Niewątpliwie — pułkownika Hoffmeyera należało zabić w czwartek na porannym spacerze. Znalazł nawet miejsce, gdzie powinno to nastąpić, i drzewo, za którym się ukryje. Nie strzeli w plecy — zawoła oficera, wezwie do zatrzymania się i wypowie formułkę, że zabija go z wyroku Bractwa Tajnych Laborantów. Nazwa wydała mu się nagle mało poważna. To tak, jakby ukazał się Hoffmeyerowi w przebraniu pajaca. No więc — może nie mówić z czyjego wyroku, tylko że „z wyroku”, lecz to było także niekonsekwencją. „A to za tkaczy

ślaskich” — brzmiałoby lepiej, ale może właśnie byli tacy tkacze, którzy pułkownikowi zawdzięczali życie? Nie, nie powie nic — zawoła go, wezwie do zatrzymania i strzeli! W samo serce!... Miejsce położenia serca badał długo na własnej piersi, aby nie chybić. Strzeli więc w serce i zbiegnie. Co potem? Nie wiedział. Wolał nie wiedzieć. Dalej była noc. Dalej nie było już nic. „Nic prócz honoru” — odpowiedział sobie, co jednak go nie usatysfakcjonowało.

Tej nocy Jeanette nie przyszła do niego.

Rano w czwartek ogolił się, zjadł śniadanie, opatrzył broń, wszystkie rzeczy pozostawił w pokoju, aby nikt nie odkrył zamiaru ucieczki. Potem poszedł na upatrzone miejsce, oczekując pułkownika.

Ale pułkownik nie nadszedł.

Po trzech godzinach wrócił do pensjonatu, gdzie dowiedział się, że Hoffmeyer, pani Brochwiczowa, obie córki i guwernantka — wyjechali w góry i zanocują w zajeździe. W swoim pokoju znalazł kartkę: „Masz czas do północy. Jutro się nie liczy”. Zapytał Rozę, czy ktoś go szukał? Nikt. Ktoś tu był? Tylko kominiarze, którzy z polecenia grafa Schaffgot-scha badają przewody kominowe w każdym domu w całym kurorcie, aby zabezpieczyć przed pożarem. Badają szczegółowo — od piwnic do dachu...

A więc tak — to byli obaj Saksończycy — Willi i Bruno. Przebrani za kominiarzy — cóż, epoka lubiła takie maskarady. Przygotowali więc bombę, przynieśli, dobrze ją ukryli w pensjonacie — teraz wystarczy wrócić i podpalić lont. Głupi chłopcy, nawet nie sprawdzili, czy pułkownik jest czy go nie ma. Nie wiedzą, że Rymsza nie był w stanie zabić oficera, a jutro całe towarzystwo zjedzie zapewne dopiero na obiad — właśnie wówczas, kiedy wybuchnie bomba. Rymsza był gotów zostać i zginąć w sali jadalnej — śmierć rozwiązuje zawsze tyle spraw pozornie niemożliwych do rozstrzygnięcia?

Ale wziąć na siebie, na swoją odpowiedzialność — śmierć Jeanette, Ani, Kazimiery, pani Brochwiczowej, pani Skolson, Rozy i tylu, tylu pensjonariuszy „Undine”? Nie wiedział przecież nic o sile ładunku, który przygotowali Willi i Bruno, a wyobrażenia podszeptowała mu siłę ogromną.

Pojechał do Jeleniej Góry, chcąc odnaleźć kwaterę Saksończyków. Adres znał dobrze — przekazał mu go przecież Spalatti na pamiętnym zebraniu, ale adres; okazał się fikcyjny, nie było nawet takiej ulicy, jaką podał mu Włoch. Wówczas zaczął podejrzewać, że nie wierzono mu od początku, albo jeszcze gorzej — miał zabić pułkownika, ale obaj Saksończycy mieli zabić następnie jego. Ciekawe, kto miał zabić Saksończyków? A może z całej trzynastki ocalałby tylko Spalatti? Zdarzały się już przecież takie zamachy. Wrócił do pensjonatu, poszedł wprost do właścicielki „Undine” i wyznał jej, że powziął pewne podejrzenie w stosunku do kominiarzy. Fakt ten zdziwił i zaniepokoił panią Skolson. Obiecała, że poprosi go, jak tylko przyjdzie któryś z kominiarzy. Jej niepokój wzrósł, gdy wkrótce po wizycie Rymszy, zjawiono się u niej dwóch funkcjonariuszy tajnej pruskiej policji.

— Szanowna pani nie zauważyła nic podejrzanego ostatnio?

— Ja nie... ale jeden z moich gości, pan Florian von Lipsky, poinformował mnie, że żywi pewne podejrzenia w stosunku do dwóch kominiarzy, którzy z polecenia samego pana grafa von Schaffgotscha sprawdzali przewody kominiarowe. Twierdził, że podejrzewa kominiarzy o kradzież. Jego zdaniem, jeśli coś ukradli, pozostawili to gdzieś w ukryciu, na poddaszu lub w piwnicy. Nie zawiadamiam policji, bo chcę uniknąć skandalu...

— Może pani być spokojna, jeżeli będziemy interweniować, nikt z pani gości tego nie zauważy.—

Tajniacy byli uprzejmi, co na pewno nie przychodziło im łatwo. Nie informowali pani Skolson o tym, o czym już wiedzieli, aby nie wszczynać paniki.

— Pan von Lipsky prosił mnie, abym wezwała go, jeśli ktokolwiek się zjawi, i nikogo nie wpuszczala ani do piwnicy, ani na strych bez jego wiedzy. Co mam czynić?

— Niech pani dostosuje się do jego życzeń, ale pozwoli pani, że my będziemy także w pobliżu. I to nas przede wszystkim powinna pani zawiadomić, jeśli ktoś obcy przyjdzie do pensjonatu.

— Pan von Lipsky powiedział, że dziękuje za obiad, źle się czuje, będzie przebywać w ogrodzie.

— My tam również będziemy, łaskawa pani, ale postaramy się, aby nikt nas nie zauważył.

— A kominiarze, których graf von Schaffgotsch wysłał do mnie?

— Tu należy się sprostowanie, łaskawa pani. Graf von Schaffgotsch nie wysłał żadnych kominiarzy do sprawdzania przewodów kominowych.

— Więc to byli złodzieje?!

— Jeszcze gorzej, łaskawa pani. Jeszcze gorzej. To karbonariusze albo ktoś, kto podszył się pod imię karbonariuszy. Nie ma się jednak czego obawiać.

— A pan von Lipsky?...

— To także żaden von Lipsky... Ale wkrótce wszystko się wyjaśni.

Zamierzał spenetrować poddasze i piwnicę, ale mimo że wymyślił możliwie wiarygodne bajeczki, gospodyni nie wyraziła na to zgody. Uzyskał to przynajmniej — myślał — że zwrócił uwagę pani Skolson na fałszywych kominiarzy. Znalazł natomiast lont, którego koniec wyprowadzono okienkiem piwnicy wychodzącym na ogródek. Lont mógł być podwójny, ale ten wydawał się „najpraktyczniejszy” —

zapalenie go od strony ogródka nie zwróciłoby niczyjej uwagi. Poszedł potem do swojego pokoju i narzucił na ramiona pelerynę pod którą ukrył pistolet. Następnie wrócił do ogródka i siadł na ławeczce, mając na widoku otwarte okienko do piwnicy i wystający z okienka koniec lontu. Przechodząc przykłęknął i przyjrzał mu się dokładnie — chyba nawet żar z cygara mógł spowodować zapalenie. Postanowił nie dopuścić do tego, nawet wówczas gdyby musiał użyć broni, ale znając obu Saksończyków, liczył na to, że zagrożenie im pistoletem, spowoduje rejteradę. A jeśli nie odstąpią — to strzeli. Do wewnętrznej kieszeni w pelerynie włożył wszystko, co potrzebne do ponownego nabicia pistoletu, ale gdyby po powaleniu pierwszego z zamachowców doszło do walki wręcz z drugim, miał zamiar użyć kolby pistoletu jak maczugi.

Wszystko to tak bardzo powtarzało znane sytuacje z powieści awanturniczych, że nie wydawało się już rzeczywistością.

Siedząc w ogrodzie, Rymsha nie mógł widzieć ani słyszeć tego, co w tym czasie działo się od frontu pensjonatu, nie widział więc powrotu pani Brochwiczowej i jej córek oraz guwernantki Jeanette z wycieczki ani przyjazdu pułkownika w towarzystwie jakiegoś tęgiego mężczyzny „o przebiegłym spojrzeniu” — jak napisalby któryś z autorów modnych podówczas czarnych romansów. „Przebiegłe spojrzenie” mieli w tych książkach wszyscy przedstawiciele prawa, wszyscy inspektorzy i komisarze policji.

Dawno już przebrzmiał dźwięk gongu, którym madame Skolson zapraszała gości na obiad. Zbliżała się godzina wpół do drugiej. Rymsha, czując, że odgrywa rolę z jakiejś sztuki teatralnej, wciąż nie schodził z centralnego miejsca sceny. Mimo upału nie zdejmował również peleryny, ale w pewnym momencie odrzucił poły, wysuwając rękę uzbrojoną w pistolet.

I właśnie wówczas rozległ się czyjś okrzyk „Giń, zdrajco!”, a zaraz po okrzyku huknął strzał. Nawet skrytobójcy odgrywali wówczas swoje role w guście widowni teatralnej. Po cóż był ten okrzyk, gdy zaraz po nim miał paść śmiertelny strzał? Wystrzelona w kierunku Rymszy kula przeszła przez ramię i ugrzęzła w łopatce. Przypadek, może jakiś gwałtowny ruch — ocalił go od śmierci. Ale nie był już w stanie walczyć. Dostrzegł jeszcze na ścieżce postać z dymiącym pistoletem. Tak, nie miał złudzeń. Był to Bruno — drugi z Saksończyków, którzy mieli go osłaniać, a którzy zapragnęli go zabić. Potem na ścieżce zjawili się jacyś mężczyźni w pelerynach, chwycili Bruna za ręce i wyrwali mu z dłoni dymiący pistolet. A wreszcie ukazał się we własnej osobie pułkownik Hoffmeyer, za nim zaś pani Brochwiczowa, obie jej córki, Jeanette, pani Skolson i goście pensjonatu.

Rymsza chciał powiedzieć o lonce, który wciąż tkwił jak groźne memento w okienku piwnicy. Spróbował jeszcze ostatnim wysiłkiem wskazać na to fatalne miejsce, ale nagle zrobiło mu się czarno przed oczami i cały obraz stanął dęba — jak to bywa, gdy człowiek pada na ziemię głową naprzód.

I to był ostatni moment, który zamknął jego wrażenia z pensjonatu „Undine”.

9. Jeszcze jeden pistolet

W przewodzie kominowym pensjonatu „Undine” nie było żadnej bomby — wszyscy po trosze bawili się wówczas w wojnę, zanim zabawa nie przerodziła się w rzeczywistość. Dla obu żądnych przygód Saksończyków była to także wciąż zabawa w karbonariuszy. Twierdzili potem w sądzie, że chcieli Rymśkę tylko „nastraszyć”. Lont który z ogrodu przeciągnęli do piwnicy i doprowadzili do pustego przewodu kominowego, prowadził donikąd. Nie była to jednak zupełna prawda, bo w ich kwaterze w Jeleniej Górze policja znalazła laboratorium, w którym próbowali rzeczywiście skonstruować „straszną bombę”. Ale w tych praktykach nie wyszli poza sferę prób. Spalatti istotnie nie wierzył Rymśki i dozór nad nim (a nie osłonę — jak mówił na zebraniu w Szczawnie) powierzył dwu młodym zapaleńcom, którzy mieli wykonać wyrok podwójny — na pułkowniku i na Rymśki. Gdyby natomiast nie wykonali... — nie, zostawmy to, bo tragedia za bardzo trąci tu komedią.

Skąd policja dowiedziała się o zamachu? Ależ to proste — pułkownik Hoffmeyer, aby spełnić życzenie pani Brochwiczowej, spróbował uzyskać jakieś informacje o Florianie na policji. Nie omieszkał wspomnieć, że życzy sobie w tej sprawie dyskrecji. Tamci dyskrecję przetłumaczyli na „ściśle tajne” — jeszcze żadna policja na świecie nie umiała być dyskretna. Co najwyżej właśnie — tajna. Co mogła więc zrobić? Rozpoczęła natychmiast „inwigilację podejrzanego”. Czy można wymagać od jakiegoś agenta, aby doszedł do wniosku, że wykonywane

przez niego zlecenie dotyczyć ma tylko hipoteki ewentualnego narzeczonego panny Brochwiczówny? Tym tokiem rozmyślania podążając, nie można się dziwić, że wizyta jednego z Saksończyków — Willego — u Rymszy, została odnotowana. Potem sprawdzono obu Saksończyków i wówczas okazało się, że byli wcześniej karani za jakieś burdy — dlatego zresztą rodzice zmieniali im już dwa razy wyższe uczelnie, zanim umieszczono ich na wrocławskiej Alma Mater.

Źle to świadczy o policji miejscowej, że jej uwadze uszła przebieranka Saksończyków za kominiarzy. Ale w czwartek, kiedy lont do rzekomej bomby został już podłożony i kiedy Rymsza otrzymał ostatnie ostrzeżenie, policja zajrzała do kwatery zamachowców, znajdując laboratorium bombowe i jeden pistolet — w domu był bowiem tylko Willi. Pamiętamy, jaki był z niego dzielny konspirator, jak posądzał Rymszę o tchórzostwo. Na policji już przy wstępnym badaniu opowiedział o wszystkim — o Bractwie Tajnych Laborantów, o Spallattim i podał nazwiska wszystkich członków przysiężenia. Powiedział o Rymszy i jego fałszywym nazwisku „von Lipsky”, o zadaniu zamordowania pułkownika Hoffmeyera i o terminie rzekomego wybuchu bomby...

Na wolności pozostał jeszcze Bruno i tylko dlatego nie aresztowano również Rymszy — miał stanowić przynętę. Nie przewidziano sytuacji, że Rymsza czekać będzie na zamachowca, który przyjdzie zapalić lont, i że ów będzie chciał zastrzelić Rymszę, podejrzewając go o zdradę ich kwatery w Jeleniej Górze.

Rymsza ciężko raniony przez Bruna, znalazł się teraz w szpitalu pod nadzorem policji. Aresztowany Bruno potwierdził zeznania Willego. Bractwo Tajnych Laborantów zostało więc zdekonspirowane, każdego z chłopców spotkał później kontakt z policją, choć w sumie całość nie objawiła się jako

coś szczególnie groźnego. Ci, którzy mieszkali za granicą nie wrócili już do Wrocławia, po Spalattim ślad zaginęła, a głównymi i jedynymi obwinionymi okazali się obaj Saksończycy i Rymsza. Co do Rymszy — poczytano za fakt łagodzący, że nie wykonał polecenia Bractwa i nie tylko nie zabił pułkownika, ale nawet usiłował przeszkodzić rzekomemu zamachowi bombowemu, odnosząc poważną ranę, jednak Rymsza odmówił zeznań na temat Bractwa — co z kolei poważnie go obciążało.

Gdyby nie złe czasy, jakie nadchodziły, gdyby nie fala aresztowań, która nastąpiła wówczas na Śląsku, w Poznaniu i na Pomorzu, gdzie były nawet wyroki śmierci za samą działalność konspiracyjną, Rymszy uszłoby to może na sucho, może skończyłoby się nadzorem policyjnym. Ale właśnie w tym czasie nastąpił pogrom Związku Plebejuszy, którego centrala znajdowała się w Poznaniu, a agentury działały na całym Śląsku. Po nim nastąpił pogrom Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Aresztowania sięgnęły nawet zaborów austriackiego i rosyjskiego. Niespodziewanie wojska austriackie zajęły Rzeczpospolitą Krakowską, co miało skutek odwrotny od zaprogramowanego — wzrosły bowiem wszędzie sympatie propolskie. Wybuchło wreszcie powstanie krakowskie, w którym zginął „emisariusz wolności” Edward Dembowski, a jednocześnie w Galicji wybuchł krwawy bunt chłopów przeciwko panom, mistrzowsko wykorzystany przez agentów austriackich dla rozładowania nastrojów powstańczych.

Otrzymałem wtedy listy z domu, wzywające mnie do powrotu. Chyba bym się ociągał z wyjazdem — oznaczało to bowiem, przerwę w nauce i utratę roku na uniwersytecie — gdyby nie odwiedziła mnie w tym czasie w naszej stacji osobiście panna Jeanette. Podała się za moją kuzynkę, aby nie budzić podejrzeń gospodyni. I tak miałem szczęście, że

po całej sprawie Rymszy pani Kluge nie wypowiedziała mi mieszkania, choć podwyższyła opłatę. Może to był z jej strony gest przyjaźni, a może podejrzewała mnie również o spiskowanie i wołała „żyć dobrze z polskimi karbonariuszami” — czyli ze mną? Do Łęczyc wzywano mnie w związku z niepokojami, jakie ogarnęły dwory po rzezi galicyjskiej. Wahałem się jeszcze, czy jechać, kiedy właśnie zjawiała się Jeanette.

Była to osóbką energiczna, przeciętnej — moim zdaniem urody, bardzo inteligentna. Sądzę, że w jej powierzchowności, sposobie bycia, charakterze można było odkryć te wszystkie cechy, które charakteryzowały polskie młode kobiety, włączające się aktywnie w działania powstańcze tego okresu. Wydawało mi się, że ta aktywność odbierała im trochę kobiecości, ale może była to owa kobiecość Amazonek — oryginalna, ale wymagająca szczególnej akceptacji?

Pierwsza część rozmowy toczyła się w saloniku, z udziałem pani Kluge. Jeanette znałem dotąd ze słyszenia. Od razu zaakceptowałem jej grę „w charakterze mojej kuzynki”. Kiedy oboje z Jeanette zaczęliśmy coraz częściej wtrącać słowa i zwroty francuskie, pani Kluge dyskretnie zostawiła nas samych. Wówczas przeszliśmy na polski, niekiedy tylko, dla wygody mojej rozmówczynie, powracając do sformułowań francuskich.

— Tak sobie pana wyobrażałam — powiedziała w pewnej chwili Jeanette.

— Dużo opowiadał Florian o mnie? — zapytałem z ciekawości.

— Nie za wiele, bo nie było na to czasu. Zналиśmy się przecież bardzo krótko. Mimo to dostatecznie wiele, żeby nabrać do pana zaufania.

— Gdzie znajduje się obecnie Florian? Czy dalej w Kłodzku?

— Niestety, tak.

Nigdy tam nie byłem, ale twierdza miała złą sławę.

— Dostał dziesięć lat twierdzy, to pan zapewne wie. Z jego zdrowiem tylu lat może nie wytrzymać. Trzeba go ratować.

Florian Rymsza okazał się jedyną ofiarą Bractwa Tajnych Laborantów. Jak mi wiadomo, nawet Saksończycy wyszli z tego cało, w czym dopomogła pozycja ich rodziców. Skazanie Rymszy było zaskakujące, choć i tak niektórzy uważali, że wobec licznych kar śmierci i dożywocia — czym tak obficie szafowały pruskie sądy — można to było uznać za szczęście w nieszczęściu. Proces odbył się w twierdzy — nikogo z nas do sali nie wpuszczono.

— A pułkownik Hoffmeyer? — pytałem.

— To nikczemnik, moim zdaniem ludzkość niewiele by straciła, gdyby Florian go zastrzelił, ale zabijać w ten sposób nie wolno. Zbyt łatwo szafuje się dziś śmiercią. Rzeź galicyjska to ohyda, choć trzeba rozumieć jej przyczyny. Dembowski przestrzegał, że do tego dojdzie, jeśli szlachta nie opamięta się w swej zachłanności i egoizmie.

— Czytała pani notatnik Floriana? — spytałem, biorąc z jej rąk znany mi notes przyjaciela.

— Upoważnił mnie do tego, a poza tym szukałam tam wiadomości o panu, zanim tu wstąpiłam.

— I znalazła pani?

— Trochę. W związku z panem Florian wspominał jakieś postacie, jakby z romansu włoskiego, Tartarini, Tarantella... dobrze zapamiętałam?

— Tak.

— To rzeczywistość czy baśń?

— Czasem wydaje mi się, że to tylko sen. Zupełnie nie wiąże się z dniem dzisiejszym. Tarantella to tancerka na linie, somnambuliczka. Mieszkała we Wrocławiu pod opieką magnetyzera, cudownego skrzypka. A Tartarini był właścicielem cyrku.

— To rzeczywiście brzmi jak baśń lub romans. I pokochał pan Tarantellę?

— Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Chyba pokochałem wszystko razem — noc, gdy usłyszałem po raz pierwszy grę skrzypiec, wieczór, kiedy zobaczyłem twarz tancerki za szybą, potem obraz jej tańczącej...

— Rzeczywiście tańczyła na linie?

— Tak, ale trudno mi o tym opowiadać. Mówiłem już pani w mojej pamięci pozostało to jak obraz ze snu. Pokochałem sen o Tarantelli, a nie ją samą. Mam inną wyobraźnię niż Florian. Chyba również inne sny. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, ale różniliśmy się od siebie.

— Dlatego nie przysłał pan do Bractwa?

— Dlatego...

— Policja nie była tutaj?

— Nie. Nawet nie wzywano mnie na świadka. Policja ma za wiele kłopotów z innymi sprawami, z szukaniem członków Związku Plebejuszy czy poznańskich demokratów, by zajmować się takimi romantykami jak ja. Osiem wyroków śmierci — czy nie za wiele? I to kto? Mierosławski, Elżanowski, Ceynowa...

— Właśnie nazwisko Ceynowy pojawiło się podczas procesu i obciążało naszego przyjaciela. Florian znał Ceynowę, spotykał go w czasie wakacji. Policja zrobiła rewizję w domu rodzinnym Rymszy na Pomorzu — to dziwne, że nie zrobiła tutaj. Wszyscy byli jednak przekonani, że on już we Wrocławiu nie mieszka. Wiązano go tylko z Pomorzem, z jego rodzinnymi stronami pod Starogardem Gdańskim. To tam po

wybuchu powstania w Krakowie pan Ceynowa postanowił także ruszyć do powstania, licząc, że poprze je Europa...

— Ech, Europa!...

— Nie wierzy pan w Europę?

— Nie wierzę!

— Zobacz pan, Europa się „jeszcze ruszy...

— Jestem sceptykiem, ale gdy staną barykady, pójdę na barykady. To oczywiste.

— Jadę obecnie na Pomorze do rodziców Floriana. Zostawiam panu jego sztambuch, bo tak sobie życzył. Czy może są tu jakieś rzeczy Floriana?

— Są spakowane u pani Kluge. Trzeba jednak uregulować jego rachunki.

— Jestem upoważniona przez jego ojca, aby wszystko uregulować i zabrać rzeczy. Musimy zawieźć mu coś do twierdzy. Nie są tam najlepsze warunki do życia dla młodego człowieka.

— Jak się czuje?

— Nie pozwolili mi zobaczyć się z nim, nie byłam nawet na rozprawie, ale dowiedziałam się od lekarza, który go leczył, że ręką włada już dobrze i rany się zablizniły. Jak pan zapewne wie, kula przebiła mu mięsień w ramieniu i utkwiała w łopacie, nie czyniąc większego spustoszenia w ciele. Ale trzeba go ratować.

— Jak?

— Jeszcze nie mam żadnego planu, ale jeżeli plan taki powstanie, mogę liczyć na pomoc ze strony pana?

— Z całą pewnością.

— Gdzie pana szukać?

— W Łężycach... — powiedziałem jej, jak tam trafić.

— Wie pan, jak poznaliśmy się z Rymszą?

— W sumie bardzo niewiele.

— Byłam guwernantką córek pani Brochwiczowej, która

mieszkała w pensjonacie „Undine”, w tym samym, w którym mieszkał Florian...

— ... i w którym zatrzymał się pułkownik...

— Pułkownik von Hoffmeyer to wujek obu pańienek. Jest wdowcem, a jego żoną była siostra męża pani Brochwiczowej. Prawie rodzina.

— Bardzo to skomplikowane.

— Nie, nie tak bardzo...

— Wyobrażałam sobie, jak srogo potępiono tam Rymcę po wszystkich tych wydarzeniach.

— Może to dziwne, jestem dalej guwernantką u pani Brochwiczowej, a pułkownik Hoffmeyer przestał u niej bywać. Czasami zdarzają się sytuacje nieprzewidziane.

— Pani Brochwiczowa jest Niemką?

— Na Śląsku, w Poznańskim, na Pomorzu dzieją się dziwne rzeczy. Pani Brochwiczowa była rzeczywiście Niemką o polskim pochodzeniu, polskim nazwisku...

— Była?

— Tak. A teraz pomogła mi skontaktować się z lekarzem w twierdzy, opłaciła moją podróż do Kłodzka. Nie wydaje się panu to optymistyczne?...

— Chyba tak... Jak pani sądzi, uda się, wyciągnąć Florka z twierdzy? Znajdzie mnie pani w Łężycach... — powtórzyłam nie czekając na jej odpowiedź.

Panna Jeanette miała istotnie przybyć do mnie do Łężyc i zaproponować mi pomoc w uwolnieniu Rymczy, choć trzeba było jeszcze na taki dzień poczekać.

— Do tego czasu niech pan zaopatrzy się w pistolet, panie Julianie... Może się panu jeszcze przydać.

— W jakim celu?

— A choćby w celu zastrzelenia pułkownika Hoffmeyera — zażartowała.

Nie wiedziała, że od niedawna jestem już rzeczywiście posiadaczem takiej broni, może nieco mniejszych rozmiarów niż dawny pistolet Rymszy, Miał krótką lufę i przedstawiał typ broni rozbójników. Nie opodal zamka jakiś grawer wyrył napis „God save England” — „Boże chroń Anglię” — może więc rzeczywiście pistolet należał kiedyś do angielskiego pirata? Tymczasem wraz z kulami i prochem znajdował się w skrytce, którą przysposobili :my kiedyś razem z Rymszą dla jego pistoletu. Mój leżał więc spokojnie w ukryciu, ale wkrótce miałem go stamtąd wyjąć i powieźć do Łęczyc.

— Jak to się stało, że nie spotkałem pani dotąd?

— W gruncie rzeczy nie było okazji. Gdyby wpuszczono nas na rozprawę, byłaby to właśnie okazją. Z osób postronnych był tylko ojciec Floriana.

— A obaj Saksończycy?

— Tylko ich zeznania.

— A pułkownik von Hoffmeyer?

— Także nie, ale odczytano jego zeznanie. Bardzo krzywdzące Rymszę, któremu pan pułkownik zawdzięczał przecież życie.

— Wie pani — szukałem pomocy dla Rymszy u różnych osób na uczelni, Florian był tam lubiany, wrócono mu karierę, ale ostatecznie aresztowania przestraszyły wszystkich. Staralem się o widzenie z Rymszą, ale i tego nie udało mi się osiągnąć.

— Zobacz pan, ja coś wymyślę...

— Skąd takie przekonanie, że to się uda?

— Bo... go kocham — odpowiedziała Jeanette.

— I to wystarczy?

— Sądzę, że tak...

10. *Widma powracają*

Przerwałem studia i pozostałem w Łęczycach.

W pierwszych dniach czułem się jak powracający do Soplkowa sam Pan Tadeusz, ale dość szybko rzeczywistość przywróciła mi właściwą perspektywę. Łężyce nie były Soplkowem, dworek wydał mi się bardziej zniszczony niż przedtem. Przedtem — to była po prostu przeszłość. Żaden konkretny rok. Przywołałem nagle wspomnienie tego okresu, gdy żył jeszcze mój ojciec, kiedy dwór nazywano pałacem, a w rozmowach przy obiedzie wracał temat Powstania Listopadowego. Moja matka ostatnio chorowała, zresztą jak sięgnę pamięcią, zawsze „czuła się słabo” ale wówczas traktowaliśmy wszyscy te jej utyskiwania jako hipochondrię. Chciała zwrócić uwagę na siebie, stać się centralnym punktem zainteresowania całej rodziny. Oczekiwała stale współczucia ze względu na utratę majątku w Królestwie, ze względu na śmierć ojca, a wreszcie na chorobę. Ale przyzwyczajono się do tych wszystkich klęsk i chyba to uznanie za normalne przez rodzinę wszystkich upadków przynosiło mojej mamie największe cierpienia moralne — tyle że obecnie była już naprawdę chora. Babka trzymała się dzielnie duchowo, natomiast fizycznie stawała się powoli coraz bardziej niedołączna, podobnie jak dziadek. Mój starszy brat, Zenon, był już faktycznie zarządcą majątku, jeśli nie powiedzieć — gospodarzem. On zresztą miał być głównym spadkobiercą i na jego głowie pozostawała moja edukacja. Tymczasem jednak miałem mu — w miarę sił i umiejętności — pomagać w ratowaniu tego, co zostało z majątku. Nie znałem szczegółów, ale mówiono mi coś o

sprzedanym lesie, w stajniach było mniej koni, na polu mniej bydła, a w pałacu — czyli we dworze (bo jednak lepiej pozostać przy skromniejszym określeniu) — mniej służby, jedzenie skromniejsze, nie mówiono już o wyjazdach eto wód, odpadał z murów tynk, ściany pokoi straciły kolor, stiuki straszyły szczerbami, dach prezentował mozaikę łat. Życie ludzi, inwentarza, stan mebli i ścian — wszystko prezentowało ruinę. Żyło się tu bardziej przeszłością niż przyszłością, choć mój brat przy lada okazji zdradzał mi plany, „jak on to wszystko urządzi”. W zasadzie wiązały się one z sukcesją majątkową po śmierci babki i dziadka, a przecież oboje żyli, ale powoli przejmował wszystko w swoje ręce.

Punkt po punkcie zaczął te plany wprowadzać w czyn. Oto nastąpiło otwarcie salonu, w którym „straszyło”. Drzwi do salonu były dotychczas nie tylko zamknięte, ale nawet zabite gwoździami. Babka mówiła szeptem, że są takie noce, kiedy w salonie słychać grę na skrzypcach, tak samo jak wówczas, gdy grał tam mój ojciec. Po wyważeniu drzwi buchnęło ku nam stęchlizną. W progu pokoju widniała spora plama wilgoci i po ścianach rozchodził się już liszaj zagrzybienia. Zerwaliśmy z okien zasłony i firany, które z aprobatą rodziny spaliliśmy na zapleczu dworu. Mebli nie było, tylko jeden stary, zakurzony fotel. W tym fotelu — o czym wreszcie się dowiedziałem — zastrzelił się mój ojciec, używając srebrnej kuli. Chyba była to prawda — na wyleńiałym pluszu oparcia można było jeszcze znaleźć brunatne ślady krwi. Mimo oporów ze strony matki Zenon wyciągnął fotel na podwórze, własnoręcznie porąbał, ja podłożyłem ogień.

W pustym salonie wisiał jeszcze stary zegar i skrzypce. Zegar wyczyściłem i zabrałem do swojego mansardowego pokoju, ale nie udało mi się doprowadzić do tego, żeby zaczął chodzić. Skrzypce starannie odkurzyłem. Powiesiłem je

na ścianie także w swoim pokoiku, co wstrząsnęło babką — z instrumentem tym, podobno pochodzącym z Cremony, łączyła się legenda mojego ojca.

— Nie rób tego, wnusiu — powiedziała mi. — Twój ojciec lubi sobie na tym czasami pograć...

— No więc niech mnie odwiedzi — odpowiedziałem. — Nie boję się go. Przeciwnie, będę rad, jeśli przyjdzie. Miałbym z nim wiele do omówienia.

Ale nigdy nie przyszedł — ani żeby porozmawiać z synem, ani żeby zagrać...

Zenon polecił salon długo wietrzyć podłogę oczyścić, szyby wymyć, sufit i ściany pobielić. Był to pierwszy pokój we dworze, w którym przeszłość przestała straszyć.

— Jesteśmy u progu nowej epoki — wyraził pogląd Zenon, kiedy razem spacerowaliśmy po parku przylegającym do oficyny. — Idą nowe czasy...

— Mówisz o tym, co dzieje się w Poznaniu, we Wrocławiu, w Paryżu?... Mówisz o tym wietrze wolności, który wieje przez Europę? — zapytałem, używając modnych metafor; o „wietrze wolności” mówiło się wówczas na spotkaniach towarzyskich tak często, że w gruncie rzeczy nic to już nie oznaczało.

— Ach, nie! — machnął przecząco ręką. — Wiatr powieje i zaśnie. Mówię o nowych czasach w handlu, w sposobie gospodarowania. Majątek ziemski to też jakby fabryka. Jeśli nie chce się zostać w tyle za konkurencją, trzeba wszystko zmienić, ulepszyć. Albo się dostosujemy do tych zmian, albo zginiemy. Wszystko trzeba ulepszyć!

— Wszystko? — zapytałem zaskoczony.

— Tak, wszystko! Trzeba skończyć z wylewaniem morza łez, z czytaniem poezji, z ofiarowywaniem własnego życia

na barykadach, które jutro i tak zostaną rozebrane, bo świat nie żyje na barykadach. Trzeba zabrać się do konkurencyjnej walki z kupcem pruskim, rosyjskim i austriackim. Wygranie bitwy to za mało. Trzeba nauczyć się dobrze gospodarować i dobrze handlować. Miał rację pan Raczyński, kiedy namawiał Polaków do hodowli szlachetnych owoców, do wyrobu jedwabiu, a wreszcie do wytwarzania cukru z buraków. Mamy tu niedaleko Łęczyc aż sześć cukrowni w polskich rękach! Mamy szkołę ekonomów w Jeżewie!... A wszystko to — obok szczytnych przedsięwzięć oświatowych, oczywiście na gruncie historycznym, bo jak by inaczej...

Istotnie — hrabia Edward Raczyński zapisał się wprawdzie przede wszystkim jako krzewiciel wiedzy o historii Polski i posiadacz wspaniałych zbiorów bibliotecznych, ale równocześnie interesował się rozwojem rolnictwa ziem polskich znajdujących się pod pruskim zaborem i przetwarzania płodów rolnych. Zamierzenia Raczyńskiego nie wszystkim się podobały, zarzucano mu równocześnie lojalizm wobec króla pruskiego — swą Polskę chciał przecież budować w granicach zaborów. Ale w jakichże innych granicach można było ją budować. To on przecież wołał na sejmie stanowym, przeciwstawiając się germanizacji — „Przejęty jestem szacunkiem dla Niemców, ale Niemcem być nie chcę. Czyliż i was, ziomkowie Polacy, dreszcz nie przechodzi na tę myśl, żebyście mogli przestać być Polakami?... Mamy historię świetną jak epepeja. W cóż by się ona obróciła, gdybyśmy oczy nasze moralne i umysłowe ku Niemcom zwrócić mieli? Stałaby się zbiorem klechd dla nianiek i dzieci, boby żadnego związku z widokami naszymi na przyszłość nie miała...”

Ale ludzie otwarci, ludzie pragnący wcielać w życie idee, ludzie dzielni, przepojeni miłością ojczyzny — nie mieli łatwego życia. Niezrozumienie u ziomeków, swary godne sejmików szlacheckich często ich załamywały do tego stopnia, że nie widząc wyjścia z błędnego koła spraw polskich i własnego zapału — kończyli samobójczą śmiercią. Kiedy mój przyjaciel Rymsza wdał się w awanturnicze poczynania Bractwa Tajnych Laborantów, a ja w przygodę z Tarantellą, w tym samym czasie — w styczniu 1845 — Raczyński udał się na Wyspę Edwarda na jeziorze pod Zaniemyślem i zastrzelił się w sposób przedziwny — z armaty, do której lont sam podpałił. Wspomniałem o tym bratu, w czasie naszego spaceru.

— No cóż, przed każdym z nas piętrzą się trudności, ale jeżeli nie będziemy walczyć z nimi, zrezygnujemy, wszystkich nas taki sam los czekać może jak pana Raczyńskiego. Nasz ojciec...

— Właśnie, co było powodem śmierci ojca?

— Widzisz, Jul, każdy chce inaczej ojczyźnie służyć, każdy w innym czynie chce sprawdzić samego siebie. Ciebie przyciąga poezja, pociąga myśl romantyczna, zwrócona do wnętrza człowieka. Twój kolega Floriana Rymśkę — udział w sekretnych sprzysiężeniach, pistolety i bomby. Mnie — walka w sferach handlu, wytwórczości, nowego rolnictwa. A ojciec nasz był żołnierzem... Po przegranej, na wygnaniu, nieledwie na łaskawym chlebie, czekał tylko na nowy zew, obojętnie, skąd by się rozległ, aby ruszyć na bój. Korespondował z ludźmi różnych orientacji, różnych poglądów, różnych obozów politycznych. Był gotowy pójść z każdym, kto wezwie do boju — z demokratami Gromady Grudziądz, z ludźmi hotelu Lambert, z partyzantami Zaliwskiego,

ale właśnie ten brak określonej postawy i równoczesna żarliwa chęć walki za Polskę — wydawała się... podejrzana. Nikt go więc nie chciał. Pozostały mu chęci do walki, pozostały skrzypce i na koniec kula z pistoletu.

— Srebrna kula, którą sam obtoczył...

— Tak.

— Myślisz, że ty wybrałeś słuszną drogę stawiając zamiast na walkę, na hodowlę buraków?

— Czasy obecne nie służą takim koncepcjom jak moje. Są to czasy barykad i wzniosłych hymnów. Ale umilkną hymny, rozpadną się barykady, a wytwarzanie chleba, masła, cukru, odzieży będzie zawsze ważne i tam właśnie będzie toczyć się walka o Polskę. No i wówczas ja okażę się w tej walce pomocny najbardziej. Ale na moje czasy trzeba jeszcze trochę poczekać.

Miał rację — najbliższe wydarzenia dotyczyły wciąż jeszcze epoki wzniosłych hymnów i barykad. Tymczasem mój brat na gorszych gruntach zaczynał już siał buraki... Poezja i proza. Już miał odbiorców — jego buraki gotowe były przyjmując cukrownie hrabiego Dzieduszyckiego w Nowej Wsi, hrabiego Kwileckiego w Kwiliczu, generała Chłapowskiego w Turwi, pana Turny w Objezierzu, Stablewskiego w Dłoniach i generała Mycielskiego w Splawiu. Teraz należało tylko obliczyć koszty dowozu buraków do cukrowni i potargować się o cenę, a potem — skorzystać z tej oferty, która proponowała najwyższą cenę i najkrótszą drogę. A następnie tu, pod Łężycami, zacząć budować również własną cukrownię. Nasz dziadek nie był jeszcze przekonany o słuszności pomysłów Zenona, ale nie oponował. Babki to nie interesowało — wznosiła modły, „aby rzeź galicyjska” nie doszła do Poznańskiego i aby dobry szlachecki Bóg potępił okrutnego Szełę — przywódcę chłopstwa w Galicji. Równocześnie jednak

zaczęła sprzyjać idei krzewienia oświaty na wsi, co miało być puklerzem przeciwko „złym podszeptom”, a także korespondowała z panią Emilią Szczaniecką. Nie wiem, jakie więzy łączyły ją z tą wspaniałą działaczką, ale faktem jest, że kiedy zmarł wielki przyjaciel Szczanieckiej — Karol Marcinkowski — moja babka zakupiła w naszej parafii mszę świętą. Podobnie postąpiła, gdy Prusacy rozstrzelali w Poznaniu emisariusza tajnych organizacji powstańczych Antoniego Babińskiego.

Grudzień 1847 roku przyniósł wzrost nastrojów rewolucyjnych w Prusach i w efekcie zwolnienie z Moabitu Polaków — przywódców działań patriotycznych, skazanych uprzednio na śmierć lub długoletnie więzienie. W Berlinie wzrosły nastroje propolskie (który to już raz?), a wyzwolonych z więzienia obwożono później jak bohaterów po ulicach stolicy Prus i witano chorągwiami o polskich barwach narodowych lub intonując „Noch ist Polen nicht verloren”. W marcu 1848, na wieść o wybuchu rewolucji w Berlinie, ruszył się wreszcie Poznań i ruszył Wrocław. Podobno na ratuszu w Poznaniu wywieszono natychmiast polską flagę, uszytą w ciągu jednej nocy przez samą panią Emilię Szczaniecką i jej siostrę Kordulę Stablewską.

Łężyce leżą w pobliżu granicy z Królestwem, a więc z Rosją. Rachuby patriotów Śląska, Poznańskiego i Pomorza bazowały wówczas na przekonaniu o rychłym wybuchu wojny Prus z Rosją — stąd Łężyce znalazły się w przyszłym rejonie „przyfrontowym”. Liczono na to, że Prusy zezwolą na udział polskiego wojska u boku armii pruskiej w wojnie z Rosją, zaczęto więc przygotowywać własne siły zbrojne, koncentrując je w powiatach nadgranicznych. Moja babka porozumiała się wówczas z panią Emilią Szczaniecką, co więcej, jakby obudził się w niej nowy duch, choć ciało już było mdłe i marniała z dnia na dzień.

Udało się jej nawet zapalić swoimi ideami moją zgorzkniałą matkę — i tak wszystkie kobiety łączyły się w Komitecie Opieki nad Rannymi, oczywiście nad rannymi z frontu ewentualnej wojny z Rosją. Coraz wyraźniejsze stawało się już, że będzie to chyba wojna „na dwie strony” — z Rosją i Prusami, a później już tylko z Prusami — i kto wie, może „przy pomocy Rosji”...

Nasz dwór wizytowała wówczas pani Bibiana Moraczewska wraz z doktorem Mateckim. Doszli do wniosku, że wielki salon, ten sam, w którym zastrzelił się mój ojciec, nadaje się znakomicie na lazaret polowy. Później trzy dni mieszkał we dworze, wraz z kilku zaufanymi ludźmi, sam kandydat na wodza naczelnego — Ludwik Mierosławski. Wśród ludzi, którzy towarzyszyli Mierosławskiemu, był pewien student z Berlina, członek stworzonej tam polskiej legii akademickiej. To on opowiadał mi o wydarzeniach w stolicy Prus i nastrojach przychylnych Polakom. Miał ze sobą kilka gazet, w których wyczytałem, jak wyglądały manifestacje wolnościowe we Wrocławiu, jak studenci Polacy nieśli ulicami miasta polską chorągiew — wszędzie witaną gromkimi „hurra”, jak po panu Kopischu przemawiał student (podobno Zagórski, a więc towarzysz Rymszy z Bractwa Tajnych Laborantów) i jak wrocławianin generał Henryk Dembiński stanął na czele komitetu organizującego we Wrocławiu zjazd Polaków z wszystkich prowincji.

Student towarzyszący Mierosławskiemu był przekonany o tym, że w stosunkach między Polakami i Niemcami rozpocznie się wkrótce „nowa epoka”, ale sam Mierosławski nie był już takim optymistą i w rozmowie ze mną kilkakrotnie wspominał, że na Śląsk i do Poznańskiego weszły już oddziały pruskiej obrony krajowej, tak zwanej „Landwehry” z zadaniami „przywrócenia ładu”, to znaczy rozwiania nadziei

Polaków na uzyskanie autonomii dla Poznańskiego i Śląska, a zwłaszcza niedopuszczenie do powstania tutaj własnej siły zbrojnej. Ale siła zbrojna — mimo że jeszcze w załążkowym stanie — już była. Oddziały polskie obozowały w kilku miejscach w pobliżu granicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Rosji, gdzie podobno następowała już koncentracja wojsk rosyjskich.

— Niech to się wszystko wreszcie skończy — mawiał mój brat, wcale jakoś nieprzejęty wydarzeniami o barwach patriotycznych. — Prusakom nie wierzę, a przelanie krwi tylko osłabi naszą pozycję w Poznańskim. Trzeba się przeciwstawić germanizacji, a ta żłobi sobie kanały do Polski nie tylko orężem, ale opanowywaniem roli, opanowywaniem handlu i budową niemieckich fabryk. Orężnie nie zwalczymy Prus, za słabi jesteśmy, za bardzo skłóceni. Więc walczmy o polską rolę, o polski handel, o własne polskie fabryki!...

Resztki romantyzmu kazały mi jednak całym sercem być przy powstaniu i postanowiłem wykorzystać pierwszą okazję, aby udać się na plac boju, gdy tylko wybuchnie powstanie. W tym celu chroniłem (dobrze ukryty) pistolet, przywieziony z Wrocławia. O wojnie i partyzantce miałem mierne wyobrażenie — ale w sercach dawnych romantyków wciąż jeszcze kołatały porywy z okresu Burzy i Naporu.

Napisałem w tym czasie trzy listy — do ojca Rymczy, do panny Jeanette (kierując pismo na ręce pani Brochwiczowej) i do pani Kluge we Wrocławiu. We wszystkich tych pismach pytałem o Rymczę. Jeśli zwolniono już nawet więźniów z Moabitu, bramy więzienia powinny były otworzyć się także dla niego — chyba jedyne go członka Bractwa Tajnych Laborantów, który znalazł się za murami twierdzy. Karbonaryzm zresztą przybladł, zniknął, roztopił się, kiedy walka przybrała otwarte formy na barykadach i w polu. Barykady Paryża, Wiednia, Berlina i Pragi nie potrzebowały

zamaskowanych zabójców, nie potrzebowały tajnych went i skrytobójczych zamachów. Tam walczone z odsłoniętą twarzą i nie kryjąc się w mrokach. Na moje listy nie otrzymałem żadnych odpowiedzi. Czyżby Rymsza pozostawał dalej w kazamatach kłodzkiej twierdzy?

Pod sam koniec kwietnia 1848 zjawił się w Łęczycach młody powstaniec, chłopiec w moim wieku, syn jakiegoś oficjalisty z Pleszewa, informując o ataku wojsk pruskich na Książ i o konieczności przygotowania lazaretu we dworze. Mówił także o koncentracji polskich wojsk powstańczych pod Miłosławiem. Do Miłosławia był od nas dzień drogi. Nie namyślając się wiele, włożyłem kubrak, wziąłem swój pistolet, woreczek kul i prochu, następnie okulbaczyłem i wyprowadziłem konia. Pobiegłem potem jeszcze do matki i babki, aby powiedzieć im, że „idę bić się za Polskę”. Nie chciałem mówić dziadkowi i uniknąć pożegnań z bratem, obawiałem się bowiem, że mnie nie puszcza. Myliłem się. Dziadka spotkałem w sieni, przy wyjściu. Uściskałem go w milczeniu, a on chyba już wiedział, co ten uścisk oznacza, ucałował mnie i poklepał po ramieniu. Zenona spotkałem na podwórzu. Już chyba zauważył okulbaczonego konia i także zrozumiał.

— Idziesz do powstania? — spytał krótko.

— Idę...

— Jeżeli uważasz, że tak będzie słusznie...

— Tak uważam...

— Niech cię Bóg prowadzi, Jul. Jeśli będą na polu ranni, połóż kilku na jakąś najętą chłopską furkę i przywieź tutaj. Za najęcie furmanki zapłacę.

— Nie jesteś mi krzyw?

— Krzyw jestem walce, bo nie widzę szans na wygraną, ale jeśli już do niej doszło, to bić się trzeba...

— Właśnie. I ktoś z nas musi tam jechać.

— Jeśli nie wyjdzie z tą wojaczką tak, jak brzmi to w

pieśniach, wracaj. Czekać będziemy ciebie z nadzieją.

— A jeśli wyjdzie? — zaryzykowałem.

— Jedź już, Jul. Jedź!...

Uściskaliśmy się i wskoczyłem na siodło. Znakomitym jeźdźcem nie byłem, ale ruszyliśmy natychmiast galopem i w siodle poczułem się żołnierzem. Odpoczywaliśmy w jakiejś wsi, z której połowa chłopów wzięła kosy i poszła do powstania. Dowiedział się o naszym przyjeździe miejscowy proboszcz i przyszedł zaraz z plebanii usłyszeć nowiny. Ale to on wiedział więcej od nas. Bitwa podobno toczy się o Książ, a Mierosławski zbierał grupy pod Miłosławiem. Chłopi byli radośnie nastawieni do powstania, ale wrogo do szlachty. Kiedy mój przygodny kompan opowiedział im, że mój ojciec wywodzi się z chłopów, wdali się z nami w przyjazną rozmowę. Książdz zaprosił nas jeszcze do siebie na łyżek wina. Mówił, że szła już tędy grupa powstańcza Feliksa Białogórskiego z Pleszewa. Prezentowała się — jak mówił — pięknie: jazda, piechota i kosynierzy. Strzelcy i jezdni częściowo umundurowani. Ba, byli nawet wśród powstańców klerycy, którzy podcięli habity, aby im w boju z Prusakami nie przeszkadzały!

W trakcie naszej rozmowy zjawiała się pod plebanią furka wiejska, a na niej trzech mocno okrwawionych rannych — jeden oficer i dwóch strzelców. Ich mundury przedstawiały obecnie żalony widok — były zabłocone, zakurzone, poplamione krwią, poszarpane. Rany owiązano im szczytkami koszul i skrawkami płótna na polu bitwy. Twarze szare z bólu i wycieńczenia... Inaczej wyobrażałem sobie bohaterów — a przecież to byli bohaterowie.

Furką powoził młody chłopak, od którego dowiedzieliśmy się, że „w Książu już się bitwa zakończyła”, że Prusacy zdobyli miasto, wybili naszych, a teraz mszczą się na

mieszkańcach, na chłopach i jeńcach, że palą dom po domu... Skończyło się w Książu, ale trwa już bój pod Miłosławiem i tam nie pójdzie Szwabom tak lekko jak w Książu, bo pan Mierosławski ściągnął zewsząd „kupy zbrojne naszych”.

Istotnie — z oddali wiatr przyniósł aż tutaj echo artylerii.

— Czyżby pan Mierosławski miał armaty? — spytałem.

— A ma... — odparł dumnie chłopak. — Niewiele tego wprawdzie i nie najlepsze, nawet takie, co na rezurekcję do wiatatów sposobiono, ale huk robią taki, że Prusacy mdleją ze strachu.

Prusacy jednak ze strachu nie padali, bo to było wojsko dobre, wyszkolone. Natomiast po naszej stronie — żołnierz amatorski, z wojaczką nieobyty, słabo uzbrojony. Straszny tylko w walce twarzą w twarz. Zacząłem się lękać, czy pod Miłosławiem nie zakończy się bój podobnie jak pod Książem.

Pomogliśmy rannych złożyć na plebani i kazaliśmy chłopcu na furmance jechać przodem, aby nas zaprowadził do Miłosławia.

Okolo godziny szóstej po południu, a może nawet później, znaleźliśmy się na wyboistej wiejskiej drodze, prowadzącej skrajem jakiegoś wzgórza. Tam właśnie chłopak zatrzymał furmankę i batem wskazał nam na położoną u stóp dolinkę z płynącą środkiem strugą.

— Patrzcie, panowie, jak Miemce uciekają!

Istotnie — wzdłuż strugi gnało kilkunastu kirasjerów pruskich, ale nie wyglądało to ani na przegrupowanie, ani na szarżę. To był paniczny odwrót!

— Więc jednak nasi dali im wreszcie łupnia... — ucieszył się towarzyszący mi syn oficjalisty.

W tym właśnie momencie spoza kępy drzew, wypadło w naszym kierunku dwóch kirasjerów. Chyba już pierwsze spojrzenie uzmysłowiło im, że mają przed sobą polskich

powstańców, a że przed powstańcami uciekali, musieli nagle uświadomić sobie, że Polacy próbują im zająć drogę! Była to walka na śmierć i życie i zwyciężał ten, kto pierwszy zadał cios. Obaj kirasjerzy mieli pistolety w olstrach, ale chyba użyli ich już w bitwie i obecnie mogli tylko dobyć pałaszy i wyrąbać sobie drogę ucieczki.

Mój kompan zorientował się wcześniej niż ja, wyszarpnął pistolet i strzelił pierwszy w nadjeżdżającego na niego jeźdźca. Niestety — chybił, na co tamten odpowiedział natychmiast młyńcem szabli i ściał z siodła chłopaka, jak rosły drwał ścina młode drzewo. Chłopak nawet nie krzyknął, wypadł z siodła wprost na murawę. Koń Prusaka przesadził tymczasem furmankę, na której niedawno leżeli ranni powstańcy, i pognął między zarośla, w dół, ku reszcie rozbitego oddziałku.

Drugi kirasjer leciał wprost na mnie na ogromnym karym koniu. Miał wzniesiony w górę pałasz, gotowy do zadania morderczego ciosu. Mogłem ścisnąć boki konia piętami i zmusić go do skoku w zarośla, aby zejść z drogi kawalerzysty. Byłoby to chyba postępowanie rozsądne. Ale ja, nieobyty w boju, marzyciel, pozostałem na miejscu, ściągając jedynie cugle i przytrzymując konia, aby tylko pozostał na drodze napastnika. Potem — pozbawiony zupełnie żołnierskiej wyobraźni, aż sztywny z wrażenia, a może strachu — wolno, jak mi się wydawało, bardzo wolno, wyciągnąłem zza pazuchy mój pistolet i strzeliłem prosto w twarz kawalerzysty. Przez mgnienie oka zobaczyłem bardzo wyraźnie, jak wyrzucił ręce wysoko w górę, jak wypuszcza z dłoni pałasz i następnie wypada z siodła. Uwikłana w strzemień noga nie pozwoliła mu jednak upaść na ziemię — koń powłókł go za tę nogę tkwiącą w strzemieniu. Widziałem, jak gnał w ślad za oddziałkiem, za pierwszym jeźdźcem, wlokąc ciało kirasjera

za sobą i znacząc ucieczkę szarą krwi, widoczną wyraźnie na zielonej murawie.

Rozejrzałem się bystro — co świadczy o tym, że wróciła mi przytomność umysłu — nabiłem pistolet i dopiero wówczas zeskoczyłem z konia. Nieznany mi bliżej powstaniec z Pleszewa, syn oficjalisty, a wnuk wielkopolskiego chłopca (jak się przedstawił na wsi) nie żył już. Cios szabli dosięgnął jego szyi i odrąbał niemal głowę. Na murawę i na kubraczek chłopca wylało się chyba wiadro krwi. Z pomocą młodego woźnicy położyliśmy chłopca na furmankę i asystując — jak na pogrzebie — skierowaliśmy się boczną drogą, aby na najbliższym cmentarzu, z pomocą miejscowych, a może i księdza, pochować zabitego. Myślałem znaleźć jakieś dokumenty w kubraku, aby bezimiennie nie pogrzebać żołnierza. Jego grobu będą na pewno szukać rodzice. Chciałem również na krzyżu napisać, że taki to a taki „poległ za ojczyznę w bitwie pod Miłosławiem”... Uczynił to za mnie właściciel małego folwarczku, do którego zaprowadziła nas droga. Tam również zanocowałem. Gospodarz opowiadał mi, że w pierwszej fazie starcia Prusakom udało się zająć Miłosław, ale powstrzymał ich następnie ogień karabinowy naszych strzelców, którzy zabarykadowali się w pałacu. Wówczas to połączone oddziały Mierosławskiego, Białoskórskiego i Garczyńskiego ruszyły do kontrnatarcia, rozbiły szarżę jazdy i zmusiły Prusaków do rejterady, która zamieniła się w ucieczkę.

Bitwa była wygrana. Nie doprowadziło to, zdaniem gospodarza folwarku, do jedności w wojsku. Zresztą żołnierz był niekarny, a dowództwo miało podzielone zdania, czy iść dalej — na Wrześnię lub Gniezno, czy paktować z Prusakami i zakończyć powstanie. Gospodarz był tam także, walczył ale kiedy nasi zajęli Miłosław, wycofał się do obozu, a następnie wrócił do, domu. Takie to było powstanie, takie wojsko.

Następnego dnia, po pogrzebie powstańca, wziąłem chłopca z furmanką i ruszyłem w kierunku Miłosławia. Po drodze spotykaliśmy wszędzie grupki strzelców, kosynierów i jezdnych z emblematami o barwach narodowych polskich bądź z orzelkami na czapkach. W mieście paliło się kilka domów, miejsca walki usłane były zabitymi i rannymi. Na polach stały furmanki, wśród których uwijały się kobiety i trochę czeladzi dworskiej oraz księża i klerycy — zbierano zabitych, aby sprawić im pogrzeb. Było dość gorąco i obawiano się wybuchu zarazy. Zbierano również rannych, aby na furmankach transportować ich do polowych lazaretów.

— Jeśli pan bez przydziału, to proszę tutaj — zawołała nagle do mnie smukła, piękna pani, ubrana w czarną suknię z białym kołnierzem. — Jestem Emilia Szaniecka, a ten pan obok to doktor Matecki.

Zeskoczyłem z konia i przedstawiłem się, mówiąc że doktora Mateckiego znam, ponieważ odwiedził nasz dwór Łężycy, razem z panią Moraczewską. Jest ze mną chłopiec z furmanką — można więc załadować rannych i dopilnuję osobiście, aby przewieziono ich do Łężyc. Pani Szaniecka miała jednak inne plany — furmankę chciała zabrać wraz z chłopcem. Obiecywała go wynagrodzić i odesłać, skąd przyjechał. Miała tu ciężko rannych, którzy drogi do Łężyc mogliby nie przeżyć. Zawiezie ich — mówiła do pobliskiego lazaretu w pałacu miłosławskim. Z pola bitwy trzeba będzie kilka razy obrócić, aby zwieźć ciężko rannych. W lazarecie pałacowym jest już doktor Gąsiorowski. Natomiast dla mnie ma inne zadanie — na przedmieściu Miłosławia mam pytać o pannę Jeanette Limanowską, która zgromadziła tam grupę lżej rannych i tych można zabrać do Łężyc. Panna Jeanette ma także jakieś wozy. Jeanette Limanowska? Byłem zaskoczony. Czy może guwernantka córek pani Brochwiczowej? — Ależ tak! Jeśli ją znam — mówiła pani Szaniecka — łatwo ją odnajdę.

Istotnie odnalazłem ją szybko, zeskoczyłem z siodła i zbliżyłem się niezauważony — była zajęta rannymi, tak że dostrzegła mnie dopiero, gdy byłem już obok. Zobaczyłem jej zdziwiony wzrok. Ranni leżeli pod murem kamienicy, której ściany nosiły ślady walk.

— Ach, to pan! — wykrzyknęła Jeanette. — Nie myślałam, że spotkamy się w podobnych okolicznościach. Niech pan popatrzy — tyle krwi!... Tyle krwi!... Nie widziałam nigdy tylu rannych, zabitych, posiekanych szablami, skłutych bagnetami. Straszne!... Trawa, która na tym polu wyrośnie, będzie miała chyba czerwony kolor... Jest pan sam? Ma pan furmankę?

— Mam tylko konia. Jechała ze mną furmanka, ale pani Szczaniecka zabrała ją, aby przewieźć ciężko rannych do pałacu w Miłosławiu. Skierowała mnie do pani. W czym mogę pani pomóc? Chcę zabrać rannych do naszego majątku, do Łężyc, jeśli dysponuje pani jakimś wozem.

— Nie szkodzi, że nie ma pan furmanki, znalazłam tu dwa wozy cyrkowe, których właściciel za niewielką opłatą zgodził się nam ich użyć i pojechać gdzie trzeba, byle jak najdalej stąd. Trzeba tylko ich poprowadzić...

Jeanette była ubrana podobnie jak pani Szczaniecka — w czarnej sukni z białym kołnierzem. Może był to umowny ubiór przyjęty przez członkinie Komitetu Opieki nad Rannymi? Czerń i krój sukni podkreślały jej smukłą figurę i kontrastowały ze złotymi włosami, które niesfornymi kosmykami wymykały się spod kapturka. Nie opodal krzątały się dwie zakonnice, bandażując rany żołnierzom.

— Wozy cyrkowe? — zapytałem trochę zaskoczony.

— Tak, wozy cyrkowe. Sądzę, że będzie im pan towarzyszyć aż do Łężyc. Odpowiada to panu?

— Czemu nie? Ilu ma pani rannych?

— Tutaj dziewięciu. Pięciu Polaków i czterech Niemców. Zabierze pan Niemców do Łężyc?

- To oczywiste.
- Jest jeszcze jeden ranny cyrkowiec.
- Brał udział w bitwie? — zdziwiłem się.
- Prawie. Stali pod lasem koło obozu polskiego i codziennie prezentowali swoje sztuki powstańcom. Dowództwo na to zezwalało. Ale jak zaczęła się bitwa, Mierosławski kazał im odjechać. No i dostali się pod ogień pruski. W jeden z wozów trafił pocisk. Był tam pomocnik cyrkowy i grajek.
- Grajek?
- Skrzypek. Przyjechałam tu wcześniej i mieszkałam w partyzanckich kwaterach. Słyszałam, jak grał. To duży talent, aż dziwne, że jeździ z cyrkowcami. Prusacy strzelali do nich z armat. Trzy wozy cyrkowców i armaty — niech pan to sobie wyobrazi! No i jedna z kul roztrzaskała wóz, zabiła chłopca na koźle i ugodziła grajka. Ranny chyba z tego nie wyjdzie.
- Gdzie oni są?
- Za rogiem. Dwa wozy z napisem „Welt-Zirkus Tartarini”.
- Jak?
- No, tak jakoś... Chyba dobrze zapamiętałam — „Welt-Zirkus Tartarini”.
- Tartarini... — powtórzyłem.
- Jest tam także tancerka... Rozpinali linę wysoko, między dwoma drzewami, ten muzyk grał na skrzypcach, a baletnica tańczyła. Na linie!
- Tarantella...
- Chyba tak ją nazywali. To żona właściciela cyrku, Tartariniego. — Mówiąc to, patrzyła na mnie uważnie, jakby ciekawiło ją, jak zareaguję na te informacje. Chyba zdawała sobie sprawę, co one oznaczają. Czytała przecież notatki Rymszy.

- Tarantella żona Tartariniego... – powtórzyłem.
- Tak, właśnie tak. Czy to ta... – zaczęła pytanie, ale nagle umilkła, dalej bystro na mnie patrząc. Był to nie pierwszy nietakt z jej strony, ale życie nauczyło ją brutalności.
- Zgadła pani. To ta sama Tarantella, o której pisał w sztambuchu Rymsza. Ta, którą spotkałem we Wrocławiu. To jakby dawne, bardzo dawne czasy...
- Widma dawnych czasów czasami wracają, panie Julianie. I straszą... jak to widma. Zaprowadzi ich pan do Łężyc?
- Czemu nie? Kiedy mamy jechać?
- Choćby zaraz. Daleko do Łężyc?
- Jeśli będziemy jechać całą noc, nad ranem tam staniemy. Kiedyś pani szczegółowo tłumaczyłem, jak do nas trafić.
- Znajdzie się lekarz w pobliżu?
- Znajdzie się. Mówi pani, że oni są tu za rogiem?
- Ranni?
- Nie, cyrkowcy...
- Jak pan tam pójdzie, proszę powołać się na mnie, znając mnie jako mademoiselle Jeanette. Proszę powiedzieć panu Tartarinemu, że zaraz będziemy układać rannych. Wie pan, szczątki trzeciego wozu i jakieś rupiecie z drugiego pan Tartarini pozostawia tu, w Miłosławiu. Wróć kiedyś po to. Znalazł kogoś, kto mu to przechowa. Zbyt wielkich strat nie ponieśli, a zarobili sporo.
- Jak to „nie ponieśli” – jeden zabity, jeden ranny, konie zabite, wóz...
- Może źle to nazwałam. Przepraszam. Po prostu ten wóz...
- Ach, cóż znaczy wóz! Jeśli ten muzyk został ciężko ranny, to już nie będą mogli występować. Widziała pani, jak ta baletnica tańczy?
- Widziałam. To coś nieprawdopodobnego. Gdybym nie

widziała, nie uwierzyłabym nigdy. W dodatku...

— No, proszę... Co „w dodatku”?

— Ona miała zamknięte oczy... Sama nie wiem, co pozwoliło jej utrzymać równowagę i w dodatku tańczyć — jakby miała pod stopami scenę, a nie linę...

— To zasługa muzyki... Zasługa skrzypiec...

— Właśnie — skrzypce też uległy zniszczeniu.

— Skrzypce też? Bez tego grajka i bez skrzypiec Tarantella nie zatańczy... Pozwoli pani, że tam do nich pójde?

Było tak, jak mówiła Jeanette — dwa wozy cyrkowe pstro pomalowane. Gruby, śniady i czarnowłosy mężczyzna ze złotym kolczykiem w uchu — to chyba Tartarini. Kłócił się właśnie z kimś, coś perorował. Podszedłem do niego, przedstawiłem się i poinformowałem, że zaraz będziemy kładli rannych. Zmienił się — widać było, że mu zależy na opuszczeniu pola bitwy. Może bał się, że Prusacy tu wrócą? Spytałem, czy wynagrodzono go za tę podróż dostatecznie.

— Si, si... — przytaknął — za podróż, si. Dostatecznie. Ale co myśmy tu stracili! Pan nie może nawet „iść sobie wyobrazić”! — zawołał niemal i złapał się za głowę. — Myśmy tu stracili wszystko! Wszystko... A na początku tak dobrze się układało! Tyle było radości u panów powstańców!...

Wszedłem do pierwszego wozu. Leżał tam na wyrku Czorb — blade, wynędzniały, chudy. Cały korpus miał obandażowany, ale ręce swobodne. Jedną ręką obejmował skrzypce, czy raczej to, co z nich zostało, a drugą trzymał kurczowo szczupłą dłoń tancerki. Tarantella siedziała obok, ubrana w szarą sukienkę, jakby w tę samą, którą nosiła, gdy ostatni raz zaglądałem przez szybę do jej pokoju. Zobaczyła mnie i jej oczy stały się ogromne — tak samo jak wówczas, gdy w nocy i mgłę zastukałem do okna domku we Wrocławiu.

— Zaraz odjeżdżamy — powiedziałem, udając że spotkanie uważam za normalne wydarzenie. — Będę wam towarzyszył. Zaprowadzę was. Jedziemy do Łężyc, gdzie obecnie mieszkam. Przygotowaliśmy tam polowy lazaret, znajdzie się lekarz. Pan Czorba będzie mógł tam odpocząć, nabrać sił.

Muzyk spojrzał jakby pytająco, ale nic nie powiedział, nie spytał, skąd znam jego nazwisko ani kim jestem. Rozumiałem go. Mówiłem właściwie ani do niego, ani do niej. W przestrzeń. Raczej do widm niż do żywych ludzi. Stałem nad barłogiem skrzypka, a kiedy znów przymknął oczy — jakby zupełnie niezainteresowany moją osobą — spojrzałem na Tarantellę. Życie nie pieściło jej — była jeszcze bardziej eteryczna, blada, niemal przezroczysta, twarz jakby zmieniła się, stała się bardziej dojrzała, kobieca — już nie dziewczęca. Tam, pod dachem cyrkowego namiotu lub między drzewami na linie, mogła uchodzić, za dziewczynkę, ale z bliska uwydatniały się ślady zmęczenia, może głodówek, chorób, niewygód i przegranego losu. Co czułem? Trudno to określić. Kiedyś obiecywałem jej przecież wyrwanie z „więzienia”, zabranie z sobą, ale chyba ona nie potraktowała tego poważnie — tak się często mówi pod wrażeniem chwili — podobnie jak wyznanie „kocham cię”. Tylko że nie powinno się tak mówić, jeśli nie ma to pokrycia w rzeczywistości. Może nawet nie kłamałem wówczas — chciałem rzeczywiście ją kochać i wyrwać z tego poddasza, ale co by było później? Życie zburzyłoby szybko podobny sen, a przebudzenie byłoby może okropne, okropniejsze od niespełnionych przyrzeczeń. Zresztą — pocieszałem się, próbowałem sam przed sobą usprawiedliwić z bardzo naiwnych obietnic, fascynacji i pragnień...

— Będzie lekarz, na pewno pomoże... — mówiłem coś,

chyba bez związku, zgodnie z wymaganiem chwili, jak mi się wydawało. Plotłem tak, bo cóż innego można było w tej sytuacji powiedzieć? Wtedy Czorba otworzył nagle oczy, spojrzął na mnie bystro, jakby dokładnie pojął sens mojej wypowiedzi i wskazał na zdruzgotane skrzypce. Zrozumiałem: to była także jego rana. Poważniejsza niż ta, którą odniósł, od pruskiego pocisku. — We dworze mamy włoskie skrzypce. Zobacz pan. Jeśli tylko będą odpowiadać panu, będzie pan mógł je zabrać. Grywał na nich mój ojciec. Mówił, że wykonano je we Włoszech — w Cremonie. Ojciec od dawna nie żyje, a nikt w rodzinie nie umie grać na skrzypcach. Wszyscy natomiast uwielbiamy muzykę. Jeśli tylko skrzypce spodobają się panu, będzie je pan mógł zabrać.

Na twarzy Czorby odbiło się zainteresowanie. Włoskie skrzypce!... Cremona!... Każdy muzyk drgnie, gdy to usłyszy.

— Proszę być dobrej myśli. Zaraz ruszamy — powiedziałem i wycofałem się z wnętrza wozu.

Podszedłem do Tartariniego, wyciągnąłem z kieszeni kubraka sakiewkę, którą na drogę dała mi babka i wręczyłem całą właścicielowi cyrku. Pachniał czosnkiem, był spocony, miał lepkie ręce, kiedy mi dziękował. Zatrzymałem na chwilę wzrok na lewym uchu, gdzie lśnił złoty kolczyk. Kazałem mu nakarmić rannego grajka i żonę przed podróżą, choć prawdopodobnie właśnie karmienie było teraz dla Czorby niewskazane. Prosiłem, aby małżonka cyrkowca opiekowała się muzykiem. Liczyłem, że dla niej będzie to wygodniejsze niż siedzenie na koźle. Pomogłem wnieść rannych do drugiego wozu, na którego koźle usadowiło się dwóch pomocników cyrkowych. Gdy żegnałem Jeanette, zapytałem, czy dostała mój list?

— Otrzymałam, ale nie wiedziałam, co panu odpisać. Już dawno zostało wydane ułaskawienie Floriana Rymszy.

Wydano je w Berlinie, ale — proszę sobie wyobrazić — nie dotarło do Kłodzka. W twierdzy nic o tym nie wiedzą. Pani Brochwiczową interweniowała osobiście. Mimo wieku i stanu zdrowia pojechała do Berlina. Przechodziła podobno przez trzy barykady, żeby trafić do różnych urzędów... Nic więcej nie dowiedziała się — w Berlinie są przekonani, że Florian Rymśza jest na wolności, natomiast w twierdzy wiedzą, że więzień Florian Rymśza odsiaduje zasłużoną karę. Mam z nim kontakt przez lekarza, nigdy bowiem nie pozwolili mi się z nim zobaczyć osobiście. Nie jest tam zdrowy. Źle z nim...

— Pani Brochwiczową dalej zajmuje się tą sprawą?

— Cała nadzieja w mojej kochanej i szlachetnej pani Brochwiczowej. Już nie jeździ do wód, działa natomiast energicznie w Komitecie zorganizowanym przez panią Szczaniecką na rzecz powstańców. Jesteśmy świadkami cudu. To ona zleciła mi przyjazd do obozu pod Miłosławiem w swoim imieniu. Na takie wyprawy jest przecież za słaba. Wszyscy spodziewaliśmy się, że wybuchną tu walki i poleje się krew.

— Co może wstrzymywać uwolnienie Rymśzy, skoro jego wina jest tak niewielka w stosunku do innych, których uwolniono już, mimo że otrzymali karę śmierci?

— Może nie „co”, ale „kto”?

— No więc kto?

— Pułkownik Hoffmeyer moim zdaniem. Pułkownik Ernest von Hoffmeyer, wielka figura w armii. Chyba w tych dniach dostanie stopień generała. Wie pan, jakie jest jego zdanie o Rymśzy? Jest to „słowiański dekadent jeden z tych, których należałoby natychmiast rozstrzelać”. Nie wykonał rozkazu swojej organizacji — a to w oczach pruskiego pułkownika największe przestępstwo.

— Ale gdyby wykonał rozkaz, pułkownik już by nie żył!

— „Befehl ist Befehl”. Jak uspokoi się trochę na świecie i tu, w Poznańskim, pani Brochwiczowa uda się jeszcze raz do Berlina, aby uzyskać na miejscu powtórne potwierdzenie amnestii dla Floriana. Mogę potrzebować pańskiej pomocy, czy wówczas będę mogła zwrócić się do pana?

— Ależ oczywiście! Florian Rymsha był moim jedynym przyjacielem, choć tak bardzo różnymi się w poglądach na świat, życie i rewolucję. Sądzę, że niewiele zrobiłem dotąd dla niego, kiedy popadł w tarapaty. Ale też — co mogłem zrobić?

— Napiszę do pana albo nawet przyjadę do Łęczyc, gdy będzie tego wymagać sprawa uwolnienia Floriana. Boję się tylko, że idą już inne czasy i ludziom, którym pruskie sądy przypiszą teraz karę śmierci lub więzienia, nikt już kary nie odwoła.

Pożegnałem pannę Jeanette i ruszyłem z rannymi w stronę Łęczyc, zostawiając za plecami pole bitwy pod Miłosławiem. Mijały nas oddziały ruszające w stronę Gniezna, uznające dowództwo naczelne Mierosławskiego. Równocześnie jednak w cztery strony świata opuszczały obozy grupki pochodzące może z oddziałów Białoskórskiego, który złożył dymisję na ręce dowódcy, uznając, że wygrana bitwa uratowała honor Polaków, natomiast kontynuowanie boju może zakończyć się tylko klęską. Wracali również chłopci z okolicznych wsi, którzy przybyli pod Miłosław, aby wspomóc „bitwę o Polskę”. Jak to bowiem oświadczyli — „My tam o życie nie stojemy, byle Polska była, a te Niemce nad nami nie przewodziły”.

Jechaliśmy tym samym szlakiem, którym przybyłem na pole bitwy, przejechaliśmy więc okolicę, w której odbyła się potyczka z kirasjerami pruskimi. Pamiętam krwawy ślad, jaki ciągnął się na murawie za zastrzelonym z mojego

pistoletu kawalerzystą, ale śladu tego już nie odnalazłem.

Daleko, daleko niesło się echo śpiewu maszerujących w stronę Gniezna oddziałów... Śpiewano stare piosenki z czasów wojen napoleońskich...

*„Bywaj, dziewczę, zdrowe,
Ojczyzna mnie woła!
Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła;
I choć przyjdzie gonić jak najdalej wroga,
Nie zapomnę nigdy, jak mi jesteś droga...”*

Oddziały szły na spotkanie nieprzyjaciela pod Sokołowem, gdzie przyszło wkrótce żołnierzom Mierosławskiego świętować jeszcze jedno zwycięstwo — po rozbiciu korpusu pruskiego generała Hirschfelda. Była to najkrwawsza bitwa w tym powstaniu i znów zapełniły się lazarety polowe rannymi, ściągany z pobojowiska przez polskie kobiety z Komitetu Opieki nad Rannymi... A potem przyszedł kres powstania i układ kapitulacyjny w Bardo pod Wrześnią. Augustyn Brzeżański, który układ ten podpisał, zobowiązał się, że nazajutrz tysiące powstańców złożą broń w Piątkowie Czarnym. Prusacy liczyli na to, że składanie broni będzie widowiskiem symbolizującym triumf pruskiej przemocy wojennej. Zawiedli się — do Piątkowa Czarnego przybyło tylko trzydziestu pięciu powstańców, w dodatku — już bez broni. Mówili, że broni nie mieli. Najprawdopodobniej zakopali ją w lesie. Inni poszli w rozsypkę, często z bronią wracając do dworów, chałup i miast. Brzeżański uciekł, aby powstańcy nie roznieśli go na szablach. Mierosławskiego Prusacy aresztowali, ale wkrótce — jako obywatel francuski — został zwolniony i udał się na Zachód. Nie miało to już jednak większego znaczenia dla Wielkopolski. Powstanie upadło.

W tym czasie w Łężycach istniał jeszcze lazaret polowy, ale wkrótce rannych Prusaków zabrano do szpitali garnizony-
nowych, a po rannych powstańców przyjechała podwoda z
polecenia nieocenionej pani Emilii Szczanieckiej, która w
samym Poznaniu, w pałacu Działyńskich, zorganizowała
centralny lazaret dla ciężko rannych ze wszystkich pól bi-
tewnych Wiosny Ludów w Poznańskim. Tak bowiem na-
zwano ten zryw romantyczny — Wiosną Ludów.

W Łężycach stały wciąż jeszcze dwa cyrkowe wozy.

11. Rozstania

Często wracam myślą do tych dni, kiedy Łężyce były lazaretem polowym. Ranni zostali otoczeni serdecznością i opieką, na jaką było nas stać. Czasami u mojego dziadka zbierało się wieczorami przedziwne towarzystwo — polski oficer powstańczy, oficer pruski, jakiś młody prawnik z powstańczą kokardą u surduta, a niekiedy lekarz z pobliskiego miasteczka lub nawet miejscowy proboszcz. Dyskutowali, bywało, że grali w karty lub wspólnie śpiewali. Prusak uczył się polskich pieśni, a potem próbował uczyć nas niemieckich. Ludowe pieśni niemieckie niektórzy z Polaków znali, uczyli się ich bowiem w pruskich szkołach, natomiast wojskowych pieśni niemieckich śpiewać nie chcieli — pozwalając popisywać się samotnie oficerowi Landwehry.

Kiedy skrzypka Czorbę opatrzył lekarz, doszedł do wniosku, że — według wiedzy medycznej — muzyk nie powinien już dawno żyć. I to nie tylko ze względu na rany, ale na ogólne wyczerpanie organizmu. Skrzypce mojego ojca były, zdaje się, najlepszym dla niego lekarstwem — naprawił je, ponakręcał struny i wkrótce zaczął dawać takie koncerty w lazarecie, że wszyscy milkli, oszołomieni piękną muzyką. Moja matka — kiedy po raz pierwszy usłyszała dźwięk skrzypiec — dostała nerwowego ataku. Rychło jednak uspokoiła się i po jakimś czasie z uwagą zaczęła słuchać tych popisów. Babka

natomiast od początku była zachwycona, a raz nawet wspomniała szeptem, że to może duch ojca wciela się w Czorbę, aby grać — jak wówczas, kiedy... Świat wyobraźni mojej babki zawsze pełen był duchów i widm.

Pomagając rannym wielokrotnie w ciągu każdego dnia spotykałem Tarantellę. Patrzyliśmy na siebie pogodnie, bez wzajemnych pretensji, bez żalu, bo i o co mogliśmy mieć do siebie żale i pretensje — że nie porwałem jej wtedy z domu? że uciekła mi, aby tańczyć na dachu kościoła Świętego Krzyża? że wyszła za mąż za właściciela trzech wozów cyrkowych, za pana Gennaro Tartariniego? Cóż, życie za nas rozstrzygnęło nasze losy. Tak w każdym razie starałem się sam przed sobą usprawiedliwiać tę rzeczywistość.

Potem — jak już pisałem — odjechali ranni Prusacy, a następnie ranni powstańcy. W dużym salonie pozostał Czorba, obok którego sypiała teraz Tarantella. Wszyscy oni — Czorba, Tarantella, Tartarini i dwaj inni cyrkowcy — jadali u nas we dworze, ich konie stały w naszej stajni. Wieczorami, a nawet długo w noc, w salonie grał na skrzypcach Czorba. Nie muszę dodawać, że sytuacja po dwóch tygodniach stała się trochę dziwna. Pytałem lekarza o stan zdrowia Czorby, a on, zrozumiawszy, że chodzi mi o termin wyjazdu cyrkowców, odpowiadał, że skrzypek trzyma się życia ostatnim wysiłkiem woli. Gdyby odjechał razem z cyrkowcami, umarłby na pierwszym etapie. Z Tarantella zacząłem zamieniać codziennie po kilka zdań, choć nie było to nic konkretnego, ona również nie wracała nigdy do naszych poprzednich spotkań.

Kiedyś odwiedziłem w salonie Czorbę, chociaż na ogół poza Tarantella nie rozmawiał z nikim.

— Gra pan pięknie. Jesteśmy wszyscy pełni uznania dla pańskiego talentu — zacząłem, może zresztą niezbyt udanie.

— To nie ja, to skrzypce — odpowiedział niemal szep-
tem.

— Podobają się panu skrzypce?

— To klejnot! Prawdziwy klejnot! Gdybym ja je miał,
kiedy byłem młodszy... Są naprawdę moje?

— Naprawdę, panie Czorba...

— A czy moglibyście, dobry panie, nigdy mi ich już nie
odbierać?

— Nikt panu ich nie odbierze. Nigdy...

— To bardzo proszę, włóżcie mi je do trumny. Tam będę
także grał. Życia zostało mi już przecież niewiele.

— Pochodzi pan z Węgier czy z Italii? Nazwisko ma pan
węgierskie.

— Jestem Madziar. Dziadek przywędrował tu, kiedy
jeszcze Śląsk był austriacki. Dawno. Mieszkałem długo w
Wiedniu. Pięknie tam... — przymknął oczy, jakby chciała w
pamięci przywołać obraz austriackiej stolicy nad Dunajem.
— Ach, Wien, Wien — was wunderbares!...

— Musiał pan opuścić Wiedeń? — indagowałem z cieka-
wości.

— Ja, richtig, właśnie tak. Musiałem. Wiecie, dobry pa-
nie, źli ludzie, policja...

— Policja ściga dziś uczciwych ludzi — próbowałem go
pocieszyć.

— Ale ja nie byłem uczciwy. Nie. Ja jestem zły człowiek,
bardzo zły i policja wiedziała o mnie wiele... Tak, uczyłem
się w Wiedniu, było mi tam dobrze, może dziś grałbym w
Hofburgu. Ale nie udało się...

— To prawda, że Tartarini odkupił Tarantellę od jakichś
nędzarzy?

— Na Śląsku jest wiele nędzy, wiele nędzy, łaskawy pa-
nie. To ja odkupiłem Tarantellę, ale Tartarini dał pieniądze.
I było dobrze aż do czasu, gdy za mną zaczął chodzić jej oj-
ciec, jeszcze gorszy człowiek niż ja. Zaczął chodzić i żądać

pieniędzy. On wiedział, że szuka mnie policja w Wiedniu. Kiedy uciekłem z Tarantellą do Wrocławia, wytropił mnie. Słyszał, jak gram w kościele, i poszedł za mną. Znalazł dom „Mademoiselle Julie” i znowu chciał pieniędzy. Ja już długo nie pożyczę, więc powiem panu. W Wiedniu zabiłem kiedyś człowieka. Za to ściagała mnie policja. A we Wrocławiu musiałem zabić jeszcze raz — i to był ojciec Tarantelli. Ona tego nie wie i niech jej pan nie mówi, ale ja naprawdę zabiłem jej ojca. Ona chora, coraz bardziej chora. Ona wchodzi teraz na drzewa, na dachy, na wieże — kiedyś spadnie i zabije się. Gdy gram jedną taką melodię, to ona zamyka oczy i tańczy na linie. Pan to widział? Nie? To pan nic w życiu nie widział.

— Kocha pan Tarantellę?

— Kocham...

— A Tartarini?

— Cóż, Tartarini... Tartarini to dyrektor. Kiedyś to on ją nawet bił i musiałem bronić ją przed jego gniewem. Ale to było dawno. Może on ją teraz kocha? Gdyby ją teraz uderzył, to chyba bym go zabił. Powiedziałem mu, że jeżeli umrę, będę zawsze koło niej i gdyby on ją uderzył, wróciłbym stamtąd i zabił go. On wie, że to prawda.

— Kiedy odnalazł pana ojciec Tarantelli? To jego pan się obawiał, a nie Tartariniego, prawda?

— Tartariniego też, ale jej ojciec był gorszy. On nie chciał już córki. On chciał pieniędzy. Przyszedł do mnie, do „Mademoiselle Julie” — i tam go zabiłem. Dlatego wróciłem i podpaliłem cały dom, aby ślad nie pozostał. Nikt o tym nie wie, tylko pan i ja. Tam już tylko zgliszcza, popiół... Vergangenheit... Pan dobry człowiek, to pan wszystko zrozumie... A Tarantella dziś dama! Jest żoną samego dyrektora „Welt-Zirkus Tartarini” — pana Gennaro Tartariniego!...

Czorba dał nam w nocy jeszcze jeden długi koncert. A kiedy już dwór pogrążył się w ciszy, mroku i śnie, skrzypnęły drzwi do mojego pokoju i usłyszałem leciutkie kroki bosych stóp — jakby przychodził do mnie elf. Wiedziała, że tu mieszkam, ale nigdy mnie nie odwiedziła, a ja nie śmiałem zaprosić jej do siebie — zresztą w dzień byłoby to niemożliwe. I oto Tarantella była tu, w moim pokoju, ze mną. Podeszła, przyklękła na podłodze obok mojego łóżka i zaczęła nagle płakać. Podniosłem się i ująłem jej głowę, przytulając mocno do piersi. Zacząłem ją całować, głaskać po włosach, po ramionach. Wyczułem pod materią koszuli jej piersi.

— Tarantello, dawno trzeba było to zrobić!... — powiedziałem czule. — Wszystkie noce czekałem na ciebie!

Włożyłem dłoń pod koszulę, dotknąłem jej nagiego ciała i usiłowałem wciągnąć ją na łóżko. Nie bronila się, ale zaczęła jeszcze gwałtowniej szlochać.

— Czorba... — wyjąkała nagle. — Czorba...

— Pewnie śpi? — spytałem. — Niech sobie śpi...

— Umarł... — odpowiedziała.

Wtedy usiadłem na łóżku, zupełnie ogłuszony tę wiadomością. Przyszła do mnie, nie żeby się kochać, ale dlatego że byłem jej najbliższym przyjacielem. Jej i Czorby. Mój Boże, jaki ze mnie głupiec! Jaki smarkacz!... Poglaskałem ją delikatnie po głowie i poprosiłem, żeby przestała płakać. Potem ubrałem się z zeszedłem z nią na dół, po omacku, ostrożnie. W salonie paliła się świeca i w jej blasku jeszcze koszmarniej zaprezentował się pusty salon i dwa posłania — Tarantelli i skrzypka. Czorba leżał nieruchomo na wznak i wyglądał, jakby spał. Bo nawet kiedy spał, wyglądał jak umarły.

Pogrzeb odbył się zaraz następnego dnia. Zjawił się nasz proboszcz, choć istniało przekonanie, że Czorba był bliższy

piekłu niż niebu i nikt nie wiedział, jakiego był wyznania, według jakiego obrządku go chować. Był lekarz, przyszło trochę ludzi ze wsi — ciekawych, bo „cudaka chowają”. Był także na pogrzebie mój dziadek i babka (matka została w domu), był brat, przyszedł odświętnie ubrany Tartarini, w ogromnym czarnym kapeluszu, i przyszła Tarantella w swej zwykłej szarej sukience.

Czorbę pochowaliśmy ze skrzypcami mojego ojca — tak jak tego pragnął.

Pod wieczór, po spożyciu z nami kolacji, cyrkowcy zapakowali się i odjechali. Przy pożegnaniu zapytałem Tartarini, co będą teraz robić — bez Czorby. Zapewnił mnie, że wszyscy umieją „wiele innych rzeczy”, on natomiast planuje numer programu z tańczącym niedźwiedziem i tancerką z tamburineri. Musi tylko kupić niedźwiedzia od Cyganów. Wybiera się do Kalisza, w Kongresówce, a z Kalisza, przez Warszawę, na Litwę — bo tam można kupić niedźwiedzia taniej niż na Śląsku. Ale kto będzie grał niedźwiedziowi i Tarantelli? Jak to kto? — oburzył się. Jest przecież Włochem, a każdy Włoch to urodzony muzyk. „Gram na wielu instrumentach, choć tak pięknie, jak grał Czorba — nikt nie potrafi. No i bez Czorby Tarantella nie zatańczy już chyba nigdy na linie”.

Wszyscy wyszliśmy przed ganek, gdy odjeżdżali. Pomachaliśmy im na pożegnanie. Tartarini odklonił się swym oryginalnym wielkim czarnym kapeluszem. Tarantella siedziała obok niego, otulona chustką, którą dała jej moja babcia. Raz spojrzała w moją stronę, nawet uśmiechnęła się, ale potem wzrok oparła na linii mroczniejszego horyzontu i już więcej się nie odwróciła.

Dni zaczęły płynąć bezbarwnie, a wiadomości, jakie docierały do Łęczyc, nie nastrojały optymistycznie. Może istotnie program mojego brata, skupienie się na walce o lepsze

efekty gospodarowania, był tu jedynym wyjściem z marazmu popowstaniowego.

Na jesieni umarła nasza matka, a zimą brat stał się w pełni tego słowa gospodarzem — dziadek odsunął się bowiem od wszelkich decyzji, nawet nie wtrącając się dobrymi radami do rewelacyjnych pomysłów brata. Wiosną Zenon (odpowiedzialny przecież za moje wychowanie) napomknął, że czas już, abym zastanowił się, co dalej chcę robić. Jeśli chcę studiować — ostatni dzwonek na taką decyzję. Jeśli wziąć się do gospodarowania, on chętnie podzieli się ze mną zadaniami, sobie jednak pozostawiając prawo ostatecznej decyzji, ponieważ o pracy na roli i o hodowli „nie mam zielonego pojęcia”.

Już coraz rzadziej myślałem o Czorbie i Tarantelli. Kiedyż to ostatni raz odwiedziłem pstro malowany dom na przedmieściu Wrocławia! Za jednymi z zamkniętych drzwi był może ukryty Czorba, gotowy uśmiercić intruza, który wdzierał się do jego królestwa? A może nie tylko Czorba, ale i trup ojca Tarantelli? Zresztą może był tam tylko trup?... To wszystko było już za mną!... A jednak, gdy przychodziły do nas gazety z Królestwa, w kronice wydarzeń szukałem jakiegoś śladu o występach „Welt-Zirkus Tartarini” z niedźwiedziem i tancerką z tamburinem. Ale prasa miała ważniejsze sprawy na uwadze i o cyrku Tartariniego nigdy już więcej nie przeczytałem ani nie usłyszałem.

Zobowiązałem się jesienią powrócić na uniwersytet, na przeszkodzie stanęły jednak nieprzewidziane wydarzenia. Zapowiedział je — tak to można określić — przyjazd do Łęczyc... panny Jeanette! Nie przyjęto jej jako dopustu bożego. Spodobała się babce i dziadkowi, a nawet Zenonowi. Początkowo upatrywał w niej kandydatki na moja narzeczoną, ale gdy dowiedział się, że nie chodzi o mnie, tylko o mojego przyjaciela Rymbę, zaczął po prostu ją adorować, choć bez

wzajemności i bez skutku. Jeanette bawiła w Łęczycach krótko — wszystkiego cztery dni. Przyjechała właściwie po mnie, abym pomógł jej uwolnić Floriana. Czasy były dalej niespokojne, droga daleka, a towarzysz podróży z pistoletem pod peleryną niezbędny.

Nieoceniona — jak się okazało — pani Brochwiczowa wystarała się o nowe pismo z samego ministerstwa sprawiedliwości, potwierdzające wydaną wcześniej decyzję zwolnienia Rymszy z więzienia. Tym razem było to pismo wydane na ręce pani Brochwiczowej, a przez notariusza opatrzone upoważnieniem na nazwisko panny Jeanette Limanowskiej, która mogła w ten sposób osobiście przedstawić je komendantowi twierdzy i „odebrać”, że tak się wyrażę, więźnia. Jak załatwiła to wszystko pani Brochwiczowa — pozostanie już tajemnicą. Jeanette mówiła tylko, że kosztowało to wiele starań i... pieniędzy. Dlaczego zajęła się tą sprawą właśnie pani Brochwiczowa — nie wiem. Trudno zgadnąć, jakie przemiany dokonały się w tej osobie i dlaczego tak bardzo przypadła jej do serca guwernantka Jeanette, niekryjąca już swoich dawnych powiązań konspiracyjnych? Dlaczego tak szczerze zajęła się losem Rymszy, który w Cieplicach udawał przecież „starającego się” o rękę jednej z jej córek? Ale wszystko to była już przeszłość, tym bardziej że obie córki Ania i Kazimiera — znalazły już mężów. Kazimiera wyszła za mąż za wysokiego urzędnika w Berlinie, a Ania za pomorskiego obywatela z rodu Krokowskich, którzy tym się między innymi charakteryzowali, że zależnie od koniunktury podpisywali się raz „Krokowscy”, a raz „von Krokow”. No cóż, przemiany patriotyczne pani Brochwiczowej nie kazały równocześnie rezygnować z racjonalnego myślenia o „dobrej partii” córek. Pani Brochwiczowa nie miała zresztą jakiegos własnego „programu”, poza powtarzaniem ostatnio zdaniem, że „nie pozwoli nikomu pomiatać godnością Polski, choć nie

wierzy, aby Polakom udało się obalić trony Prus, Rosji i Austrii”.

W piśmie otrzymanym przez panią Brochwiczową w jierlinie i znajdującym się obecnie w rękach Jeanette, była jednak na marginesie uwaga, że odpis dokumentu otrzymuje pułkownik (a więc wciąż jeszcze nie był generałem) Ernest von Hoffmeyer „specjalny radca Jego Majestatu Fryderyka Wilhelma na prowincję Śląską”. Jeanette zdradziła mi, co oznacza ten enigmatyczny tytuł „specjalny radca”. Pułkownik sprawował mianowicie funkcję „sita” przez które przechodziły niektóre decyzje, między innymi w sprawach zwolnień więźniów politycznych na Śląsku. Jeanette była pewna, że poprzednio wydany akt łaski dla Rymszy ugrzązł po prostu w biurku Hoffmeyerá. A chociaż ponowne jego potwierdzenie miała w rękach, należało jednak — jadąc do Kłodzka — odwiedzić Hoffmeyerá. Pułkownik był jeszcze w stanie wstrzymać wykonanie decyzji zwolnienia więźnia.

Wziąłem podróżny sakwojaż, schowałem doń mój pistolet — jak czynił to kiedyś Rymsza i — naszą dworską brykę udałem się z Jeanette w stronę Trzebnicy. Tam jednak okazało się, że droga na Wrocław została zamknięta przez wojsko „w związku z zarazą”. Nie chodziło jednak o zarazę. Poradzono nam udać się okrężną drogą — do Oławy, odesłać brykę i zająć miejsca w zwykłej karetce pocztowej. Tak też uczyniliśmy i dostaliśmy się szosą oławską do Wrocławia.

To był cud, że nas puszczono, bo zaraz po naszym przyjeździe, droga z Oławy została także zamknięta. Okazało się, że Wrocław ogarnięty był właśnie rozruchami. Zaczęło się wszystko od oskarżeń wysuwanych pod adresem króla, że jest wrogo nastawiony do tak zwanej „konstytucji frankfurckiej”. Nas, Polaków, nie satysfakcjonowała jednak ani owa konstytucja, ani hasła przeciwników. I jedna idea, i druga była dla Polaków zgubna, bo nie uznawała ich praw do

wolności na Śląsku, w Poznańskim i na Pomorzu. Polacy byli więc najbardziej niechętnie widzianymi osobami zarówno przez zwolenników, jak i przeciwników „konstytucji frankfurckiej”, domagającej się zjednoczenia krajów niemieckich. Powiedział nam o tym właściciel małego hoteliku, położonego w bocznej ulicy centrum. Hotelik był pusty, restauracja na parterze zamknięta ze względu na rozruchy i dostępna jedynie od wewnątrz dla gości hotelowych. Jak się okazało wkrótce, byliśmy z Jeanette jedynymi gośćmi, mogliśmy więc wybrać sobie dowolne pokoje. Wybraliśmy „dla przyzwoitości” — jak to się mówiło — mój na pierwszym piętrze, a dla mademoiselle — na drugim.

— Najgorzej, że do rozruchów włączyli się robotnicy i nędzarze z przedmieścia — narzekał gospodarz. — Tych także nie interesuje ani konstytucja, ani monarchia pruska. Na wyspie odrzańskiej, doszło dziś do zgromadzenia, które następnie rozproszyło wojsko. W całym mieście słychać strzały. Pan hrabia von Monts, mimo że jest zastępcą królewskiego gubernatora wojskowego, objął faktycznie władzę i zapowiedział wprowadzenie dziś w nocy stanu oblężenia. Jeżeli tak się stanie, wszyscy przyjezdni będą zmuszeni Wrocław opuścić.

— A pan jest za konstytucją frankfurcką, która podobno uznaje niektóre idee demokratyczne, ale z króla Prus chce uczynić cesarza wszystkich Niemców? Czy za starą, pruską monarchią, za starym porządkiem?

— Ja jestem za porządkiem, za spokojem, za hotelem pełnym gości. Ja w politykę się nie wdaję, proszę pana. Dla mnie na niemieckim tronie może siedzieć zarówno cesarz, jak król. Moje interesy od tego się nie zmienią. Ani więcej stracę, ani zarobię. Ale musi być porządek.

Taka była filozofia naszego gospodarza.

Następnego dnia — był to 7 maja 1849 roku — cały Wrocław zatrząsł się od strzałów. Z okien leciały szyby, z dachów — cegły, dachówki. Widzieliśmy, jak ludzie z okolicznych domów wynoszą różne sprzęty i budują barykady. Gospodarz — cały drżący — przygotował nam śniadanie, radząc, aby nie wychodzić na ulicę. U wylotu naszej ulicy rozgorzała istotnie jakaś walka. Wkrótce jednak ucichło.

Biuro pułkownika Hoffmeyera mieściło się niedaleko, obmyśliliśmy więc, którędy przejść, aby stąd było nam jak najbliżej. Okazałem się tak nieostrożny, że zabrałem z sobą nabity pistolet — gdyby schwytano mnie z bronią, pewnie zostałbym na miejscu rozstrzelany. Tego dnia zabito wielu żołnierzy, strzelając zza węgłów i z okien, a także zginęło wielu cywilów i jak zwykle w takich sytuacjach — zupełnie niewinnych.

Nie powinniśmy byli wychodzić na ulicę — gospodarz miał rację, ale Jeanette bała się, że nazajutrz mogą nas po prostu wypędzić z miasta, w związku z ogłoszeniem stanu oblężenia.

— Pójdę środkiem ulicy. Do samotnej kobiety żołnierze nie będą przecież strzelać — powiedziała Jeanette.

— A do mnie? Ja nie jestem „samotną kobietą”.

— Więc weź mnie pan pod ramię. Do zakochanej pary też nie będą strzelać...

Zmieniła zdanie, gdy na rogu następnej ulicy zobaczyliśmy zastrzeloną kobietę, a obok pięcioletniego chłopca. Kobieta niosła chleb i mleko, kiedy trafiła ją kula. Mleko rozlało się z bańki na ulicę i stworzyło na środku jezdni wielką białą kałużę, zmieszaną z purpurą krwi.

— A jednak strzelają do kobiet... — powiedziałem dość głośno.

Usłyszał to jakiś człowiek w robotniczej bluzie, czatujący

w bramie z karabinem w dłoniach. Wybiegł ku nam i pociągnął za sobą na najbliższe podwórze.

— Jak możecie być tak nieostrożni! Prusacy strzelają do każdego, kto znajdzie się na ulicy. Do kobiet i dzieci też... — mówił szybko, po polsku. — Nie możecie tak chodzić jak na spacer! Dokąd chcecie się dostać?

— Najchętniej w rejon Placu Solnego.

— Czekajcie, spróbuję was tam przeprowadzić. Plac Solny to teraz Plac Blüchera, nie wiecie?

— My nie jesteśmy z Wrocławia — wyjaśniła Jeanette. — Przyjechaliśmy z Poznania.

— Nie dajcie się złapać żołnierzom, bo mogą was wziąć za emisariuszy powstania. Każdy Polak wydaje się dziś we Wrocławiu podejrzany.

— Na co liczycie w tej walce? — spytałem robotnika.

— Mamy nadzieję, że w czasie walki powstanie jakaś władza, która obejmie naczelne dowództwo. Jeżeli do tego dojdzie, wojsko rozstrzela powstańców Polaków i Niemców.

Robotnik przeprowadził nas jakimiś pasażami i piwnicami, witając się wszędzie z takimi samymi ludźmi jak on, ubranymi w robotnicze bluzy. Mówili między sobą po niemiecku i po polsku. Wydawało się, że walka o uznanie lub nieuznanie „konstytucji frankfurckiej” zmieniła się w zupełnie inną bitwę, której celem było po prostu zakwestionowanie istniejącej władzy. Robotnik opowiadał nam o gwałtach na ludności dokonywanych przez żołnierzy pruskich, o użyciu armat przeciw barykadom przy Bramie Świdnickiej i Bramie Oławskiej, o odparciu szarży kirasjerów, o złupieniu hotelu „Cztery Lwy”, o zabiciu pruskiego oficera jednym celnym strzałem, który padł z okna zajazdu. „Pod Winogronem”, o zamordowaniu lub poranieniu przez tłum pana

Nimptscha — przywódca „Białokrzyżowców”, jak nazywano Związek Landwehry.

Pożegnaliśmy naszego przewodnika niedaleko Placu Solnego i pobiegliśmy w poprzek ulicy. Byliśmy już na miejscu. Zobaczyliśmy pomnik Blüchera i gmach starej giełdy. Budynek, w którym swoje biuro miał Hoffmeyer, zastaliśmy jednak zamknięty. Energiczne walenie w drzwi doprowadziło do tego, że na piętrze otworzyło się okno i wyrzwał żołnierz.

— Wer da?

— My do pułkownika Hoffmeyera — zawołałem po niemiecku. — Otwórzcie!

— Pana pułkownika nie ma.

— Gdzie jest? Gdzie go szukać? — krzyknęła Jeanette, również po niemiecku.

— Nie wiem...

— Pomóżcie, panowie żołnierze! Pomóżcie!

Zgrzytnęły klucze i zasuwę. Jedno skrzydło drzwi otworzyło się. Wsunęliśmy się do wnętrza. Otoczyło nas czterech żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym i w pikielhaubach — hełmach z ostrym szpicem. W rękach trzymali karabiny z nasadzonymi na sztorc bagnietami. Na widok Jeanette zaczęli rzucać do siebie dość wulgarne uwagi. Sytuacja stawała się nieprzyjemna, od żołnierzy cuchnęło wódką, i pistolet niewiele by tu pomógł, gdyby nagle z głębi korytarza ktoś nie zawołał mojej towarzyski po imieniu.

— Przecież to panna Jeanette od pani Brochwiczowej!

Był to stary ordynans pułkownika, Hermann, który dobrze znał Jeanette z czasów, gdy jeszcze Hoffmeyer często bywał u Brochwiczów. Teraz okazał się naszym zbawcą. Zbeształ żołnierzy i natychmiast udzielił pełnej niezbędnej informacji — pułkownik mieszka „Pod Błękitnym Jeleniem”, ale dziś nie mógł w ogóle ruszyć się z hotelu. Wysłał ordynansa do biura, aby zaczął tu na łącznika z kwatery

hrabiego von Montsa. Gdy łącznik się zjawi, ma żądać krytego powozu dla pułkownika i eskorty.

— Między nami mówiąc, wątpię, czy ktokolwiek się zjawi — uzupełnił tę informację. — A jeśli nawet, nie wierzę, że pan hrabia von Monts przyśle kryty powóz i eskortę. Dziś jest to niemożliwe. W całym mieście trwają przecież walki, a w dodatku mój pułkownik i hrabia von Monts nie darzą się nawzajem szczególną sympatią. Hasłem na dziś dla wojska jest pierwsza zwrotka pieśni „Ich bin ein Preusse” — „Jestem Prusakiem”. Jeżeli będziecie w pobliżu posterunków wojskowych, zaśpiewajcie, a nie będą do was strzelać... Chce pani pójść do pułkownika? Powiem, jak tam trafić.

Ale to było już zbyt ciężkie. Drogę do hotelu „Pod Błękitnym Jeleniem” znałem doskonale. Pożegnaliśmy ordynansa Hermana i wyszliśmy na ulicę. Posuwaliśmy się ostrożnie, kryjąc się w bramach i chyba trzy razy przechodząc barykady, chronione przez grupy cywilów z karabinami. Na jednej z barykad zaczęto nas podejrzewać o szpiegowanie, choć nikt nie był w stanie określić, co właściwie mogliśmy szpiegować, ale wśród powstańców znalazł się nagle pewien student, Niemiec, który rozpoznał mnie i poświadczył, że to „swój”. A akademicy uważani byli wciąż jeszcze za „awan-gardę” wszystkich powstań, buntów i manifestacji, puszczono nas więc dalej. Tak doszliśmy do hotelu „Pod Błękitnym Jeleniem”.

Kłopot był z dostaniem się do wnętrza. Pukania i wołania nie przyniosły rezultatu, ale na szczęście przypomniałem sobie o gospodarczym przejściu na podwórze od drugiej strony. Kiedy zaś znaleźliśmy się na podwórzu, wpuścił nas do środka pomocnik kucharza. Pytaliśmy o Hoffmeyera, a Jeanette przedstawiła się nawet jako jego kuzynka.

— Pewnie państwo po przepustkę?... spytał nas portier.

— Właśnie — po przepustkę... — odpowiedziała Jeanette, zgadując, że pułkownik wydawał widocznie jakieś przepustki, chyba żeby chronić personel przed zatrzymaniem na ulicy przez policję lub wojsko. Portier prosił, abyśmy poszli za nim. Apartament Hoffmeyera znajdował się na pierwszym piętrze. Zaanonsowani zostaliśmy informacją, że „przybył ktoś od pani Brochwicz” — tak bowiem życzyła sobie zostać zapowiedziana Jeanette, licząc, że ułatwi to dotarcie do pułkownika.

I oto już byliśmy w salonie, a przed nami stał we własnej osobie, w galowym mundurze, ze szpadą u boku i z monoklem w oku — dla mnie prawie legendarny — Ernest von Hoffmeyer. Uśmiechnął się na widok Jeanette i prosił, abyśmy usiedli. Mnie przyglądał się potem dłuższą chwilę, być może pragnąc przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek już spotkaliśmy się. Pamięć nic mu jednak nie podpowiedziała — rzeczywiście widzieliśmy się przecież pierwszy raz.

— Pewnie po przepustkę? — spytał po francusku.

— Zgadł pan, panie pułkowniku. Znalazłam się we Wrocławiu z moim kuzynem i zaskoczyły nas te wydarzenia... — odpowiedziała Jeanette.

— Chcecie wyjechać z miasta?

— Jak najszybciej, panie pułkowniku.

— Święta racja. Jeszcze dzień lub dwa może tu być niepokojnie. Do śródmieścia wdarły się chmury mętów z przedmieść.

Wstał, podszedł do stolika i wyciągnął dwie kartki papieru, chyba już z przygotowanym tekstem.

— Zasadniczo nie ustalałem z hrabią von Monteen procedury takich przepustek, ale sądzę, że podobna karteczka, opatrzona moim podpisem i pieczęcią powinna wystarczyć na ulicy. „Wydalem już podobne personelowi hotelu, bo

muszą przecież poruszać się po mieście. Innym gościom hotelowym, których znam, wydałem także przepustki na opuszczenie miasta — mówił, jakby tłumacząc się przed nami. — Wam wypiszę zaraz podobne. Pani godność nadal piszemy bez zmian, mademoiselle Jeanette?

— Dalej, panie pułkowniku. Obie moje podopieczne wyszły już za mąż, a ja wciąż wolna.

— A pan? — spytał mnie także po francusku. — Jak pana nazwisko?

— Julian Ostoja — odpowiedziałem wstając, stukając obcasami i skłaniając głowę, co bardzo się pułkownikowi spodobało. O mały włos wypadłby mi w tym momencie pistolet, ale na szczęście zdążyłem go przytrzymać.

Wypisał, podał nam obie karteczki, pytając, jak go znaleźliśmy we Wrocławiu?

— Byliśmy w biurze pana pułkownika i tam spotkaliśmy ordynansa Hermanna — wyjaśniła Jeanette. — Poznał mnie od razu.

— A więc czeka tam jeszcze! Jest sam?

— Nie. Są z nim jeszcze czterej żołnierze.

— A co na ulicach?

— Mieliśmy trudności w czasie przechodzenia barykad, ale udało się.

— Kogo spotkaliście na barykadach?

— Dużo robotników, są również akademicy...

— To nie rok 1848, na barykady nie wychodzą już urzędnicy, lekarze, kupecy... — pokiwał głową. — Teraz mamy do czynienia z hołotą. A spotkaliście wojsko?

— Spotkaliśmy tylko tych czterech. Tych z Hermannem.

— No, wieczorem będzie ich tu więcej, przyjdą nawet czarni huzarzy. A jutro powinien zapanować spokój. Hrabia von Monts nie może sobie dać rady z motłochem — to było

do przewidzenia. Jeśli przyśle mi eskortę i powóz, powiem mu, co powinien uczynić.

Wstał. My także powstaliśmy.

— To wszystko?

— Nie, panie pułkowniku. Jest jeszcze jedna, drobna sprawa, o której poruszenie prosiła mnie pani Brochwiczowa... — zaczęła mówić Jeanette. — Wiedziała, że będę we Wrocławiu i w związku z tym...

— Jaka to sprawa?

Hoffmeyer, podszedł do stolika, wyciągnął cygaro, odciął koniec i zapalił od płonącej na stole świecy, przygotowanej chyba do podgrzewania laku. Gdzieś na ulicy padł strzał, ktoś coś krzychał, słychać było klaskanie kopyt końskich o bruk.

— Chodzi o Floriana Rymszę, tego chłopca, który dał się wciągnąć w Cieplicach w przygotowanie zamachu, ale który zaniechał wykonania polecenia swej tajnej organizacji. Taka dziecinada...

Widziałem, jak twarz pułkownika powoli tężeje. Niedobrze — pomyślałem.

— I zrobił bardzo źle, bo żołnierz, który nie wykonuje rozkazu...

— Panie pułkowniku, to nie był żołnierz i to nie był rozkaz. Grupa studentów zabawiła się w karbonariuszy.

— Nie ma pani racji, panno Jeanette, ale nie będziemy na ten temat dyskutować. Czego sobie życzy pani Brochwiczowa w tej sprawie?

— Ten chłopiec, Rymsza, został ulaskawiony rok temu, tymczasem...

— Myli się pani. Nie został ulaskawiony. Wydano jedynie taką decyzję, warunkując jej wykonanie moją opinią. Jestem tajnym radcą jego królewskiej mości na obszar prowincji śląskiej. Geheimrat für Provinz Schlesien. Są sprawy, o

których nawet pan hrabia von Monts nie powinien decydować beze mnie. A jeśli chodzi o Floriana Rymbę, decyzję o jego zwolnieniu z twierdzy zatrzymałem. To mi wolno, mam takie uprawnienia.

— Chłopiec jest chory...

— To jest twierdza, panno Jeanette. To jest więzienie.

— On może umrzeć...

— On powinien tam umrzeć. Szaleństwem w dzisiejszych czasach byłoby wypuszczać na wolność podobnych jak on polskich buntowników. Niech pani to powtórzy pani Brochwiczowej. I niech pani da sobie spokój z tym Rymbą. Dostałem znów odpis nowego dokumentu, który został wydany na życzenie i na ręce pani Brochwiczowej, dokumentu uprawniającego ją do przejścia z twierdzy w Glatz więźnia Floriana Rymby. Odpis przysłano do mnie, bo ja w takich decyzjach na ogół pośredniczę. Jak tylko wszystko uspokoi się we Wrocławiu, napiszę do komendanta twierdzy w Glatz, aby zaostriął warunki pobytu Floriana Rymby. On nigdy z twierdzy nie wyjdzie. Proszę to powtórzyć pani Brochwiczowej.

Jeanette zbladła. Pułkownik stał naprzeciwko niej, mierząc ją zimno. Potem odwrócił się, odszedł i zatrzymał za stolikiem.

— Coś jeszcze? — spytał, ale teraz już po niemiecku.

— Panie pułkowniku... — zaczęła Jeanette drżącym głosem.

Zdałem sobie sprawę, że zacznie go teraz prosić, że będzie się poniżać przed nim i że nie przyniesie to i tak żadnego rezultatu. W tej chwili za oknami wybuchła wrzawa. Rozróżniałem poszczególne okrzyki. Znów padły strzały...

— Proszę wyjść! — powiedział ostro pułkownik do nas.

Wtedy właśnie wyjąłem spod peleryny pistolet i strzeliłem z odległości kilku kroków, mierząc między ordery na lewej piersi. Wpadł mu z oka monokl. Potem zrobił krok do tyłu, zachwiał się i bezwładnie upadł, waląc głową o etażerkę i strącając karafkę z wodą. Leżał teraz tam, pod ścianą, bez ruchu, a na mundurze wykwitiała mu coraz większa purpurowa plama. Za oknami słychać było zgiełki walki i już co chwila padały strzały. W hotelu mój strzał musiał zlać się z tym tumultem i zapewne nikt nie wyodrębnił go z ogólnego grzmotu wystrzałów. Chyba równocześnie — piechota, kawaleria i artyleria pruska przystępowały do szturm na barykady Wrocławia. Podeszedłem do okna i otworzyłem je szeroko. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może chciałem, żeby dym prochowy po moim wystrzale wydostał się z salonu na ulicę? Stało się jednak odwrotnie — dym wystrzałów z ulicy wtargnął do apartamentu hotelowego.

— Nie mogłem uczynić inaczej — zwróciłem się do Jeanette, jakby pragnąc się wytłumaczyć. — Albo Rymsza, albo pułkownik... Innego wyboru nie było.

— Nic więcej nie mów!... — Jeanette, zdaje się, dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji i kiedy ja wciąż jeszcze byłem oszołomiony swoim czynem, ona wyjęła mi pistolet z dłoni, a potem wychyliła się z okna i wyrzuciła go na ulicę. To przypadek, że nie została wówczas zastrzelona, bo żołnierze brali na cel każdą głowę, która pojawiła się w oknie. Po chwili ulica była już pusta. Pod przeciwległą ścianą leżało tylko dwóch zabitych cywilów, a w głębi ulicy — koń kawaleryjski.

— Na naszych oczach ktoś zastrzelił pułkownika, kiedy chciał wyjrzeć z okna — powiedziała do mnie Jeanette. —

Rozumiesz? Ktoś do niego strzelił, gdy chciał wyrzeć w czasie ataku. Niewykluczone, że to ktoś z żołnierzy, których posłał do szturmów hrabia von Monts. A może po prostu ślepa kula? Tak powiemy... Zapamiętaj sobie...

Nie skończyła mówić, gdy jakaś zbłąkana kula roztrzaskała szybę i utkwiała w boazerii...

12. Granica

Kłodzko leży dosłownie w cieniu twierdzy, a potężne fortyfikacje stykają się bezpośrednio z malowniczymi domkami starego miasta. Była to kiedyś kluczowa twierdza austriacka na szlaku wiodącym z Czech i Moraw na Śląsk. Prusacy opanowali ją ponad sto lat temu i rozbudowali umocnienia. Taką właśnie miałem ją przed oczami, kiedy w ów majowy dzień 1849 siedziałem w oknie zajazdu, oczekując na powrót Jeanette.

Miasto było spokojne i sennie, na ulicach przechodniów niewiele — jakże ogromny to kontrast z obrazem huczącego od wystrzałów Wrocławia! Gazety miejscowe informowały, zresztą bez krzykliwych nagłówków, że sytuacja we Wrocławiu już „opanowana”.

Czekałem teraz na Jeanette z wzrastającym niepokojem, bo choć, w recepcji zajazdu nikt się nami nie interesował, choć nie było widać nigdzie ani policji, ani wojska, przecież zdawałem sobie sprawę, że tuż obok, we wnętrzu góry, na której wzniesiono twierdzę, musiały czuwać setki żołnierzy. Musiały tam tkwić na pozycjach liczne działa. W kazamatach fortecy zaś cierpiały dziesiątki, a może setki więźniów. Patrzałem na tonące w zieleni skłony gór, między którymi wije się Nysa Kłodzka, rzeźbiąc naturalną drogę — łączącą bratnie kraje słowiańskie, znajdujące się w pętach austriackiej i pruskiej przemocy.

Jeanette udała się do komendanta twierdzy jeszcze wczoraj przed południem. Jeżeli popadła w kłopoty — byłem

pewien, że wszystko weźmie na siebie. Jakiego rodzaju mogły to być kłopoty? Wykryciem prawdy o śmierci Hoffmeyera nie martwiłem się tak jak tym, że pułkownik mógł wcześniej napisać coś do komendanta twierdzy, co nie tylko uniemożliwiło wypuszczenie na wolność Rymszy, ale rzucało cień także na tych, którzy się o polskiego więźnia upomną.

I właśnie wówczas gdy opadły mnie najgorsze myśli o losie Jeanette, gdy widziałem już ją w mojej wyobraźni przykutą łańcuchami do ściany mrocznego lochu zjawiała się, żywa rozpromieniona i w dodatku... prowadząc ze sobą Rymszę. Jeszcze tego popołudnia wynajęła powóz i czym prędzej opuściliśmy Kłodzko, aby wyjść z cienia twierdzy.

Udaliśmy się do Dusznik, modnego kurortu, w którym koncertować miał Chopin. Było tam podobno kilka zaufanych austerii z dawnych lat — tu przecież jeździł nawet Edward Dembowski, odwiedzając grób matki, pochowanej na miejscowym cmentarzu.

W drodze dowiedziałem się, że zastępca komendanta twierdzy był znany Jeanette. Kiedyś bowiem próbował, zresztą bezskutecznie, zawrócić w głowie jednej z pańien Brochwiczówien. Teraz już stateczny, żonaty, w dodatku ojciec pięknego chłopca. Ale tak się rozochocił pojawieniem się „Francuzki” — bo za taką cały czas uważał Jeanette, a żona okazała się tak sympatyczna, że panna Limanowska zmuszona była zanocować na terenie twierdzy, w kwaterze dla gości.

— Nie macie pojęcia, co to była za noc, ja w gościnnej komnacie, a niedaleko mnie, w lochu, Florian! Powiedziałam im, że Florian to dla mnie obcy człowiek, wyświadczam jedynie grzeczność pani Brochwiczowej, przyjeżdżając tu w jej sprawie i w jej imieniu. Dopiero następnego dnia odbyła się ceremonia zwolnienia więźnia. Z perspektywy Kłodzka, Hoffmeyer nie wydawał się tak ważną osobistością, jak sam

mniemał o sobie. Mówili nawet o nim lekceważąco. Z pewnością jednak mógł przeszkodzić w zwolnieniu Floriana. Śmierć Hoffmeyera od „przypadkowej kuli w czasie zamieszek” przyjęli w twierdzy bez wrażenia.

Mówiła głośno, gestykulując, zatrzymując się na szczegółach, jak czynią ludzie nerwowi, potokiem słów pragnący stłumić podniecenie, albo szczęśliwi. Rymsza milczał, patrząc raz na nią, a raz na mnie, chyba jeszcze nie w pełni świadomy, że jest już na wolności.

— Za trzy dni będziecie mogli przejść granicę!... „W Ołomuńcu, na Morawach, mieszkają znajomi pani Brochwiczej. Wiedzą o wszystkim, o waszym przyjeździe, i pomogą wam dostać się dalej...

Słuchałem, jakby plany, które kreśliła Jeanette, nie dotyczyły mnie, bo zresztą nigdy nie myślałem o wyjeździe za granicę. Wielka Emigracja — to były echa przeszłości. Miałem tylko pomóc Jeanette w spotkaniu z pułkownikiem Hoffmeyerem i w wydostaniu Rymszy z więzienia. Uciekać? Jeśli zabójstwa Hoffmeyera nie wiązano z moją osobą, nie potrzebowałem niczego się obawiać. Zresztą znalezienie motywów tego zabójstwa byłoby trudne. Była to chwila, kiedy człowiek może dokonać wielu rzeczy, których po nim nikt by się nie spodziewał. Dziś pewnie nie zabiłbym Hoffmeyera. Ba, to zabójstwo nie tkwiło nawet w mojej świadomości, wydawało mi się, że nie jestem za nie zupełnie odpowiedzialny. Sam uwierzyłem już prawie, że oficera pruskiego w hotelu „Pod Błękitnym Jeleniem” zabiła przypadkowa kula.

Patrzałem na Rymszą, na jego wymizerowaną, woskową twarz, na jego niepewny uśmiech, na dłonie położone równo na udach. Niby słuchał wszystkiego, co paplała Jeanette, a jakby nie był tu obecny. Gdy na chwilę Jeanette przerwała,

spytał wreszcie — o dom, o ojca, potem o panią Brochwiczową, o jej córki, na koniec pytanie skierował do mnie. Brzmiało to jakoś tak, jakby spotkanego przypadkowo na ulicy kolegę pytał, „jak ci się powodzi”. Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć, i chyba zauważył moje zakłopotanie, bo nie pytał już więcej.

W Dusznikach stanęliśmy w austerii, którą polecił ktoś znajomy Jeanette, jako „zajazd bezpieczny”. Dostaliśmy trzy osobne pokoje na pierwszym piętrze. Za oknami był las. Poranny posiłek podano nam oddzielnie, bardzo wcześnie i zaraz po zjedzeniu śniadania wyszedłem na spacer, aby rozejrzeć się po kurorcie. Okazało się, że Jeanette i Florian zrobili to samo poszli także na spacer. Spotkaliśmy się więc całą trójką przy obiedzie. Gospodarz spytał nas konfidencjonalnie, czy zechcielibyśmy porozmawiać z dwoma młodymi Czechami, którzy uciekli przez granicę i nocują u niego. Zgodziliśmy się. Byli to dwaj sympatyczni młodzi ludzie w naszym wieku. Radziliśmy im jakiś czas omijać Wrocław. Mieli jednak zupełnie inne plany — wybierali się ze Śląska aż do Badenii i Wirtembergii. Gdy usłyszeli z ust Jeanette, że mamy zamiar przejść granicę, serdecznie nam tego odradzali. Mówili potem wiele o walkach w Wiedniu i Pradze oraz sytuacji na Węgrzech. Kiedy odeszli, Rymsza zapytał Jeanette, dlaczego właściwie ma uciekać za granicę, skoro nikt go już nie ściga i jest wolny.

— Myśleliśmy, że tak będzie lepiej dla ciebie... — odpowiedziała Jeanette.

— Kto tak myślał?

— Pani Brochwiczową, inni ludzie, których się radziłam. Chyba Jul także tak myślał.

Zaprzeciłem.

— Jeanette żyje wciąż jeszcze echami Powstania Listopadowego i Wielkiej Emigracji. Dziś taki exodus nie ma najmniejszego sensu. Wszędzie sytuacja jest podobna.

Wszędzie „walczy się z tyranią”, jak to mówili kiedyś karbo-
nariusze, i wszędzie odczuwa się konsekwencje tej walki —
zauważyłem. Nie powiedziałem jednak, że tyrania wygrała,
ani że my przegraliśmy... — Florian, jak ty się obecnie czu-
jesz? Mądrzejszy? Załamany? Śmielszy? Lepszy?

— Ani mądrzejszy ani głupszy, ani lepszy, ani gorszy. Po
prostu inny. Wydaje się, że będę musiał wszystko zaczynać
od nowa. Może właśnie dlatego nie chciałbym wyjeżdżać.
Jeśli już muszę opuścić Śląsk, Poznańskie czy Pomorze, to
pragnąłbym wybrać się do Galicji lub Kongresówki. W każ-
dym razie chcę zostać w Polsce. Rozumiecie mnie? Mam
ogromną wdzięczność dla pani Brochwiczowej za jej pomoc,
za wyciągnięcie mnie z twierdzy. Nie spłacę chyba nigdy
długu wdzięczności wobec was — wobec ciebie, Jeanette, i
wobec Juliana, ale pozwólcie mi pokierować sobą teraz
zgodnie z moimi przemyśleniami i uczuciami.

— Będziesz nadal walczył? — pytała Jeanette.

— Każdy z nas będzie walczył. Całe nasze życie wymaga
siłowania się z przeciwnościami. Ale nie pytajcie więcej,
chciałbym nie mówić o swoich rozterkach duchowych w
więzieniu i wnioskach... o swoich przemyśleniach, swoich
planach...

— Wydaje mi się, że cię rozumiem, Florian — odpowie-
działa Jeanette. — Kiedy mnie poznałeś w Cieplicach, mia-
łam dziesiątki powiązań z różnymi tajnymi organizacjami,
klubami, orientacjami. Dziś jest inaczej. Ja chyba także staję
się inna. Może to wina lub zasługa moich lat, a może całej
naszej epoki powstań i buntów.

— Co odczuwałaś, gdy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy,
tam, w twierdzy. Pierwszy raz po tak długim czasie?

— Mam być szczerą?

— Tylko to się liczy.

— No więc pierwsze wrażenie było niedobre. Wydałeś mi się kimś zupełnie obcym, nieznanym. A co odczułeś ty, gdy mnie zobaczyłeś?

— To samo. Chyba musimy wszystko rozpoczynać od nowa, Jeanette. Coś się pozrywało w świecie i w nas. Różnym generałom wydaje się pewnie, że uśmierzyli powstanie, wszystko wrócić więc musi do stanu poprzedniego. A tu tymczasem, jak w dziecinnej grze z rozrzuconych klocków nie uda się zbudować tej samej budowli. Nie wiem, czy dobrze to wyrażam, ale mam nadzieję, że mnie rozumiecie. Konkluzja praktyczna? Nie pojedę do Ołomuńca. Zostanę tu lub gdzie indziej. Dam sobie jakoś radę. Jeśli chcesz jechać za granicę, Jul...

— Ależ skąd, Florek! Wracam do moich Łężyc! Może na jesień rozpocznę znów przerwane studia, a może będą gospodarzył z bratem? Ma tyle planów...

— A ty, Jeanette?, — Rymsza zwrócił się do dziewczyny.

— Dajmy spokój tej rozmowie. Dość już opowiedzieliśmy sobie dzisiaj. Proponuję teraz przechadzkę po lesie!

No więc poszliśmy na spacer, potem w znakomitym nastroju zjedliśmy kolację. Ale rano Jeanette już nie było w zajeździe. Zostawiła list, adresowany do nas obu. Życzyła nam wszystkiego dobrego i pisała, że jedzie prosto do pani Brochwiczowej, a potem — „jeszcze zobaczy”. Rymsza chciał pozostać „jakiś czas” w Dusznikach. Zaproponowałem mu, żeby odwiedził mnie kiedyś w Łężycach — miałbym bowiem wiele mu do opowiedzenia — nic przecież nie mówiliśmy o mnie, o Tarantelli, o Czorbie, o Tartarinim. Nic o moi udziale w powstaniu. Obiecał, że przyjedzie i w trzy lata po naszym rozstaniu, istotnie spędził cały lipiec w Łężycach. Był natomiast częstym gościem u pani Brochwiczowej.

Po naszym rozstaniu, Jeanette dostała się jednak do Kongresówki. Co się stało z nią później — nie wiem. Florian przekroczył granicę zaboru rosyjskiego dopiero w roku 1863, spiesząc ochotniczo do powstania. Zginął w pierwszej potyczce. Jego notatnik pozostał u mnie.

Minęły lata, zza płotu wygląda wiek dwudziesty. Sam nie wiem, jak udało mi się przeżyć tyle czasu. Niczego nie żałuję. Tylko niekiedy w zimowe noce wstaję z łóżka i otwieram lufcik w moim pokoju, a potem nasłuchuję. Jeśli uważnie wsłucham się w taką wygwieżdżoną, granatową noc, to jednak dobiegnie do moich uszu daleka gra skrzypiec. Może to gra mój ojciec w wielkim pustym salonie, może pająkowaty grajek Czorba, a może to tylko echo dalekiej, bardzo dalekiej romantycznej młodości.

Spis rozdziałów

1. Diabelskie skrzypce 7
2. Pistolet 26
3. Wyprawa w ciemność i mgłę 39
4. Emisariusze 54
5. Sprzysiężenie 68
6. Pierwszy tydzień w kurorcie 79
7. Jeanette 92
8. Pułkownik Hoffmeyer 108
9. Jeszcze jeden pistolet 131
10. Widma powracają 140
11. Rozstania 165
12. Granica 185